

Konfederaci do wzięcia | Piłka na dnie | Tajemnice okręgu 33 | Filmy z Wenecji
Trzecia Droga: wejdą, nie wejdą? | Samobójstwo księdza | Ceny za wynajem

POLITYKA.PL

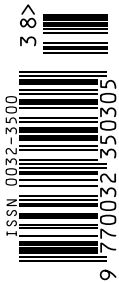
POLITYKA

LIDER
SPRZEDAŻY
1

Władza straszy i zaprasza



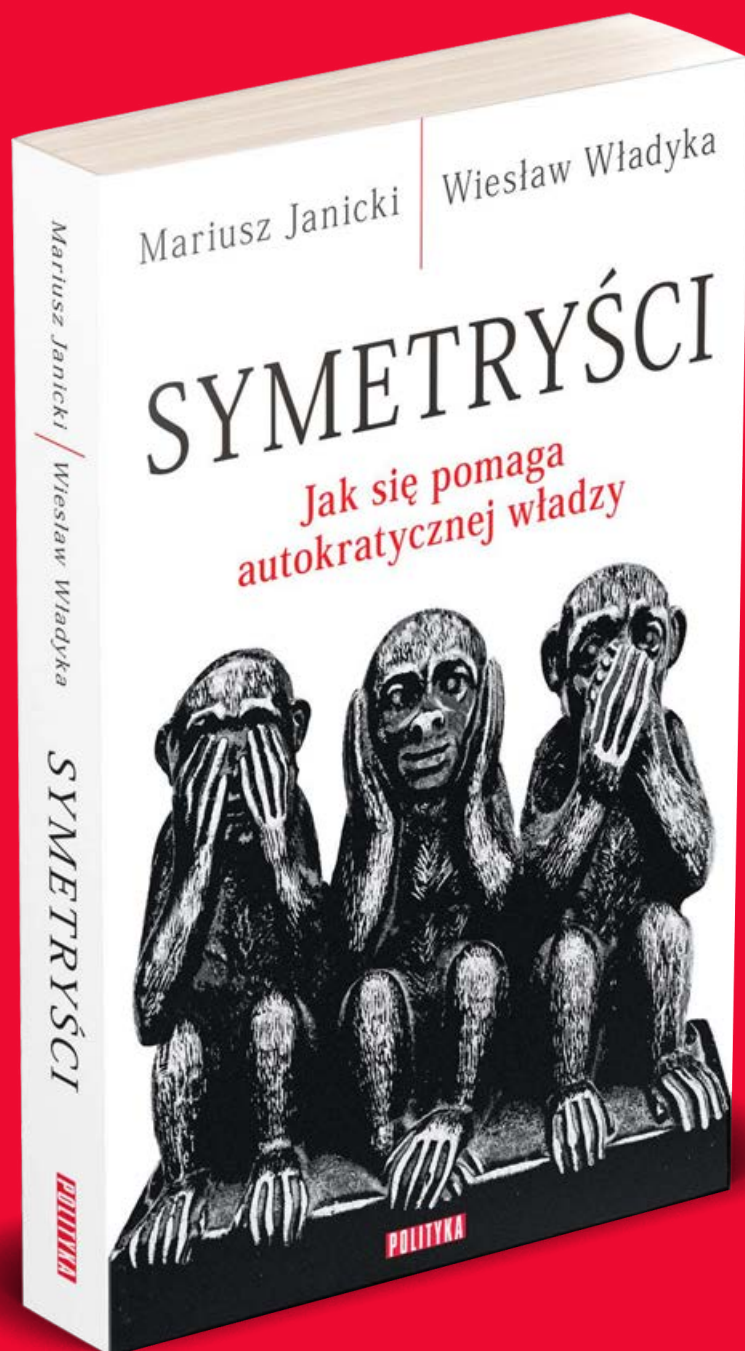
Wielka afera wizowa
uderza w kampanię PiS



„Nie straszcie PiS-em”

„PiS-PO – jedno zło”

„Opozycja nie ma programu”



Analiza zjawiska
symetryzmu
dokonana
przez autorów
tego pojęcia

Nowa książka
Mariusza Janickiego
i Wiesława Władyki,
zawierająca
niepublikowany
wcześniej materiał

Do 19 września w sprzedaży
w salonach prasowych
z tygodnikiem

POLITYKA

Dostępna także w księgarniach
i na sklep.polityka.pl oraz jako e-book.



12

Chłopcy do wzięcia



22

Na bezdrożu



26

Głos Polonii

Tematy tygodnia

- 12 Przemysław Witkowski
Kandydaci konfederacji
- 15 Rafał Kalukin **Afera wizowa – czyli jak PiS udaje, że walczy z imigrantami**

Polityka

- 18 Bartłomiej Zapała
Okręg 33: ulubiony teren spadochroniarzy
- 22 Rafał Kalukin
Trzecia Droga: wejdą, nie wejdą?



Społeczeństwo

- 26 Izabela J. Barry, działaczka społeczna z Nowego Jorku, o tym, kogo może poprzeć w tych wyborach Polonia
- 29 Zbigniew Borek
Tragiczna historia księdza, który rzucił się pod pociąg
- 32 Rozmowa z **Magdaleną Bigaj** o tym, jak przygotować dziecko do życia w sieci
- 35 Marta Mazuś
Od niesamodzielności do bezdomności
- 38 Violetta Krasnowska
Kartonowe bilety Ryszarda Czarneckiego – czyli jak europoseł PiS zwodził młodzież



Rynek

- 40 Cezary Kowanda
Wynajem po polsku
- 43 Joanna Solska
Zbożowa szopka



Świat

- 46 Artur Domosławski CHILE
Niezagojone rany, niespłacone rachunki – czyli 50 lat po zamachu Pinocheta
- 50 Rozmowa z **Olgą Romanową** o tym, dlaczego rosyjscy więźniowie tak chętnie idą na front
- 52 Paulina Wilk INDIE
Toalety – wstydlivy temat

Nauka/projektpulsar.pl

- 54 Marcin Ryszkiewicz **Czy mała pochodzi od człowieka?**
- 58 Karol Jałochowski **Finałiści 23. edycji Nagród Naukowych POLITYKI**



Ogląd i Pogląd

- 60 Stanisław Mazur
Czy warto bronić liberalizmu?

Historia

- 62 Adam Krzemiński **Andriej Sacharow – radziecki Oppenheimer**

- 66 Grzegorz Motyka **Podręcznik Kucharczyka – czyli jak ma wyglądać jedynie słuszna wizja współczesnej historii Polski**

Kultura

- 72 Bartek Chaciński
Memy wskrzeszają
- 76 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
- 79 Aneta Kyzioł **Natasha Lyonne: w ciągłym ruchu**
- 82 Adriana Prodeus **80. Festiwal Filmowy w Wenecji: kino niezgody i ugody**



Sport

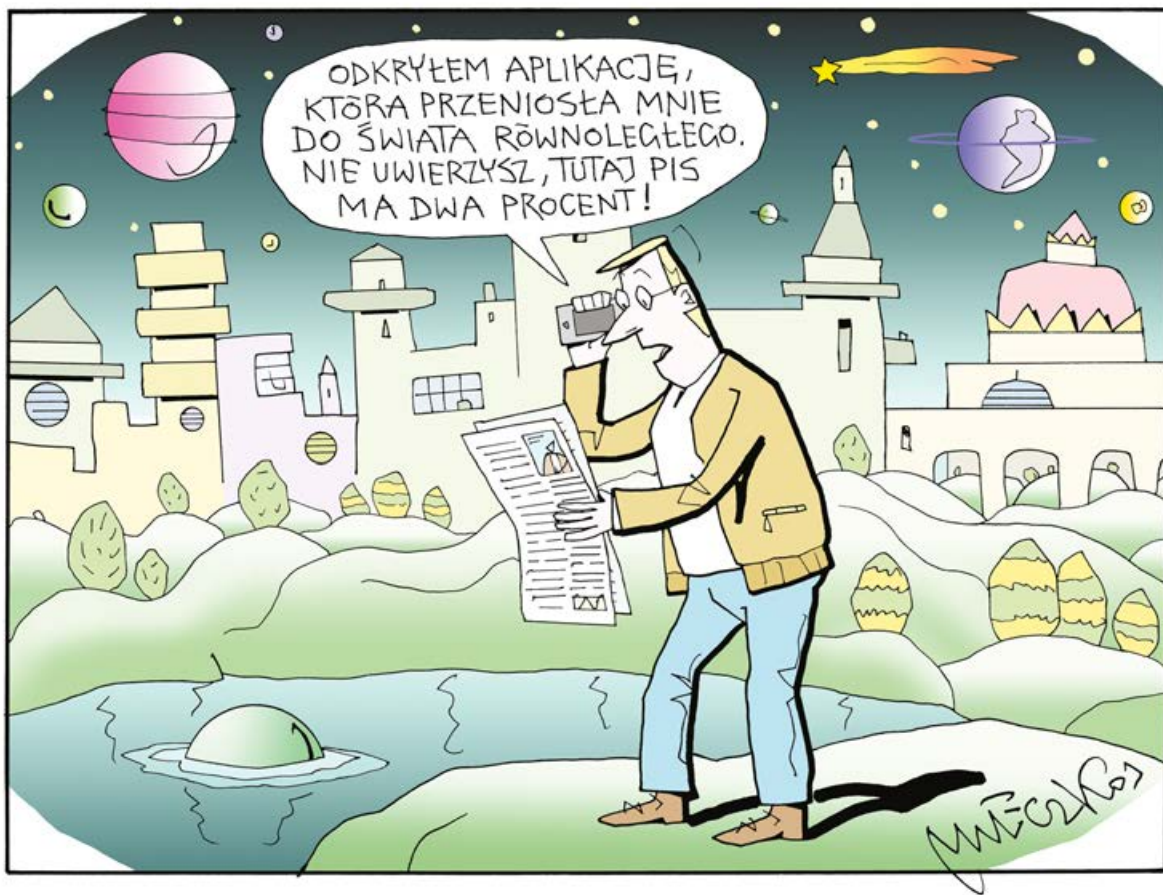
- 85 Marcin Piątek **PZPN Cezarego Kuleszy: bilans dwulecia**

Ludzie i style

- 92–97
- Zmyślone kariery
 - Fauna i flora na wesoło
 - Język emoji • AI w modzie
 - Wypieki premium
 - Ararat do zdobycia
 - Niszczenie wina

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski • 6 Przypisy
- 7 Ludzie i wydarzenia • 68 Afisz
- 88 Tym • 89 LiS • 90 Hartman
- 91 Do i od redakcji • 98 Polityka i obyczajnie



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Łukaszenka straszy niedźwiedziem

Na granicy polsko-białoruskiej wojna nerwów, mnożą się incydenty, a z płynących z różnych stron informacji trudno się zorientować, kto kogo zamierza zaatakować. Wiceszef MSZ Paweł Jabłoński ostrzega, że w białoruskich mediach przeczytał, „że Polska ma dokonać ataku na Białoruś”, tymczasem nasze media podały właśnie, że to wojska białoruskie w sile jednego żołnierza wtargnęły na nasze terytorium, zaatakowały płot graniczny i usiłowały przepiłować jedno z przeseł.

Czytam, że polskie przeseł stawiało najeźdźcy zdecydowany opór i dzielnie broniło się do czasu przybycia patrolu straży granicznej, na widok którego siły białoruskie uciekły do siebie. Bohaterska postawa przeseł sprawiła, że tym razem agresywne plany Mińska, polegające na zrobieniu dziury w płocie, legły w gruzach. Mimo to uważam, że warto w tamten rejon rzucić więcej wojska i ciężkiego sprzętu, bo jeśli zdesperowana Białoruś pójdzie na całość i zaatakuje przeseł dwoma lub trzema żołnierzami, skutki mogą być nie wiadomo jakie.

Białoruski reżim prowokuje nie tylko na granicy z Polską; w tych dniach opinię światową zszokowało zdjęcie niezidentyfikowanego niedźwiedzia wspinającego się

na płot na granicy białorusko-litewskiej. Litewskie służby uspokajają, że celem ataku zwierzęcia nie była należąca do NATO Litwa, gdyż zmierzało ono w przeciwnym kierunku. Jednak wiszący na płocie niedźwiedź to dla wielu sygnał, że agresywne działania Mińska wkroczyły w nową, niebezpieczną fazę, zwłaszcza że nie wiadomo, kto tym niedźwiedziem kieruje i w jakiej sprawie wysłano go tam, skąd wracał.

Jeśli ten niedźwiedź pracuje dla reżimu w Mińsku, to obawiam się, że na jednym niedźwiedziu się nie skończy. Łukaszenka od dawna sieje na granicy chaos przy użyciu uchodźców; jeśli w desperacji posunie się do użycia niedźwiedzi, moim zdaniem nie powinno to nikogo dziwić.

Polskie służby deklarują, kierując się ogłoszonym właśnie przez Jarosława Kaczyńskiego hasłem „Bezpieczna przyszłość Polaków”, że odłowią każdego niedźwiedzia, który bezprawnie wtargnie na terytorium Polski. W MON i MSWiA mają pełną świadomość, że zwierzęta te to element roznoszący pasożyty i pierwotniaki, straszący turystów, plądrujący przydomowe śmietniki, a zdaniem ABW bywa, że napastujący młode kobiety i wykradający dzieciom drugie śniadania z plecaków. Jednym słowem element obcy Polakom kulturowo. Może nie aż tak, jak odławiani przez SG uchodźcy z Afganistanu, Iraku czy Bangladeszu, ale jednak.



Namibia okiem Albatrosa

Fascynująca podróż przez wciąż zmieniające się krajobrazy od najwyższych wydm świata po ekscytujące safari w parku Etosha.

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Windhoek w Namibii. **Dz. 2** Przylot do Windhoek. Zwiedzanie miasta i powitalna kolacja. **Dz. 3** Przejazd z Windhoek do Parku Narodowego Namib-Naukluft. **Dz. 4** Wizyta w Parku Narodowym Namib-Naukluft. Wydmy Sossusvlei i kanion Sesriem. **Dz. 5** Przejazd z parku Namib-Naukluft przez Zwrotnik Koziorożca do miasta Swakopmund. **Dz. 6** Swakopmund. Rejs po lagunie Walvis Bay i czas wolny. **Dz. 7** Czas wolny w Swakopmund. **Dz. 8** Przejazd ze Swakopmund do Damaraland. **Dz. 9** Przejazd do Kamanjab i wizyta w wiosce plemienia Himba. Przyjazd do P.N. Etosha i pierwsze safari. **Dz. 10** Safari w Parku Narodowym Etosha. **Dz. 11** Ostatni dzień safari w P.N. Etosha. Pożegnalna kolacja w Otjiwarongo. **Dz. 12** Przejazd z Otjiwaronga do Windhoek i powrót do domu. **Dz. 13** Przylot do Warszawy.

13 dni | Wylot z Warszawy 01/02 2024

17.998,-



Laponia i Św. Mikołaj

Program wycieczki: **Dz.1** Przelot do Oulu i przejazd do Iso-Syöte. **Dz. 2** Iso-Syöte. Czas wolny na relaks lub zimowe aktywności na wycieczkach fakultatywnych: skuter śnieżny i psie zaprzęgi (dodatkowo płatne). **Dz. 3** Iso-Syöte – Rovaniemi. Wizyta w Ranua Wildlife Park i czas wolny w Rovaniemi. **Dz. 4** Wizyta w wiosce św. Mikołaja i zaprzęgi reniferów. **Dz. 5** Transfer na lotnisko i powrót do Polski.

5 dni | Wylot z Warszawy 08/12 2023

7.298,-



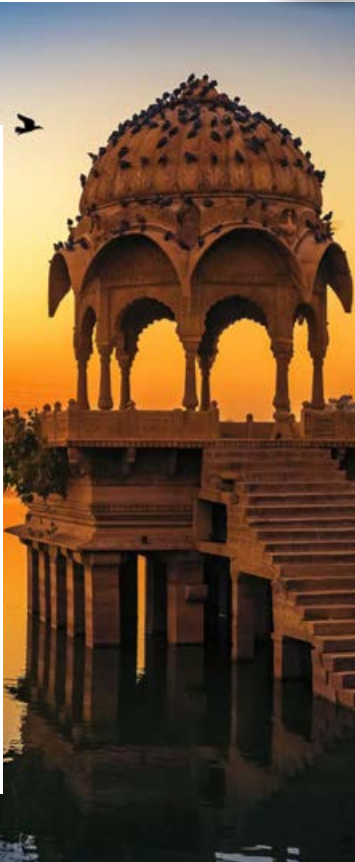
UWAGA!
Zmiana adresu biura

Indie - Klejnot Imperium

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do New Delhi. **Dz. 2** Przylot do New Delhi. Brama Indii (India Gate) oraz zwiedzanie Starego Delhi. **Dz. 3** New Delhi – Jaipur. Pałac Miejski (City Palace). **Dz. 4** Jaipur. Pałac Wiatrów i Fort Amber. **Dz. 5** Ranthambore. Rezerwat Tygrysów. **Dz. 6** Ranthambore. Safari w godzinach porannych i popołudniowych. **Dz. 7** Ranthambore – Agra. Opuszczone miasto (Miasto Duchów) Fatehpur Sikri. **Dz. 8** Agra. Fort i Tadź Mahal. **Dz. 9** Agra – New Delhi. Dzień wolny w New Delhi. **Dz. 10** Wylot z New Delhi. Powrót do Warszawy lub przedłużenie pobytu.

10 dni | Wyloty z Warszawy 25/10 2023, 04/02 2024

7.998,-



albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107 | Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Kod reklamy: PL35

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Ostatni punkt zwrotny



Mariusz Janicki

Kampania wyborcza weszła w decydującą fazę. Jeśli coś ma jeszcze realnie w niej zagrać, to raczej teraz niż później. Partie wykładają karty na stół. Dlatego oczekiwania wobec tarnowskiej konwencji Koalicji Obywatelskiej były duże. KO ogłosiła wiele propozycji, m.in.: podwyżki dla nauczycieli, zniesienie podatku dla zarabiających do 6 tys., 20-proc. waloryzacja pensji w budżetówce, finansowanie procedury in vitro (więcej o 100 konkretach na s. 7). Witold Gadomski z „GW” już podliczył, że ma to kosztować 100 mld zł i budzi to wątpliwości, bo „arytmetyka się tu nie zgadza”. To stała melodia. PiS wydał wiośnię miliardów na socjalną osłonę demontażu praworządowego państwa, ale kiedy Platforma chce wydać z budżetu znacznie mniej na przywrócenie demokratycznego systemu, zawsze jest z tym problem.

To także przez takie „niepokoje” PiS wygrał w 2015 r. i kilka razy później. Niemniej impreza w Tarnowie, właśnie przez mnogość postulatów z różnych, nie tylko ekonomicznych, dziedzin, zrobiła wrażenie propozycji kompletnej, pokazującej w sumie wizję (choć Tusk tego słowa unika) nowoczesnego, proeuropejskiego i progresywnego jak na polskie warunki państwa. Tego dotąd Platformie brakowało, wciąż mówiono o „braku programu”, teraz już się nie da. PO musi jednak te „konkrety” zanieść do wyborców, także za pomocą nowych technologii wpływu w internecie (o tym więcej na s. 9), w których PiS ma znaczną finansową przewagę. Opozycja nie ma wyjścia, musi niwelować to większą aktywnością ustalonych już kandydatów.

PiS zorganizował konwencję w Końskich, w okręgu wyborczym szefa partii (relacja na s. 8). Tam, obok nieszczęsnego „Kobiety w ciąży też mają prawo do życia”, wyróżniła się jedna, kardynalnej wagi deklaracja. Jarosław Kaczyński zapowiedział już otwarcie, za węgierskim premierem Viktorom Orbánem, budowanie tzw. nieliberalnej demokracji, w istocie – już niedemokracji. Stwierdził: „dzisiaj jest tendencja do tego, by przekazywać władzę różnym instytucjom, które są poza jakąkolwiek kontrolą, których nikt nie wybiera. (...) Tą instytucją są sądy. My tego rodzaju dążenia odrzucamy. Władza jest w ręku narodu”. To obietnica pozakonstytucyjnej zmiany ustroju, zapowiedź odrzucenia podziału władzy, która już zresztą się dokonuje. Ten cytat z Kaczyńskiego wszyscy symetrycy powinni powiesić sobie nad łóżkiem i czytać, zanim od rana zaczną relacjonować „stan gry”, bo oto PiS jeszcze raz sam wyłączył się z systemu. Tyle że na takie zdania Kaczyńskiego zawsze mieli najłagodniejszy słuch.

Konwencję też odbyła też Lewica, szukająca swojej drogi między wielkimi formacjami (postulaty to m.in. skrócenie czasu pracy, dłuższe urlopy, koniec darmowych staży). Trzecia Droga zaproponowała m.in. dwie handlowe niedziele w miesiącu, bezpośredni zakup prądu i milion nowych mieszkań. Jak to wszystko może wpłynąć na ostatnią fazę kampanii?

Zauważyliśmy niedawno, że na kilka tygodni przed wyborami jest czas już tylko na jeden punkt zwrotny, maksymalnie dwa. Ten pierwszy już chyba nastąpił – ostatnia zwyżka PiS w sondażach, co zmieniło sytuację polityczną. Do tej pory optymalnym celem antyPiSu było osiągnięcie łącznie samodzielnej większości w Sejmie. Wariantem zapasowym zaś tymczasowe, „techniczne” porozumienie z Konfederacją (o kandydatach tego ugrupowania więcej na s. 12), aby odsunąć PiS od władzy, pieniądze ze spółek i TVP na czas kampanii przed kolejnymi, przyspieszonymi wyborami.

Teraz nawet ten drugi wariant, i tak dla wielu bardzo kontrowersyjny, staje się trudny do zrealizowania. A że taka opcja – o której pisaliśmy w POLITYCE jako pierwszy już na początku lipca (co teraz inni przedstawiają jako odkrytą przez siebie nowość) – jest poważnie brana pod uwagę, potwierdził ostatnio rzecznik PO Jan Grabiec. Do tego potrzebna jest jednak Trzecia Droga w Sejmie i mniejsza różnica między PO i PiS, bo Lewica w taki układ raczej nie wejdzie. Realna walka opozycji, dla której najnowsze sondaże są nieco łaskawsze, toczy się teraz o to, aby partia Kaczyńskiego musiała ewentualnie dogadać się z całą Konfederacją i stworzyć formalną rządową koalicję z podziałem stanowisk. Czyli rzecz w tym, aby po wyborach miała 190–200 posłów, a nie 215–220. Oficjalna koalicja PiS z „Konfą” może w ogóle nie dojść do skutku, a po drugie, gdyby powstała, takie rządy byłyby zapewne niestabilne i dawały opozycji nadzieję na przedterminowe wybory. Trwałe zaś podkupienie przez PiS grupki posłów zniweczyłoby te rachuby i oznaczałoby zapewne pełną trzecią kadencję dla Kaczyńskiego.

Przez pewien czas liczone na to, że jeśli notowania Konfederacji znacząco spadną, to urośnie Trzecia Droga (więcej o TD na s. 22). Jednak na osłabieniu formacji Mentzena i Bosaka skorzystał PiS – czyli zadziałał nie ten suwak. Stało się tak, ponieważ sztabowcy PiS od początku realizowali skromny, ale bardzo intensywny plan, który kilka miesięcy temu wyłożył Norbert Maliszewski z Rządowego Centrum Analiz: odzyskanie ok. 8 proc. dawnych sympatyków, utraconych od czasu wyborów w 2019 r., także na rzecz Konfederacji. Na innych wyborców Nowogrodzka i tak nie stawiała, widząc, jak głęboka następuje polaryzacja. Jest niemal pewne, że ostatnie wzrosty PiS wynikają z powrotu dawnych wyborców tej partii. Nagłaśniane w ostatnich dniach pisowskie „konkrety” (w sumie osiem), m.in. ocieplenie budynków z wielkiej płyty (mrugnięcie okiem do nieelitarnej ludności miejskiej), lepsze posiłki w szpitalach (namiastka naprawy służby zdrowia), półka z polskimi towarami w żywnościowych sieciówkach (przeprasiny z rolnikami), emerytury stażowe (ukłon wobec związkowców) – choć były przeważnie powtórzeniem dawnych obietnic, są adresowane do precyzyjnie wyliczonych grup docelowych.

Do tego doszły – z opóźnieniem – efekty 800 plus i innych socjalnych wrzutek, także defilada Błaszczaka, politycznie obniżona stopa procentowa (więcej na s. 8), referendum, w tym przede wszystkim kwestia imigrantów. Tusk te tematy wcześniej przyhamał, ale ich nie skasował. Dlatego teraz, przy okazji afery wiozewokół byłego wiceministra Wawrzyka, Platforma uruchomiła ostrą kontrofensywę, włączając w to głośny spot o imigrantach (więcej na s. 15). Tusk, często wbrew swoim poglądom, wciąż musi neutralizować chwyt PiS, blokować ewentualne wzrosty tej partii, nie licząc na sondażowe zyski własnej formacji i napotykając krytykę w swojej bańce. Taka już jest specyfika tej kampanii, w której populizm rządzących generalnie obniżył poziom publicznej debaty.

Partia Kaczyńskiego ma do dyspozycji całe państwo, może obiecać wszystko wszędzie naraz, nie zawaha się przed niczym. Ale Platforma nie ucieknie przed tym starciem. Rozgrywka toczy się teraz o to, aby po wyborach była szansa na dalszą grę – dla całej opozycji. Jest jeszcze czas na ostatni punkt zwrotny.

Solidne 100 konkretów

Koalicja Obywatelska ogłosiła swój program w trudnym momencie kampanii przed wyborami 15 października. Po świetnym starcie, jakim był marsz 4 czerwca, i niezłych wakacjach kampania KO i generalnie całej opozycji na początku września dostała zadyszki. PiS zaczął wykorzystywać przewagę nad resztą stawki wynikającą z przejęcia zasobów państwa i w sondażach odskoczył partiom demokratycznym, zyskując głównie kosztem Konfederacji. KO potrzebowała silnego impulsu i miało nim być właśnie ogłoszenie „100 konkretów na 100 dni”.

Sobotnia prezentacja była zapowiadana od tygodni, co wykorzystali konkurenci: PiS w ostatniej chwili zorganizował swoją konwencję w Końskich, wcześniej tego dnia programy prezentowały też Trzecia Droga (postawiła na tzw. PIT francuski rozliczany wspólnie przez całą rodzinę z dziećmi) i Lewica (zaproponowała 35-godzinny tydzień pracy). Na tym tle oferta KO wypadła najmocniej. Główne ugrupowanie opozycji przedstawiło rozbudowany program skierowany do różnych grup społecznych, który łączy elementy polityczne – jak twarde rozliczenie funkcjonariuszy PiS czy odbudowanie relacji z UE – z socjalnymi, np. generalną obniżką podatków dzięki zwiększeniu kwoty wolnej do 60 tys. zł. Postulaty KO mają jednocześnie zmobilizować jej elektorat, jak i pomóc łowić wyborców wśród niezdecydowanych czy zwolenników innych partii. Kobiety mają dostać prawo do aborcji do 12. tygodnia ciąży, bezpłatne badania prenatalne czy znieczulenie przy porodzie. Przedsiębiorcom KO proponuje m.in. kasowy PIT, czyli opodatkowanie tylko tych pieniędzy, które realnie wpłynęły im do kasy, oraz urlopy. Nauczycielom – podwyżkę o 30 proc. (co najmniej 1,5 tys. zł), rolnikom – obowiązkowo połowę polskiej żywności wśród produktów w sklepach, młodym – dopłaty do wynajmu czy kredyt 0 proc., rodzinom – tzw. babciowe czy refundację in vitro. Widać, że duża liczba postulatów została skierowana do tych grup, które mają prawo być niezadowolone z rządów PiS.



Wiele punktów programu miało zadowolić progresywnych wyborców wielkomięjskich (np. związki partnerskie czy zerwanie z finansowaniem Kościoła), inne – wyborców z mniejszych miejscowości (nowoczesne targowiska jako konkurencja dla marketów). Były też chwytliwe hasła dla mniejszych lub większych grup i grup: likwidacja prac domowych w szkołach, regionalny język śląski czy obniżka VAT dla tzw. sektora beauty.

Nowory program KO na pewno nie jest gejmzcendżerem, który sam z siebie zmieni losy kampanii i da zwycięstwo wyborcze. To samo zresztą dotyczy pozostałych partii; żaden z najnowszych pomysłów nie ma siły oddziaływania 500 plus z 2015 r. Ale „100 konkretów” stanowi dobrą podstawę do dalszej pracy dla polityków największego ugrupowania opozycji. Teraz powinni ruszyć w teren (oraz w internet i social media), by się z tymi postulatami przebić do wyborców. Do wyborów został miesiąc – to jeszcze sporo czasu.

ŁUKASZ LIPIŃSKI

Turystyka wyborcza: czy warto zmienić okręg

Kodeks wyborczy daje możliwość głosowania poza miejscem zamieszkania. Z prawa tego może skorzystać każdy wyborca, wystarczy do 12 października złożyć wniosek w urzędzie gminy właściwej dla obwodowej komisji wyborczej, która obejmuje obszarem miejsce planowanego pobytu i głosowania. Wniosek można złożyć pisemnie lub elektronicznie, więc pełna wygoda. Zapewniona przez Kodeks możliwość rozpałiła wyobraźnię wielu wyborców, którzy odkryli, że mogliby celowo zmienić miejsce głosowania, by wpłynąć na wynik wyborów. Możliwość taką opisał już w 2011 r. prof. Jarosław Flis z UJ w tekście „Po co jechać do Sulejówka?”. Otóż w polskim systemie wyborczym głos głosowi nie jest równy i zależy od miejsca wrzucenia karty do urny. Poselskie mandaty rozdzielane są między 41 okręgów wyborczych. I tak w okręgu 32, z Sosnowcem, walka idzie o 9 mandatów, jeden na ok. 68 tys. mieszkańców. W okręgu podwarszawskim, tzw. obwarunku, jeden mandat przypada na ok. 93 tys. mieszkańców.

Różnice jeszcze lepiej widać po liczbie rzeczywiście oddanych głosów, które zapewniły miejsce w Sejmie. W 2019 r. w okręgu 34, z Elblągiem, wystarczało 31,4 tys. głosów na zdobycie miejsca w Sejmie, w okręgu 19, z Warszawą, na jeden mandat oddano 69,1 tys. głosów. Aż się prosi, by jechać do leżącego w pobliżu stolicy Sulejówka, bo ten znajduje się w okręgu 18, gdzie na jeden mandat wystarczyło 37,7 tys. głosów. Karta do głosowania wrzucona w Sulejówku warta była niemal dwukrotnie więcej niż w Warszawie – dlatego by nie skorzystać z takiego sposobu wzmocnienia swojego głosu? Metoda całkowicie legalna, partie polityczne wykorzystują ją na swój sposób podczas obsadzania list kandydatów.

Problem w tym, że wyniku „turystyki wyborczej” można być pewnym dopiero po podliczeniu głosów. Kluczowa jest frekwencja w poszczególnych okręgach, tę zaś

można przewidzieć tylko do pewnego stopnia. W efekcie zmieniając miejsce głosowania, osłabia się szanse kandydatów ulubionej partii startujących w okręgu miejsca zamieszkania bez gwarancji, że przechylili się szalę zwycięstwa słabszego kandydata w miejscu „wycieczki”. Jarosław Flis nie zachęca do „wycieczkowej” gry z systemem, bo opiera się ona na złudzeniu, że polityka nie jest ciężką pracą nad pozyskaniem zwolenników, tylko grą, w której wystarczy zakombinować, by wykorzystać luki i uzyskać efekt.

Zamiast kombinować i zastanawiać się, dokąd jechać w poszukiwaniu większej siły głosu, lepiej zaangażować się w kampanię wyborczą i przekonywać do zagłosowania na kandydatów preferowanej partii. Dwa pozyskane głosy to efekt pewniejszy niż

potencjalne podwojenie siły swojej karty wyborczej podczas wyjazdu do Sulejówka. Do którego warto się oczywiście wybrać, by choćby zwiedzić

Muzeum Józefa Piłsudskiego.
EDWIN BENDYK



PiS bez ognia i fajerwerków

Konwencja PiS w Końskich była skromna zarówno pod względem formy, jak i treści. 9 września do sali gimnastycznej Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji przybyła stosunkowo nieliczna reprezentacja Zjednoczonej Prawicy, a większość posłów wybrała prowadzenie kampanii w swoich okręgach. **Jarosław Kaczyński** przemawiał przez godzinę, przedstawiając znaną od lat opowieść o Polsce – silnym, scentralizowanym państwie, które chroni rodzinę, dba o rozwój gospodarczy, zapewnia bezpieczeństwo i poprawia sytuację materialną obywateli. Kaczyński – co bardzo szybko wychwyliła i wykorzystała opozycja – powiedział również, że kobieta w ciąży i w czasie porodu „też ma prawo do życia”.

Prezes PiS – znów nic nowego – przekonywał, że musi rządzić dalej, bo walka z postkomunizmem nie jest zakończona. Długo też zachwalał działania swojego obozu. Na koniec przestrzegł słuchaczy, że „jeszcze żeśmy nie zwyciężyli”, wezwał działaczy do pracy w kampanii i zszedł z mównicy. Po chwili wrócił, przywołał przez rzecznika partii Rafała Bochenka, który ogłosił, że teraz odbędzie się prezentacja postulatów wyborczych. „Miało być ogólnie, no ale sztab każe” – westchnął prezes i odczytał osiem obietnic PiS, w tym siedem już wcześniej zaprezentowanych. To: waloryzacja 500 plus, zniesienie opłat za autostrady, darmowe leki dla seniorów i dzieci, odnowienie osiedli z wielkiej płyty, poprawa jakości jedzenia w szpitalach, zwiększenie udziału polskiej żywności w supermarketach oraz dofinansowanie wycieczek szkolnych. Nowością była zapowiedź wprowadzenia emerytur stażowych: mężczyźni mogliby z niej skorzystać po 42 latach pracy, kobiety – po 38.

Nie zabrzmiało to ani świeżo, ani wystrzałow, a obrazu konwencji nie poprawili kolejni mówcy – Elżbieta Witek, Mateusz



Morawiecki i Paweł Kukiz. Marszałek Sejmu przekonywała, że to Donald Tusk zgotował „piekło kobiet”, a premier wdał się w zawile wywody o procentach, wskaźnikach, bilionach i miliardach. Sali nie porwał. Na koniec Kukiz obiecał zmiany ustrojowe – wprowadzenie ordynacji mieszanej, uchwalenie ustawy o sędziach pokoju w każdej gminie oraz referenda lokalne w połowie kadencji samorządów.

Tego samego dnia PiS opublikował całość programu na najbliższe osiem lat – 300 stron, z których większość to omówienie działań rządu od 2015 r., krytyka poprzedników i zapowiedzi kontynuacji polityki. I trochę nowości – darmowe bilety na pociąg dla osób powyżej 70. roku życia czy darmowy kurs na prawo jazdy dla osiemnastolatków. Wszystko raczej dla wiernych fanów niż dla nowych grup wyborców. Jeśli ktoś szukałby argumentów za tezą o wypaleniu tej ekipy po ośmiu latach u władzy, to bez trudu znajdzie je w jej własnym programie wyborczym.

WOJCIECH SZACKI

Pełzanie po wulkanie

Gwałtowne obniżenie stóp procentowych z 6,75 do 6 proc. miało ucieszyć grupę pożyczkobiorców, gdyż oznacza to dla nich obniżenie rat kredytów – choć niekoniecznie od zaraz. Reszcie wyborców miało pokazać, że rządzący skutecznie zwalczają inflację, i zwiększyć poparcie przed wyborami. Tak przewidywali analitycy, wiedząc, że Rada Polityki Pieniężnej, zdominowana przez nominatów PiS, zechce swojej partii pomóc, co nieraz już udowodniła. Spodziewali się jednak obniżki stóp minimalnej, nie wyższej niż 25 pkt bazowych. Nawet taka nie byłaby przecież ekonomicznie uzasadniona, inflacja ciągle jest wysoka – w sierpniu GUS wyliczył ją na 10,1 proc. RPP obniżyła jednak stopy trzy razy mocniej, co może spowodować skutki odwrotne od zaplanowanych. Bolesne dla PiS, ale także dla nas wszystkich.

Złoty gwałtownie się osłabia w stosunku do wszystkich walut, do franka szwajcarskiego także. Słaba waluta oznacza wyższe raty dla frankowiczów. Reszta społeczeństwa więcej zapłaci za ropę, gaz i wszystkie inne importowane surowce i produkty. Na razie nie czujemy tego przy dystrybutorach, bo Orlen po to zwiększył swoje marże, żeby przed wyborami nie podnosił cen; do 15 października



wytrzyma. Dopiero po wyborach zobaczymy też wyższe rachunki za ogrzewanie mieszkań – na razie mamy lato.

Natychmiast na niższe stopy zareagowały banki, obniżając jeszcze bardziej oprocentowanie ulokowanych w nich oszczędności Polaków. Prof. Paweł Wojciechowski, były minister finansów w pierwszym rządzie PiS, obecnie w Instytucie Finansów Publicznych, obliczył, że odkąd ceny ruszyły do góry, cichy podatek inflacyjny zabrał nam 400 mld zł! Nie uderzył w bogaczy, którzy – co cynicznie

przyznał **Adam Glapiński** – nie trzymają swoich pieniędzy w krajowych bankach, zmasakrował natomiast domowe budżety Polaków. Te 400 mld zł to suma trzy razy wyższa od tej, którą rocznie NFZ wydaje na publiczną ochronę zdrowia.

Gdzie jest nasze 400 mld zł? Część, która wyparowała z naszych oszczędności, tanio pożyczyl od banków rząd, sprzedając im nisko oprocentowane obligacje. Wydał m.in. na 500 plus, dając rodzinom to, co im wcześniej zabrał. Cichy podatek zapfaciliśmy w sklepach – wyższe ceny to większe wpływy z VAT, można było więc emerytom wypłacać „13-tki” i „14-tki”, ale i tak państwo zadłużyło się jeszcze bardziej. Dług publiczny przekroczył już 1,5 bln zł.

Abstrudalnie wysoka obniżka stóp procentowych przyspieszy wzrost cen, ale znów – odczujemy to już po wyborach. Krytykują ją nie tylko ekonomiści polscy, których prezes NBP uważa za niedouczone. W mediach zachodnich pojawiły się komentarze, że celem inflacyjnym Polski jest inflacja na poziomie 10 proc. Powinna wynosić 2,5 proc., ale osiągnięcie tego oddala się w czasie. Mimo to prezes Glapiński ogłosił sukces: inflacja wkrótce będzie pełzająca. I dziwi się, że nikt się nie cieszy.

JOANNA SOLSKA

AI w kampanii

Jarosław Kuźniar

Dziennikarz, podróżnik, twórca platformy podcastowej Voice House.

Według portalu „Polityka w sieci” PiS odbija polski internet pierwszą tak dużą kampanią promocyjną z wykorzystaniem targetowania użytkowników na poziomie powiatów. Kilkaaset spersonalizowanych reklam na YouTube oraz na lokalnych portalach. Każdy powiat ma mieć inny przekaz, pasujący tematem i językiem do regionu. Wypada więc przywołać opinię Pawła Nowackiego, eksperta digitalizacji mediów, który sugerował, że jednym z celów przejścia mediów regionalnych Polska Press przez Orlen w 2020 r. był dostęp do danych. Bo zasięg w sieci jest bezcenny.

Spójrzmy więc na raport medialny PSMM, który pokazuje zasięgi ugrupowań politycznych na YouTube w pierwszym tygodniu września. Nokaut! PiS 14 mln wyświetleń. Dla porównania: Konfederacja – 450 tys., PO – 209 tys. Najpopularniejszym filmem był klip „Tusk = bezrobocie”. Kilku aktorów opowiada w nim swoje „wspomnienia”. Pan w żółtym robotniczym kasku z ładną dykcją ponoć stracił przez Tuska pracę, bo „bezrobocie sięgało 14 proc.”; pani na tle placu zabaw umiejętnie czyta z promptera, że pamięta „wszystkie kłamstwa” Tuska; a starszy elegancki pan jest przekonany, że „zrobił raz, zrobi znowu”. Ten 14-sekundowy teatrzyk obejrzało prawie 10 mln ludzi.

Według Fundacji Panoptykon już w kampanii w 2019 r. wykorzystywano mikrotargetowanie, czyli kierowanie specjalnie przygotowanych przekazów reklamowych do wąskiej grupy odbiorców. Kiedy robi tak biznes, nikt nie podnosi larum, ale kiedy robią tak partie polityczne, sprawa śmierdzi. Widać to było doskonale przy aferze z udziałem Cambridge Analytica – firmy, która na podstawie danych



z Facebooka rysowała psychometryczne profile użytkowników wykorzystywane w reklamach na tej platformie. Mistrzami tego rozwiązania mieli być zwolennicy wyjścia Wielkiej Brytanii z UE oraz szefowie kampanii prezydenckiej Trumpa.

Pamiętam, jak w jednym z odcinków serialu „House of Cards” przed wyjazdem wyborczym prezydenta i małżonki do jakiegoś miasteczka w jednym ze stanów dyskutowano o kolorze włosów pierwszej damy, ponieważ z badań wyszło, że lokalne kobiety nie przepadają za blond. Bo szczegół ma znaczenie. W raporcie „Kto cię namierzył” Panoptykon sugerował, że kluczowe jest dopasowanie komunikatu do jednej lub kilku cech, które wyróżniają odbiorców.

Wtedy można celniej trafić. Można podzielić mieszkańców miast nie tylko według dzielnic, ale też np. na tych, którzy chcą więcej ścieżek rowerowych lub więcej miejsc parkingowych.

To były jednak czasy sprzed AI, jaką dziś znamy (a znamy i tak skrawek możliwości). Kiedy PO wykorzystuje w kampanii wygenerowany przez sztuczną inteligencję głos premiera Morawieckiego, biją dzwony, że to skandal! Większy niż aktorzy w spocie PiS cytujący scenariusz reklamy? Nie sądzę. Europejskie regulacje nie zdążą przed 15 października, ale to AI będzie najpewniej wygrywać polityczne kampanie.

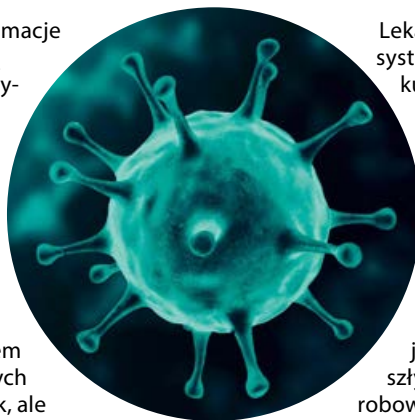
Przy sprawie Cambridge Analytica pojawiało się nazwisko polskiego naukowca Michała Kosińskiego z Uniwersytetu Stanforda. Algorytm, którym posłużył się program CA, został stworzony właśnie przez Polaka. Na podstawie naszej aktywności w mediach społecznościowych może być wytworzony obraz, który powie o nas więcej niż nasza rodzina. Kiedy rozmawialiśmy swego czasu w Gdańsku, prof. Kosiński dziwił się, że ludzie się dziwią. Z algorytmami jest jak z dynamitem – tłumaczył – zabije albo skruszy skalę, żeby zbudować wygodną drogę. I ostrzegwał – w przyszłości prywatność przestanie być naszym prawem. Tę akurat wojnę już przegraliśmy.

Covid krąży

Na radarach WHO pojawiły się nowe warianty koronawirusów, określane mianem spadkobierców Omikrona: EG.5 (Eris) oraz BA.2.86 (Pirolis), które zaczęły przyczyniać się do szybkiego wzrostu zakażeń **Covid-19**. W obu przypadkach mamy do czynienia z mutacjami, które dość łatwo uciekają przed przeciwciałami wytwarzanymi przez naturalny układ odporności w odpowiedzi na wcześniejsze infekcje. Liczba chorych rośnie więc na świecie, a w ostatnich dniach zaczęło ich przybywać również w Polsce.

Podobnie jak w poprzednim roku, fala tzw. jesiennych przeziębień nadciągnęła dużo wcześniej niż przed pandemią, czemu winien jest właśnie covid. Tzw. wskaźnik R, którym określa się dynamikę rozwoju wirusa i stopień jego zaraźliwości, w połowie sierpnia wynosił 1,14, pod koniec wakacji – 1,36, a 7 września – już 1,66. Tego rodzaju danymi, podobnie jak wynikami testów (które wykonują i raportują tylko nieliczne placówki), dzielą się w mediach społecznościowych znów jedynie

wolontariusze. Informacje z resortu zdrowia są skąpe, a stopień przygotowania do jesienno-zimowego szczytu zachorowań, gdy pojawi się również grypa i inne sezonowe zarazki – właściwie żaden. Resort zdrowia nie tylko ociąża się ze sprowadzeniem do Polski najnowszych odmian szczepionek, ale nawet nie zachęca do przyjęcia dawek przypominających preparatami, które zalegają w magazynach. Ostatnie e-skierowania zostały wystawione na internetowych kontaktach pacjentów (IKP) w 2022 r. – były na tzw. II dawkę przypominającą. Skorzystało z nich zaledwie 15 proc. uprawnionych, a pozostałych są regularnie anulowane i wznowiane (innym torem idą skierowania dla 2 mln osób z obniżoną odpornością – dla nich wiosną wystawiono skierowania już do kolejnej dawki).



Lekarze skarżą się, że w całym systemie wkrał się bałagan i brakuje informacji, które mogłyby przekazywać pacjentom. Skończyły się też zapasy przeciwwirusowego leku Paxlovid, który zapobiega ciężkiemu przebiegowi covid. A choć większość infekcji ma teraz postać lżejszych lub cięższych przeziębień, to nadal jest grupa osób w podeszłym wieku lub z wielochorobowością, którym taki specyfik może uratować życie. Wreszcie – mamy po raz kolejny zupełnie nieprzygotowane do sezonu jesiennego szkoły, choć w nich już niedługo znów będzie dochodzić do rozprzestrzeniania zakażeń. – Nie byłoby tego problemu, gdyby sale lekcyjne miały lepszą wentylację – mówi dr inż. Jerzy Sowa z Politechniki Warszawskiej, od ponad 20 lat zajmujący się jakością powietrza m.in. w placówkach oświatowych. Samo otwarcie okien nie wystarczy, więc pewnie niedługo znów trzeba będzie wrócić do masek, dystansu i dezynfekcji. (PAW)



między mocarstwami, w wypadku Chin także niesnasek terytorialnych z Indiami, choć amerykański prezydent Joe Biden stwierdził, że „byłoby miło”, gdyby Xi i Putin jednak się pokazali. Skoro zabrakło gwiazd, to na pierwszy plan udanie wskoczył gospodarz, premier Narendra Modi. Wpisał spotkania w kampanię przed planowanymi na wiosnę wyborami parlamentarnymi i w działania budujące markę najludniejszego państwa globu, o którym Modi mówi, że to ponad miliard ambitnych umysłów, dwa miliardy wykwalifikowanych rąk i kilkaset milionów rwących się do roboty młodych ludzi.

Indyjski łaźnik eksploruje Księżyc, sonda badawcza zmierza w stronę Słońca, a w szykującym się na szczyt Delhi przeprowadzono wielkie malowanie. Bez sentymentów burzono slumsy, przepędzono ludzi mieszkających na ulicach, łapano bezdomne psy, sadzono kwiaty i odstraszano wygłodniałe makaki, żeby nie atakowały gości. Z tysięcy rozwieszonych w stolicy plakatów witał ich Modi, który za sprawą szczytu starał się pokazać światu, że nadchodzi epoka Indii. Czy też raczej Bharatu. Obie nazwy są równoważne, w art. 1 konstytucji padają słowa „Indie, to jest Bharat”, ale później ustawa zasadnicza już do Bharatu nie wraca. Ale nacjonalista Modi forsuje tę wersję, bo ona świetnie się nadaje na otwarcie nowego etapu.

0 Indiach czytaj też na s. 52.

Czas Bharatu

Oczekiwania przed **szczytem G20 w Delhi** były niewygodowane, więc skromny uropek dwudniowych spotkań przyjęto bez zaskoczeń. W końcowej deklaracji nie potępiono rosyjskiej agresji w Ukrainie, rok temu na Bali opisano ją w znacznie mocniejszych słowach. Przyjęto deklarację o potrojeniu do końca dekady globalnej mocy wytwórczej energii odnawialnej, ale nie narzucono konkretnych celów klimatycznych ani nie wskazano mechanizmów

finansowania. Pojawił się pomysł nowych połączeń transportowych i handlowych, w tym portów i kolei, między Europą, Bliskim Wschodem i Indiami. Harmonogramu i kosztorysu też brak, w każdym razie przedsięwzięcie wygląda jak montowana przez USA przeciwwaga dla podobnego systemu od lat konstruowanego przez Chiny pod hasłem nowego jedwabnego szlaku.

Rangę szczytu istotnie obniżyła nieobecność przywódców Chin i Rosji. Absencje Xi Jinpinga i Władimira Putina są efektem coraz głębszych podziałów

Koniec futer?

W Finlandii, kraju, który jest największym producentem futer z **lisów** w Europie, ptasia grypa panuje już na 26 fermach. Władze podjęły decyzję o zabiciu 120 tys. lisów i nerek. I o przebadaniu wszystkich, ponad 400, fińskich ferm. Jednocześnie inspektorzy skontrolują, czy hodowcy zabezpieczają zwierzęta przed kontaktem z dzikimi ptakami. Chcieliby wygasic epidemię, zanim w październiku zacznie się sezon zachorowań na grypę u ludzi. Są na to małe szanse. Największa fińska organizacja ochrony zwierząt Animalia apeluje o wprowadzenie zakazu hodowli zwierząt na futra, tak jak stało się to już w 20 krajach Europy.

Fińskie służby traktują sytuację poważnie, bo pamiętają rzeź 17 mln nerek w Danii podczas pandemii covidu. Naukowcy ostrzegają, że norki i fretki są genetycznie podatne na przenoszenie wirusów grypy. Dodatkowym czynnikiem ryzyka jest ogromne zagęszczenie, w jakim te zwierzęta żyją na fermach. To powoduje szybkie rozprzestrzenianie się wirusów o potencjale pandemicznym oraz wpływa na łatwiejszą adaptację wirusa u ssaków, co jest mało prawdopodobne w naturze – piszą w artykule naukowym wirusolodzy z Wydziału Chorób Zakaźnych Imperial College w Londynie. I apelują do rządów o uwzględnienie zakazu hodowli zwierząt na futro – zwłaszcza nerek – w polityce przygotowawczej do kolejnej epidemii.

Światowa Organizacja Zdrowia wydała komunikat, w którym ostrzega przed możliwością mutowania wirusa H5N1 u ssaków. „Wirusy ptasiej grypy zwykle rozprzestrzeniają się wśród ptaków,



ale rosnąca liczba przypadków ptasiej grypy wśród ssaków budzi obawy, że wirus może przystosować się do łatwiejszego zarażenia ludzi. Prawdopodobne jest pojawienie się nowych mutacji, które mogą być bardziej szkodliwe dla zwierząt i ludzi”. U kilku nerek przebadanych w Finlandii wykryto właśnie taki zmutowany wariant.

WHO odnotowuje wszystkie przypadki ptasiej grypy u ssaków. W październiku 2022 r. w hiszpańskiej Galicji zakażenie wykryto również u nerek na fermach. Zabito ponad 50 tys. zwierząt. Potem były foki w USA, tysiące lwów morskich w Peru, Chile i Argentynie. I wreszcie polskie koty, największe do tej pory ognisko u zwierząt domowych.

Drugi front Ukrainy

Nowy minister obrony Rustem Umerow ma do pokonania nie tylko Rosję. Aby wykonać zadanie strategiczne, będzie musiał skuteczniej niż poprzednik zmierzyć się z wrogiem wewnętrznym – układami, korupcją i dekonownikami. Odwołany na początku września Ołeksij Reznikow przez ponad rok skupiał się głównie na wojskowej dyplomacji. W tandemie z ministrem spraw zagranicznych Dmytro Kulebą i pod wodzą niezrównanego prezydenta Wołodymyra Zełenskiego załatwiał dla ukraińskiej armii wszystko, co tylko się dało, a nawet więcej, przy nie tak wcale chętniej postawie części Zachodu. Odnosząc sukcesy na froncie zewnętrznym, przegrał z niezreformowanym systemem wewnątrz kraju.

Wojenna cenzura i autocenzura długo blokowały ujawnianie niekorzystnych dla Ukrainy i jej armii faktów. Kiedy jednak skończyło się egzystencjalne zagrożenie dla Kijowa, a sytuacja na froncie jako tako się ustabilizowała, przypadki złodziejstwa, łapownictwa i cwaniactwa przestały być tematem tabu. Na jaw zaczęły wychodzić historie o sprzedawaniu na lewo zachodnich darów, które nigdy nie docierały do żołnierzy. O rozkradaniu paliwa, agregatów i żywności. O zamawianiu kiepskich jakościowo racji za kilkukrotnie zawyżoną cenę. O załatwianiu zwolnień od służby na froncie za 3 tys. dol., które najsprawniejszym „załatwiaczom” pozwalały kupować domy na Zachodzie.

Umerow dostał od Zełenskiego zadanie wyczyszczenia tej stajni Augiasza w chwili, gdy choćby w USA trwa coraz głośniejsza debata o dalszej pomocy dla Ukrainy. Plan reform nowy minister przedstawił Radzie Najwyższej. W MON ma być przeprowadzony audyt. Skrócono listę chorób uprawniających do zwolnienia z poboru. System ewidencji wojskowej ma być ucyfrowiony i scentralizowany, co ma ograniczyć nadużycia i zamknąć możliwość wykupienia się ze służby. Teraz wezwania mogą się spodziewać nawet młodzi mężczyźni przebywający na emigracji, na przykład w Polsce. Zamówienia wojskowe mają być dokonywane w ramach „procedur zgodnych z NATO”. Wszystko to bardzo ambitne jak na kraj w trakcie wojny, uzależniony od finansowej kropelki Zachodu. Przy okazji wyszło na jaw, że w budżecie brakuje na wypłaty dla wojskowych 250 mld hrywien (6 mld dol.). Zełenski robi wszystko, by morale nie podupało mimo personalnego trzęsienia ziemi. Osobiście ręczy za nowego ministra generałem w sztabach i porucznikom na froncie. Byłoby katastrofą, gdyby ofensywa się zachwiała, teraz gdy zaczęła przynosić pierwsze sukcesy.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI



Trzęsienie w Maroku

Maroko zostało dotknięte najsilniejszym trzęsieniem ziemi od stulecia. Bilans ofiar w trzeciej dobie po kataklizmie przekroczył 2,5 tys. zabitych i blisko 2,5 tys. ciężko rannych. Ziemia zatrzęsała się 8 września przed północą, gdy większość mieszkańców kraju przebywała w domach. I co prawda Maroko leży w strefie sejsmicznej, w obszarze, w którym płyta afrykańska w tempie kilku milimetrów rocznie przesuwa się względem europejskiej, ale ta część Afryki Północnej dość rzadko styka się z konsekwencjami tej kolizji. Wysoka aktywność sejsmiczna zaznacza się dalej na wschód, zwłaszcza we Włoszech, w Grecji i Turcji.

Tym razem epicentrum znajdowało się w górach Atlas, między Agadirem i Marrakeszem. W gruzy obróciły się tysiące domów wzniesionych także z cegły mułowej, która nie zapewnia odpowiedniej odporności konstrukcjom. Spadające na drogi skały odcięły górskie wsie i miasteczka od pomocy z zewnątrz. Z braku sprzętu, karetek i ratowników akcję poszukiwawczą prowadzono często

gołymi rękami. Poważnie uszkodzone jest 585 szkół i m.in. wpisane na listę światowego dziedzictwa ludzkości UNESCO **stare miasto w Marrakeszu**, czołowa atrakcja kraju, zapewniająca sporą część dochodów z turystyki, będącej ważną gałęzią marokańskiej gospodarki.

Wobliczu katastrofy nie spisały się władze. Specjaliści dopowiadają, że scentralizowanie ustroju utrudnia reakcję na zdarzenie podobnych rozmiarów, a Marokańczykom anemiczna reakcja rządu, w tym nieskoordynowane wysiłki i brak informacji, przypominała zdarzenia z 2004 r. Wtedy premier nie udał się na teren dotknięty trzęsieniem, bo protokół nakazywał, by wpieryw przybył tam król. Przyjęto tylko pomoc z Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Kataru i Zjednoczonych Emiratów Arabskich, ale – na tle fatalnych stosunków z Francją – odmówiono ratownikom francuskim, mimo że po kilkudziesięciu godzinach akcji lokalne siły były już zupełnie wyczerpane.

Tranq jak krokodyl

Na amerykańskim rynku narkotyków pojawił się tranq, połączenie fentanylu, syntetycznego opioidu, z ksyłazyną, silnym lekiem uspokajającym i przeciwbólowym stosowanym w weterynarii. Spustoszenie sieje sam fentanyl, 50 razy mocniejszy od heroiny. Ze 100 tys. zmarłych z przedawkowania w USA rocznie trzy czwarte to jego ofiary. Mieszanka fentanylu z ksyłazyną silnie uzależnia i jest dużo groźniejsza: wprowadza w długotrwały stan nieobecności, zaburza rytm serca i oddychanie. Wywołuje też ropiejące wrzody, głównie na kończynach, rany ciężko się goją, stąd częste amputacje. Tymi objawami nowy narkotyk przypomina rosyjskiego krokodyla sprzed 10 lat, chałupniczą dezomorfinę, heroinę dla ubogich, która niszczyła organizm,

i dosłownie „zjadała mięso”, pozostawiając nieuleczalne rany.

Ofiary najczęściej nie są świadome, że biorą towar chrzczonej taną i łatwo dostępną ksyłazyną (kilogram chińskiego surowca kosztuje w internecie 5 dol.). Jedyny skuteczny sposób przeciwdziałania to analiza chemiczna towaru, powstają nawet w tym celu przenośne uliczne laboratoria. To na razie wszystko. W przypadku fentanylu na przedawkowanie działa naloxon, na tranq nie ma podobnego leku i nie są dobrze zbadane mechanizmy jego działania. Prawdziwym centrum tranq – i laboratorium badawczym – stała się Filadelfia. Ten narkotyk rozprzestrzenia się szybko i odnotowany został we wszystkich stanach, także w Kanadzie i w Wielkiej Brytanii. Amerykańska Agencja do walki z Narkotykami (DEA) zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji i zaczyna śledzić rynek ksyłazyny. Ale meksykańsko-chiński kartel dostawczy łatwo się nie podda.



Chłopcy do wzięcia

Na fotomontażu od lewej:
Przemysław Wipler, Krzysztof Bosak,
Sławomir Mentzen i Grzegorz Braun.

PRZEMYSŁAW WITKOWSKI

Czy Konfederacja zmierza do koalicji z PiS, czy kusi ją wizja przyspieszonych wyborów? A może dołączy do zjednoczonej, antypisowskiej, opozycji? To może zależeć od składu sejmowej reprezentacji. Kto jest kim na jej listach i w samej partii?

Partie polityczne lubią prezentować się jako monolity. Tymczasem ugrupowania, podzielone na frakcje i koterie, czasem z powodu różnic ideologicznych, a dużo częściej personalnych i taktycznych, są bardziej kłębowiskiem ambicji i animozji niż sprawną maszyną opartą na genialnych planach wybitnych strategów. Wodzowie zaś większość energii zużywają na walki wewnętrzne i ustalanie hierarchii we własnej formacji.

Nie inaczej sprawa ma się z Konfederacją. Wiadać to w jej przypadku tym wyraźniej, że ugrupowanie to pełni jedynie funkcję partii parasolowej dla trzech bloków o wyraźnych różnicach ideologicznych i wielu mniejszych środowisk bez formalnych struktur. Żeby zrozumieć, dokąd zmierza Konfederacja, trzeba więc zajrzeć „pod maskę” tej nieco bardziej błyszczącej ostatnio w sondażach „karoserii”

i zobaczyć, z jakich elementów składa się jej układ napędowy, skąd płynie paliwo i jak działają w niej różne mechanizmy.

Po pierwsze, należy odrzucić mit genialnego stratega Sławomira Mentzena. Ten względnie sprawny gracz partyjny, dość skutecznie wygrywający z konkurencją „konkurs piękności” w mediach społecznościowych, przy pierwszych naciskach na konkrety momentalnie chowa się za „nie wiem, nie znam się, nie pamiętam, nie czytałem, a tak w ogóle to mam doktorat z ekonomii”, co wyraźnie pokazały jego publiczne dyskusje z Ryszardem Petru czy wywiady z choćby powierzchownie przygotowanymi dziennikarzami. Kiedy nie może, jak na swoim TikToku, w stu procentach kontrolować przekaz, jego czar pryska i zaczyna się spektakl kluczenia i dąsów.

Jego największym talentem okazuje się więc przede wszystkim bezlitośnie skuteczna eliminacja przeciwników politycznych w łonie własnej partii. Udało mu się już bowiem przesunąć nestora Janusza Korwin-Mikkego na boczny tor i wypchnąć ze swojej formacji konkurentów do tronu: Artura Dziambora i Jakuba Kulęszę, a Konrada Berkowicza i Dobromira Sośnierza przeciągnąć pod kilem i upokorzonych umieścić na listach tam, gdzie życzy sobie tego nowy wódz. Przypomina w tych grach dominację Jarosława Kaczyńskiego, który w podobny sposób traktuje wszelką wewnętrzną opozycję, czego losy Zbigniewa Ziobry i jego Suwerennej Polski czy Jarosława Gowina i jego Porozumienia są koronnymi przykładami. Ktokolwiek narazi się wodzowi i przeszkadza w realizacji jego „genialnego planu”, musi liczyć się z serią brutalnych i bezlitosnych politycznych retacji.

Pamiętać jednak należy, że rządzić żelazną ręką Mentzen może co najwyżej w Nowej Nadziei (dawniej KORWiN/Wolność). Kolejnym bowiem mitem, który należałoby obnażyć, są wszelkie fantazje o politycznej spójności Konfederacji. Oprócz fanatyków wolnego rynku, patriarchy i walki z lewactwem, którymi kieruje Mentzen, mamy w tej parasolowej partii jeszcze dwie formacje: nacjonalistów z Ruchu Narodowego i popolite ruszenie antysemitów, teoriiospiskowców, ukraińofobów, antyszczepionkowców i religijnych ortodoksów – Konfederację Korony Polski, czyli partię Grzegorza Brauna.

Anioły z UFO

W efekcie stosunek sił obozów w partii, a co za tym idzie jej losy, będzie zależał przede wszystkim od wyniku wyborów. Po pierwsze, od tego, ile zdobędzie razem cała formacja, ale co ważniejsze, ile mandatów zdobędą przedstawiciele innych niż ten kontrolowany przez Mentzena filar. Jakie ma to znaczenie, pokazują znów dobrze losy Zjednoczonej Prawicy, w której zaskakująco dobre wyniki przedstawiciele Suwerennej Polski i Porozumienia (a co za tym idzie, większa niż przewidywana reprezentacja tych formacji w Sejmie) w 2019 r. postawiły Kaczyńskiego wobec serii rokoszy i rozłamów i zmusiły do skupienia sporej części energii na ich pacyfikowaniu i mozolnym kaptowaniu kolejnych posłów z szeregów zewnętrznej i wewnętrznej opozycji. Symbolem stały się tu takie kariery w obozie władzy, jak Pawła Kukiza czy Łukasza Mejszy. To samo może czekać i Mentzena, jeśli okaże się, że mobilizacja (i w efekcie wynik w postaci liczby mandatów) nacjonalistów czy teoriiospiskowców będzie większa, niż można wnioskować z ich uytuowania na wyborczych listach.

Tymczasem w Konfederacji, jeszcze przed wyborami, sytuacja jest bardzo napięta. Z pierwszego szeregu partii wypychany jest skutecznie Grzegorz Braun. Trudno uznać to jedynie za rodzaj taktyki wyborczej. Mentzen i grający z nim w duecie lider Ruchu Narodowego Krzysztof Bosak celują bowiem w pozyskanie większego segmentu głosów klasy średniej. Z kolei poseł-reżyser z jego bezkompromisowym religijnym fanatyzmem, homofobia

i rosyjskimi sympatiami czy zamiłowaniem do spiskowych teorii jest tu ewidentną kulą w nogi. Doszło do tego, że Braun musiał sobie sam doklejać własne zdjęcie obok Mentzena i Bosaka na plakatach reklamujących wyborczą konwencję partii, której formalnie jest jednym z trzech głównych liderów.

Ze nie jest to tylko zagranie w duchu kampanijnego teatru, pokazuje los licznych kandydatów zgłaszanych przez Koronę na wyborcze listy. Zablokowane zostały bowiem, jeszcze na poziomie ich ustalania, takie kandydatury, jak społeczna asystentka Brauna i zarazem liderka antyszczepionkowców Justyna Socha, liderzy antyukraińskiego „ruchu pokojowego” Leszek Sykulski i Sebastian Pitoń (a nawet jego żona), a kolejny „pacyfista” i były ulubieniec Tadeusza Rydzka Mirosław Piotrowski został jedynie kandydatem partii do Senatu. Ideolożka antyukraińskich „Kresowiaków” Lucyna Kulińska, w 2019 r. kandydująca z list Konfederacji do Parlamentu Europejskiego, tym razem startuje do Senatu z własnego komitetu. Twórca kanału wreau24.pl Marcin Rola nie kandyduje w ogóle.

Ci, którzy ostatecznie z Korony kandydują, nie odstają oczywiście ideowo od typowych przedstawicieli środowiska Brauna. Jedynka w Częstochowie, czyli Tomasz Stała, pod szyldem 3DOM wydaje liczne antysemitki i negujące Holokaust książki, z całą serią publikacji najsłynniejszego polskiego negacjonisty Dariusza Ratajczaka oraz monologami samego Adolfa Hitlera („Adolf Hitler. Twarzą w twarz”). Twierdzi również, że w sprawie komór gazowych jest „dużo znaków zapytania”. Lider listy w Przemysłu Andrzej Zapałowski to od ponad 20 lat filar antyukraińskich konferencji i demonstracji oraz jeden z „obserwatorów” wyborczych w krajach poradzieckich, organizowanych przez oskarżonego o szpiegostwo na rzecz Rosji Mateusza Piskorskiego.

Kolejnym uczestnikiem sympatyzujących z Moskwą i Damaszkiem złotów i wycieczek na Wschód jest dwójka w Bydgoszczy Sławomir Ozdyk. Trójka w Kielcach z kolei, czyli Piotr Heszten, uważa UFO za upadłe anioły przebywające w Eterze, twierdzi, że „Ukraińcy przynoszą choroby”. Ponadto żadnej pandemii nie było i trzeba chronić osocza Polaków, bo może dojść do stworzenia broni selektywnej z użyciem polskiego DNA. W Lublinie zaś trójką jest literaturoznawca z KUL Ryszard Zajączkowski, aktywny antyszczepionkowiec, głosiciel siły plandemii i wielkiego resetu, który nawołuje, aby „tworzyć siły oporu, które będą się przeciwstawiać niewielkiej garstce ludzi opętanych wizją zniewolenia całej ludzkości”. Twierdzi też, że na Ziemi zajdą wkrótce zmiany porównywalne z tymi, jakie zaszły po urodzeniu Jezusa.

Rzeź braunistów

Reszta to w większości debiutanci w aktywności politycznej. Dodatkowo ci kandydaci tym się różnią od skreślonych, że nawet w swoich środowiskach są wyraźnie mniej rozpoznawalni. Na pierwszy rzut oka zapowiada się więc przy urnie rzeź braunistów. Jedyną nadzieją w tych wyborach dla środowiska Brauna i elementem, który może pokrzyżować plany marginalizacji posła-reżysera w Sejmie nowej kadencji, jest niezwykła wprost motywacja i aktywność jego zwolenników. Ich wyborczą wagę można szacować na 2–3 proc. z 9–12 proc., jakie osiąga w sondażach Konfederacja. Punkty te mogą zdecydować o tym, czy partia parasolowa będzie mieć raczej kilkunastu czy kilkudziesięciu posłów. Braun liczy więc na swoją wierną „sektę”, a Bosak z Mentzenem na to, że zabiorą jej głosy, a wejdą raczej kandydaci Nowej Nadziei czy Ruchu Narodowego i aksamitnie pozbędą się braunistów. Wynik jego grupy jest o tyle ważny, że dysponuje ona absolutnie zerową zdolnością koalicyjną. Duża liczba posłów z tej frakcji zamykałaby rozważania o wejściu Konfederacji do jakiegokolwiek rządu. ►

► Słabiej ma się ostatnio także drugi główny członek partii, czyli nacjonalistyczny Ruch Narodowy. Poważnym ciosem okazała się rezygnacja z aktywnej polityki jego prezesa Roberta Winnickiego. Oficjalnie z powodów zdrowotnych. Na sugestie aktywisty LGBT Bartosza Staszewskiego, że związane jest to z wypłynięciem materiałów obyczajowych o charakterze homoseksualnym, Winnicki zaprzeczył i zapowiedział pozwy. Od lat aktywny w polityce tym razem pauzuje, a na listy trafiają mniej znani działacze. Oprócz będących w cieniu kolegów z klubu posłów Krzysztofa Tuduja, Krystiana Kamińskiego i Michała Urbaniaka, z wysokich (i potencjalnie biorących) miejsc na listach kandydują zarekomendowani przez Ruch Narodowy Krzysztof Bosak z małżonką Kariną; a także znany z pomysłu ewidencjonowania gejów, zapowiadający na Twitterze pogonienie Ukraińców i Żydów, a na dawniejszych plakatów wyborczych występujący z kijem bejsbolowym członek rady liderów partii Witold Tumanowicz; była posłanka PiS i Suwerennej Polski, wspierająca antyszczepionkowców Anna Siarkowska; ekslider Obozu Narodowo-Radykalnego Tomasz Dorosz; były prezes Młodzieży Wszechpolskiej Ziemowit Przebitykowski oraz skarbnik Ruchu Narodowego Michał Wawer. Mało znane szerszej publiczności nazwiska rekompensować ma długoletnie zaangażowanie w ruch nacjonalistyczny.

W ostatecznym rozrachunku dominującą siłą w Konfederacji pozostaje Nowa Nadzieja, której kandydaci zdominowali listy i mają bardziej rozpoznawalne nazwiska. Z jej szeregów wywodzą się bowiem spośród kandydatów z wysokich miejsc: sam Mentzen; niedoszły delfin Korwin-Mikkego Konrad Berkowicz (wraz ze swoim ojcem Adamem prowadzącym w Jaśle szkołę tańca); Dobromir Sośnierz; sam Korwin-Mikke (wraz z liczną rodziną, w tym żoną Dominiką, synem Jackiem i zięciem – radnym ze Świdnika Bartłojem Pejo); były poseł PiS Przemysław Wipler (który wypadł z polityki po pijackiej burdzie z policją pod jednym z warszawskich lokali); syn prezesa NIK Jakub Banaś (znany najbardziej z wynajmu kamienicy grupie krakowskich sutenerów); Jacek W. Bartyzel (ostatnio bardziej znany z pozamałżeńskiego romansu w gronie ultrakonserwatystów niż z polityki); były wicemarszałek Sejmu Krzysztof Tyszkowski i eksposeł Jacek Wilk, ekskukizowiec znany z oficjalnej wizyty na okupowanym Krymie i z licznych związków ze skrajnie prawicową i prorosyjską Alternatywą dla Niemiec. Mają wysokie miejsca na listach i przy obecnych sondażach Konfederacji miejsca w Sejmie. Wszyscy oni to gospodarzy ultraliberałowie, wrodzy obostrzeniom antypandemicznym i domagający się dobrowolności szczepień. Dodatkowo z „dużą wyrozumiałością” dla Rosji w kontekście inwazji na Ukrainę. Teoretycznie nie daje to wielu pół do koalicji z PiS, ale trudno wykluczyć jakieś pozapolityczne relacje i uwarunkowania.

Wzrosty stanęły

Plan liderów Konfederacji jest prosty – uzyskać jak najlepszy wynik, zablokować możliwość zbudowania rządu – czy to przez PiS, czy PO – i przeć do przyspieszonych wyborów na wiosnę. Poprawić wynik i stać się główną siłą w Sejmie. Jednak, jak to genialne plany mają w zwyczaj, nie biorą pod uwagę wielu zmiennych. Z potencjalnych *kingmakerów* Konfederacji mogą jeszcze wrócić przed 15 października do roli najmniejszego klubu w Sejmie.

Wzrosty sondażowe partii bowiem stanęły, a nawet dało się zaobserwować 2–3-procentowe spadki. Ogromne nakłady finansowe na kampanię ze strony zarówno PiS, jak i KO oraz zdominowanie przez te komitety wyborcze przekazu medialnego zaczyna być coraz bardziej wyczuwalne. Konfederacja nie ma po prostu takich pieniędzy i nie jest w stanie sztukować tego aktywnością w social mediach i „piwem z Mentzenem”. Klęska urodzaju też może być dla nich zabójcza. Co, jeśli brauniści się wzmocnią? Ilu

będzie ostatecznie nacjonalistów, a ilu mentzenowców w klubie poselskim? Ilu z nich będzie debutantami? Na te pytania odpowie dopiero ostateczny wynik wyborczy.

No i pozostaje pytanie najważniejsze: ilu posłów będzie brakowało PiS do większości? Jeśli wielu, wysyłane będą propozycje zbudowania koalicji. Jak się kończą koalicje z Kaczyńskim, pokazują losy wszystkich partii, które się na to zdecydowały: od KPN, przez ZChN, LPR i Samoobronę, do Porozumienia. Liderzy kończą bez ugrupowania, z zarzutami prokuratorskimi, i to w wersji optymistycznej, bo niektórzy postanawiają dosłownie ze sobą skończyć. W efekcie mimo cudownych obietnic nie jest to specjalnie pożądana opcja. Siarkowska i Wipler dobrze wiedzą, jak wygląda granie w orkiestrze prezesa PiS, gdzie nie ma miejsca na solistów. Oboje z tych szeregów z hukiem wylecieli. Mentzen z Bosakiem pragną zaś rozwijać swój startup, bo mierzą najwyżej, jak się da, w polskiej polityce – w fotel premiera i Pałac Prezydencki. Zostanie nowym Adamem Andruszkiewiczem, a tym bardziej Romanem Giertychem do tego by ich nie przybliżyło ani na centymetr.

Mit nieprzekupnych

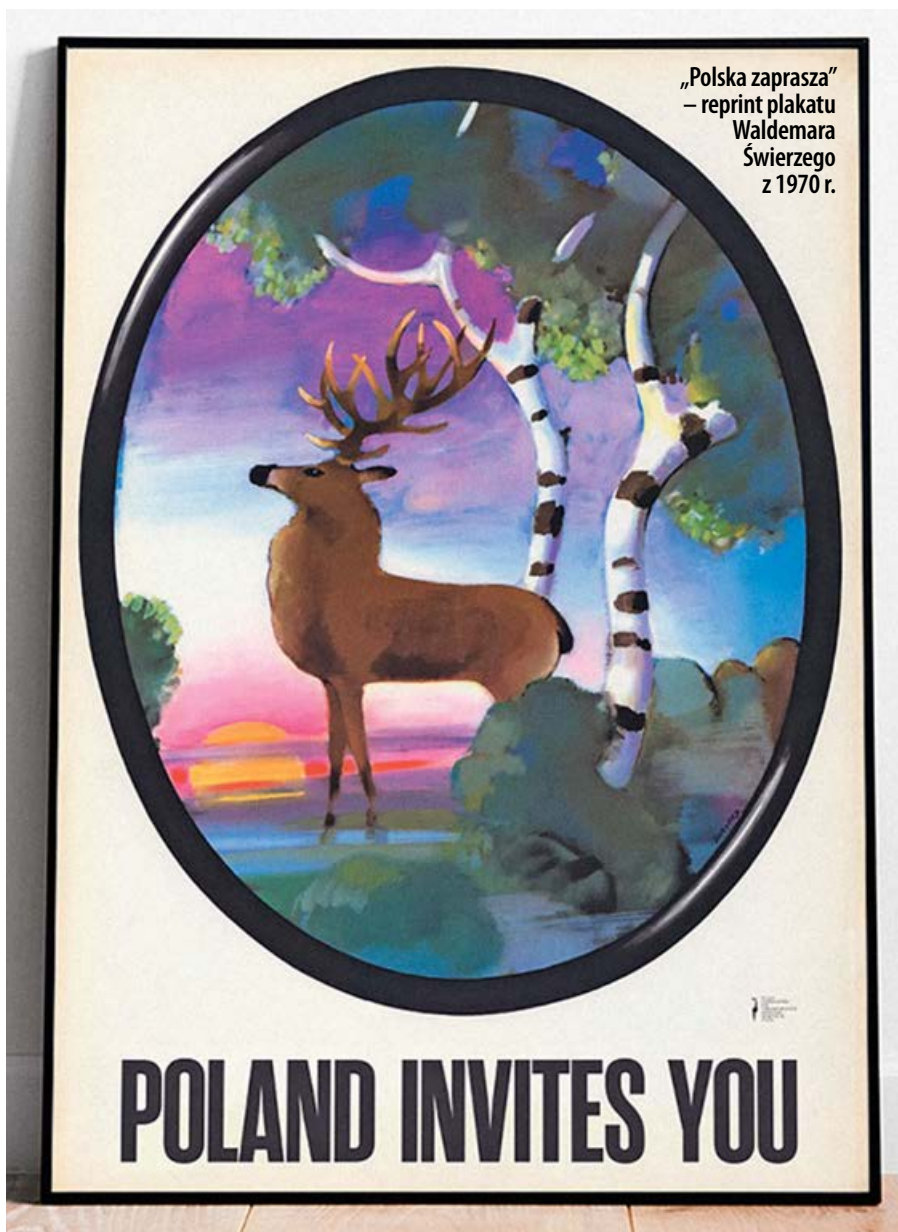
Już przedewszystkim konfederaci zdecydowaliby się na koalicję z KO, bo to dawałoby im glejt cywilizowanej partii, ale tu z kolei nikt się do tego pomysłu nie pali. Więc w scenariuszu braku wyraźnego zwycięzcy Konfederacja będzie grać na kłincz i czekać na wiosnę i nowe wybory. Przed tym zaś może, w zależności od wysokości sondaży, dojść do ostatecznego wypchnięcia z partii Brauna i jego ludzi oraz scenariusza węgierskiego. Tam podobna do Konfederacji formacja, czyli Jobbik, również utraciła najbardziej radykalne skrzydła, które pod wodzą László Toroczkai utworzyły partię Mi Hazánk Mozgalom. Jobbik tymczasem zaczął powolną drogę do centrum, rezygnując z ostrej antysemitkiej i antyromskiej retoryki i dołączając do naddunajskiej wersji zjednoczonej opozycji. Takie też mogą być i w Polsce efekty planu duetu Mentzen-Wipler.

Jeśli zaś PiS będzie brakować do większości niewiele, to zacznie się polowanie na konfederackich posłów. Zostaną użyte wszelkie możliwe haki, kompromaty i odmiany politycznej korupcji, tak aby tylko podtrzymać istnienie obozu „dobrej zmiany”. PiS w takim wypadku będzie starał się przyciągać bądź to posłów debutantów (a tych w szeregach Konfederacji zapowiada się bardzo wielu), bądź tych, którzy mają najsłabsze uformowanie ideologiczne. Takimi ludźmi byli, politycznie zradykalizowani już jako panowie w średnim wieku, Paweł Kukiz czy Robert Bąkiewicz, do tego skonfliktowani ze swoim dawnym środowiskiem. Po debutantach i outsiderach pierwszym wyborem będą nacjonalisci. Jest już ich zresztą w PiS sporo, z Bąkiewiczem, Andruszkiewiczem, Chruszczem, Rzymkowskim czy Czarnikiem na czele, a całości tej nacjonalistycznej nogi PiS patronuje Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej, kierowany przez Jana Żaryna.

Z maili Michała Dworczyka mogliśmy się zaś dowiedzieć, że rozmowy między RN a PiS były zaawansowane, a proces ten nadzorował prezes Winnicki. Po usunięciu się Winnickiego metodą Kaczyńskiego może być wytworzenie rozłamu. Podobnego do tych, które zrodziły wierne wobec PiS Partię Republikańską Adama Bielana czy OdNowę Rzeczypospolitej Polskiej Marcina Ociepy. Kto zaś połakomi się na grube zarobki w spółkach Skarbu Państwa czy też przyjmie pomniejszą funkcję w rządzie, na tym etapie powiedzieć trudno.

Wiara jednak w nieprzekupnych posłów Konfederacji to z kolei mit o tej formacji, którego powinni pozbyć się nie tylko czytelnicy, ale i jej liderzy.

PRZEMYSŁAW WITKOWSKI



uwagę od piętrzących się problemów, gąszczu afer, coraz kosztowniejszych zamiechań. Z wyborów na wybory zmieniają się tylko demony oraz towarzyszące im dekoracje. W tym sezonie dostajemy coś na kształt sequela odkurzonej po ośmiu latach opowieści o islamskich imigrantach, która już raz pomogła PiS zdobyć władzę. Powróciły więc dawno przeciwione strategie rozbudzenia paniki moralnej wokół unijnego mechanizmu relokacji uchodźców, tym razem z dołączonym nowym elementem fabuły w postaci konfliktu granicznego z Białorusią.

Obie te kwestie – czyli bariera na granicy oraz zgoda na relokację – stały się przedmiotem pytań referendalnych. To oczywiście zupełnie różne sprawy, nieporównywalne pod względem prawnym, politycznym i moralnym. Pisowska propaganda używa ich jednak wymiennie jako lepsze tego samego potwora. Co widać choćby w zmanipulowanej treści pytania o unijny mechanizm dotyczący uchodźców, których niezgodnie z prawdą określono mianem „nielegalnych imigrantów”. Tego rodzaju sztuczki mają jednak uwiarygadniać ogólny przekaz o nielegalności wszelkiej imigracji, przy okazji domyślnie zrównując ze sobą otwarcie wrocie działania reżimu Łukaszenki z unijną regulacją, której celem jest realizacja fundamentalnej dla całej wspólnoty zasady solidarności.

I kiedy wydawało się, że propagandowe bełtanie w miarę zbliżania się wyborów będzie już tylko przybierać na sile, z piśmowskiej szafy z hukiem wypadł nagle dorodny szkielet.

Komu widać?

Niepozornym jeszcze preludium było czerwcowe rozporządzenie MSZ z rozszerzeniem listy państw, których obywatele mogą występować o polską wizę bezpośrednio do ministra spraw zagranicznych, korzystając z pośrednictwa „usługodawcy zewnętrznego”. Co stanowi istotne ułatwienie, gdyż pozwala ominąć długie kolejki w konsulatach. Konieczność wprowadzenia takich preferencji ministerstwo uzasadniało przede wszystkim potrzebami naszego rynku pracy, który miał teraz zostać dodatkowo zasilony cudzoziemskimi pracownikami z takich krajów, jak Pakistan, Arabia Saudyjska, Filipiny, Nigeria bądź Indie. O sprawie zrobiło się głośno, kiedy odniósł się do niej Donald Tusk. W internetowym filmiku z początku lata szef PO wprost zaatakował Jarosława Kaczyńskiego, iż „szczuje na imigrantów i jednocześnie chce ich wpuszczać tysiącami”. Po stronie opozycji nie ▶

© WWW.SWIERZY.PL

Afera z masowo wydawanymi wizami do Polski zepchnęła PiS do defensywy w sprawie imigrantów. Opozycja dostała do ręki broń. Obosieczną.

RAFAŁ KALUKIN

Strach ma wielkie oczy i śniadą cerę. Z definicji jest „nielegalny” i nie można się po nim niczego dobrego spodziewać. Porusza się w „hordach”, które uparły się „szturmować” granice bogobojnego kraju nad Wisłą, żeby go łupić i siać moralne spustoszenie. Pragnie polskich kobiet, zasiłków, islamizacji naszej

kultury. Podsyłają go najwięksi wrogowie Polski: ze wschodu Putin z Łukaszenką, z zachodu – Unia Europejska, od środka próbuje zaś poluzować rygły podstępny Tusk. Jeśli im wszystkim ulegniemy i opuścimy gardę, nastąpi *Finis Poloniae*. A te wybory są właśnie po to, żeby do tego nie dopuścić.

Tak to sobie mniej więcej ustalili specjaliści od propagandy. Bo wiadomo, że w kampanii PiS zawsze musi być jakiś horror. Czymś trzeba w końcu odwracać

► brakowało krytyków, którzy zarzucali szefowi PO, iż w gruncie rzeczy odwołuje się do tych samych lęków, na których żeruje PiS. Tusk trafił jednak celnie, bo premier Morawiecki, zamiast się odnieść do sedna problemu, wolał schować się za rutynową litanię o winach Tuska na niemieckiej smyczy, po czym następnie poinformowano, że kontrowersyjne rozporządzenie jako „błędna urzędnicza inicjatywa” zostaje uchylone.

I faktycznie wiele wskazywało, że to samowolka resortu spraw zagranicznych, która nie została w porę wyłapana przez pion polityczny rządzącej partii. Dopiero kiedy mleko się rozlało, zapewne zainteresowało się sprawą CBA, czego efektem było wejście agentów Biura do MSZ ostatniego dnia sierpnia i wielogodzinne przesłuchania urzędników pracujących nad rozporządzeniem. Jeszcze tego samego dnia Morawiecki odwołał Piotra Wawrzyka, sekretarza stanu w tym resorcie, oficjalnie z powodu „braku satysfakcjonującej współpracy”. Ale przy okazji Wawrzyk został również skreślony z listy wyborczej PiS, co sugerowało, że może chodzić o dużo więcej niż tylko brak satysfakcji u szefa rządu.

Kiedyś związany z PSL, na orbitę rządzącej prawicy dostał się dzięki poprzedniemu ministrowi spraw zagranicznych Jackowi Czaputowiczowi, który w 2018 r. wciągnął Wawrzyka do kierownictwa resortu. Wiceminister musiał zrobić w nowym środowisku nie najgorsze wrażenie, skoro już po roku był posłem, potem jeszcze chwilowo borykające się z zanikającą większością PiS próbowało go przeformować na rzecznika praw obywatelskich. Ostatecznie inwestycja w raczej niepozornego akademika po pięćdziesiątce okazała się jednak mocno chybiona. Wiele bowiem wskazuje, iż Wawrzyk zafundował swoim politycznym mocodawcom w szczycie kampanii niezły pasztet, od którego mogą dostać ciężkich niestrawności. Jest bowiem podejrzewany o to, że wraz ze swoim podwładnym Jakubem Osajdą zbudował i zalegalizował korupcyjny mechanizm wydawania wiz poza kolejnością, tyle że z pomocą wciągniętego w interes indyjskiego pośrednika.

I miały wchodzić w grę spore pieniądze, gdyż koszt jednej takiej wizy to 4–5 tys. dol., a planowano je wydawać w setkach tysięcy. Specjalnie w tym celu utworzono nawet zresztą w Łodzi centrum wizowe do rozpatrywania wniosków, które po cofnięciu rozporządzenia stało się zbędne. Ilu cudzoziemskich pracowników zdążyło skorzystać ze ścieżki Wawrzyka? Kiedy afery wyszła na jaw, Marcin Kierwiński

i Jan Grabiec z KO przeprowadzili kontrolę poselską w MSZ, po której oświadczyli, że w ostatnich dwóch latach mogło zostać wydanych nawet 350 tys. wiz pracowniczych dla obywateli krajów muzułmańskich z Azji i Afryki. Co wręcz uczyniłoby Polskę europejskim liderem w ściąganiu imigrantów z tamtej części świata, chociaż nie bardzo wiadomo, skąd się wzięły aż tak śmiałe szacunki. Z drugiej strony raczej to przecież nie wpłynie na ograniczenie wybuchowego potencjału sprawy. Szczególnie odkąd pojawiły się pobudzające wyobraźnię medialne doniesienia o wystawionych in blanco polskich wizach, którymi miano handlować z ulicznych straganów pod naszym konsulem w jednym z afrykańskich krajów. Wiadomo nie od dziś, że nic tak nie szkodzi władzy jak śmieszność.

Obrona przez atak

Kiedy o sprawie zrobiło się głośno dzięki interwencji Niemców i Szwedów, rządzący od razu nabrali wody w usta. Posłano jedynie rzeczników rządu oraz PiS, którzy bez przekonania próbowali tłumaczyć, że nie ma mowy o wielkiej aferze, a co najwyżej zaniedbaniach, które oczywiście należy wyjaśnić. Później jeszcze publicznie starał się zbagatelizować sprawę szef MSZ Zbigniew Rau. Ogólnie jednak propagandowa cisza w zazwyczaj zgiełkowych pisowskich mediach niemalże brzęczała w uszach: żadnych wyjaśnień, usprawiedliwień, nawet gadania o „rozmokniętym kapiszonie”. Tak jakby sprawy w ogóle nie było.

Od odwołania Wawrzyka do wysypu medialnych doniesień minął jednak pełny tydzień. Jak to możliwe, że nie przygotowano w tym czasie komunikacji kryzysowej? Kierownictwo polityczne PiS musiało już przecież doskonale wiedzieć, co takiego im się święci. Przyłapani na gorącym uczynku hipokryci nie mają w polityce lekko, bo w pierwszej kolejności nastają na wartości wspierających ich baniek. Perspektywa przyłapania PiS nie przyniosła jednak propagandowego schłodzenia. Przeciwnie, w kolejnych dniach eksploatowano imigranckiego stracha już niemal bez opamiętania. Na wyżyny hucpy, jak to często bywa, wznosił się sam premier, który już na drugi dzień po odwołaniu Wawrzyka popędził z występami do Katowic, żeby snuć tam ze sceny mrozącą krew w żyłach opowieść o „grasujących bandach muzułmańskich imigrantów”, których opozycja za wszelką cenę próbuje wpuścić do Polski, bo taka jest wola jej niemieckich chlebobodawców. A ponieważ grasują przede wszystkim „przyzwyczajeni

do przemocy” młodzi mężczyźni, grozi nam „piekło kobiet”.

Odwroćcie znaczenia hasła z masowych protestów przeciwko zakazowi aborcji. Może miało to być coś w rodzaju wyprzedzającej obrony przez atak, żeby w oczekiwaniu na wypłynięcie kompromitującej afery wizowej dodatkowo utrwalić przekaz, iż w sprawie imigracji to opozycja stoi po „złej” stronie? Chociaż niewykluczone, że po prostu szykowano już grunt pod propagandowe szmożenie w związku z premierowym pokazem „Zielonej granicy” Agnieszki Holland podczas zbliżającego się festiwalu filmowego w Wenecji. Bo ledwo film został publicznie pokazany, propaganda PiS natychmiast przypuściła na niego skoordynowany atak.

„Zielona granica” budziła niemałe emocje jeszcze na etapie produkcji. Ale tak to zazwyczaj bywa z filmami, które wprost dotyczą drażliwych współczesnych tematów, a ich twórcy nie obawiają się rozdrapywania niezagojonych jeszcze ran. A kiedy za kamerą staje Agnieszka Holland – wybitna reżyserka o światowej renomie, która nie stroni od wyrazistych politycznych sądów – można niemal w ciemno obstawiać, że dzieło będzie wydarzeniem nie tylko politycznym, ale też artystycznym. Co ostatecznie potwierdziła specjalna nagroda jury przyznana „Zielonej granicy” na weneckim festiwalu.

Kino i polityka

To opowieść o gehennie uchodźczej rodziny z Syrii na polsko-białoruskim pograniczu. Oparta w znacznej mierze na zebranych przez reżyserkę świadectwach, głównie relacjach samych uchodźców, wspierających ich aktywistów, również pograniczników. Paradokmalny wymiar filmu podkreślają zresztą czarno-białe zdjęcia. Niezależnie od kampanijnego kontekstu towarzyszącego premierze „Zieloną granicę” należałoby pewnie potraktować przede wszystkim nie tyle jako proste oskarżenie pisowskiego państwa, ile polemikę z ogólnym nastrojem społecznym i pogłębiającym się etycznym znieczuleniem na rozgrywane się pod granicznym płótem ludzkie tragedie. Kolejne ciała koczujących tam osób przez cały czas są odnajdywane, o czym jednak media donoszą w coraz lapidarniejszy sposób, bo też mało kogo to jeszcze interesuje.

Propaganda PiS z miejsca jednak orzekła, że film Holland to „agitka wyborcza”. Co było zarzutem tyleż humorystycznym, co przewrotnym. Filmy bezpośrednio nie wpływają bowiem na wynik wyborów, chociaż niektórym zdarza się ulegać takim złudzeniom. Tak było chociażby z bijącym



© WOJCIECH HABBAS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Bohater afery wizowej Piotr Wawrzyk, odwołany już ze stanowiska sekretarza stanu w MSZ, zafundował swoim politycznym mocodawcom kryzys w szczycie kampanii.

frekwencyjne rekordy „Klerem” Smarzowskiego, który w szczycie poprzedniej parlamentarnej kampanii rzekomo miał osłabiać potencjał mobilizacyjny PiS. Z czego oczywiście nic nie wyszło, gdyż kino odzija się na głębsze warstwy świadomości widza. Za to zderzone z realną polityką raczej nie ma szans, żeby wymknąć się politycznemu upupieniu.

Toteż nie powinno specjalnie dziwić, iż zapewne żaden z hurtoowo atakujących „Zieloną granicę” polityków rządzącej partii nie miał nawet okazji obejrzeć filmu. Histeryczność reakcji od początku była reżyserowana, a retoryczna forma wysoce sztampowa: „antypolski”, „nikczemny”, „szkaluje polski mundur” itd. Aż zakasał rękawy mało ostatnio widoczny Zbigniew Ziobro, który grzmotnął z grubej rury oszczerczym porównaniem filmu Holland do kina propagandowego III Rzeszy, czym sprowokował powstanie społecznego frontu obrony dobrego imienia reżyserki. Najprawdopodobniej zainspirował też jednak związkowców ze straży granicznej do popełnienia równie obrzydliwego wpisu o treści: „Tylko świnie siedzą w kinie”. Niby szkoleni do obrony granic, tym razem sami je przekroczyli.

Tak naprawdę wcale nie chodziło jednak o Holland, tylko głównie o Tuska. Każda taka operacja w wykonaniu PiS docelowo prowadzi do zatarcia publicznych ról. W propagandowym uniwersum jest bowiem miejsce tylko dla zbiorów „my” i „oni”, bez niczego pomiędzy. Nie ma

więc czegoś takiego, jak autonomia jednostki, prawo do indywidualnego osądu, wolność artystycznej wypowiedzi. Każdy film, książka, artykuł, wpis w mediach społecznościowych – jeśli tylko wyszedł spod ręki kogoś, kto nie jest od „nas” – może się stać częścią wrogiego projektu politycznego i dowodem na jego prawdziwe oblicze. Kiedy więc Agnieszka Holland pokazuje film o tragedii mułmańskich uchodźców, tak naprawdę odsłania niecy plan Tuska, żeby rozebrać graniczny płot (co już imputowało pytanie referendalne). Składnąd propagandowa zwartość obozu prawicy – gdzie faktycznie wszystko chodzi na jednym akordzie, media są idealnie „zorkiestrowane”, a partyjnym twórcom nie wadzi rola „inżynierów dusz” – w jakimś stopniu zdaje się uwiarygadniać cały ten prymitywny głąszacht. Przynajmniej w oczach zwolenników PiS.

Tusk kontratakuje

Tyle że lider Platformy chyba już całkiem wyżył się w tej kampanii wszelkich skrupułów, sentymentów, inteligentnych hamulców. I niewiele też sobie robi z etycznego napięcia, które w większości wspierających jego formację elit wywołuje obraz nieszczęśliwych koczujących na wschodniej granicy. Bez względu na to, kto i dlaczego ich tam dostarczył. W tej sprawie, podobnie zresztą jak w wielu innych, Tusk woli podążać za jak najszerzym *vox populi*. A – jak wiadomo – przeciętnemu Polakowi imigranci

wciąż głównie kojarzą się z zagrożeniami. I nawet w szerokim elektoracie Platformy bezkompromisowy humanitaryzm takich osób jak Janina Ochojska nie cieszy się wielkim zrozumieniem.

Platformerski filmik z końcówki ubiegłego tygodnia o aferze wizowej kończy się dosadną konkluzją: „Straszyl, straszyl, a sami ich wpuścili. Po wyborach sprawdzimy, czy na tym zarobili”. I bodaj w jeszcze większym stopniu niż tamten z lipca zbliża się do pisowskiej estetyki w obrazowaniu kwestii imigranckiej. Migają niemal bliźniacze ujęcia tułających się mułmańskich mężczyzn o posępnych obliczach, z dynamiczną ścieżką dźwiękową w tle. Kontekst niby jest czytelny, bo chodzi przecież o podejrzenie korupcji, a przywołane obrazy można uznać za cytat mający ilustrować hipokryzję PiS. Tyle że jakaś część odbiorców równie dobrze może je potraktować dosłownie, utwierdzając się w postawie ksenofobicznej. Co od razu zarzucili teraz Tuskowi politycy Lewicy, ale już liberalny salon jakoś nie wyrzywał się z krytyką, chociaż miał z pewnością mieszane uczucia. Takie filmiki nie pomogą zbudować w przyszłości poparcia dla rozsądnego modelu imigracyjnego, którego Polska wciąż nie posiada, a z roku na rok coraz goręcej potrzebuje.

Trudno jednak rozstrzygnąć, jak podchodzi do tej rozgrywki sam Tusk. Czy to tylko próba odklejenia się od rygoryzmu etycznego elit i dołączenia do społecznej średniej? Bez większych złudzeń, że wykorzystując potknięcie przeciwnika, można osiągnąć coś więcej niż tylko częściową neutralizację niewygodnego tematu. Chociaż nie można mimo wszystko wykluczyć, że to dużo bardziej śmiała próba wdarcia się do konkurencyjnej pisowskiej bańki, żeby spróbować ją choć trochę rozhermetyzować, wstrząsnąć utrwalonymi przez propagandę kategoriami, zburzyć spokój ducha.

Takie manewry są jednak ryzykowne, gdyż można zapędzić się zbyt głęboko, już na drugą stronę podziału. Czego dotychczasowi wyborcy mogą nie przyjąć ze zrozumieniem. Tylko że Tusk w tej kampanii testował odporność swojego rdzeniowego elektoratu już tyle razy, że być może wszyscy zdążyli się już na to znieczulić i przynajmniej do wyborów można to czynić bez konsekwencji. Bo z drugiej strony bez odebrania władzy PiS żaden model polityki imigracyjnej tak czy inaczej nie zostanie wdrożony, a zamiast tego już na dobre utknijemy w populistycznej czkawce.

RAFAŁ KALUKIN

O filmie „Zielona granica” Agnieszki Holland czytaj też na s. 82.

Najpierw potwierdziły się sensacyjne pogłoski, że sam Jarosław Kaczyński wystartuje w wyborach w województwie świętokrzyskim. Potem Donald Tusk dołożył do tego zapowiedź startu w Kielcach Romana Giertycha. I stało się jasne, że pozostający zazwyczaj na uboczu okręg wyborczy nr 33 będzie jedną z ważniejszych, jeśli nie najważniejszą areną parlamentarnej kampanii.

Okręg 33

BARTŁOMIEJ ZAPAŁA

Jak na region, który nawet nie ma prawdziwego lotniska, to województwo zawsze było ulubionym terenem spadochroniarzy. Rozkładali widowiskowo swoje czasy, a po wylądowaniu na długie miesiące lub lata znikali, by znów pojawić się na publicznym widoku przed kolejnymi wyborami. Krzysztof Bosak, Tomasz Kaczmarek (znany lepiej jako agent Tomek), Beata Kempa, Anna Krupka (nazywana przez złośliwych makijażystką prezesa), Tomasz Nałęcz, Grzegorz Schetyna, Bartłomiej Sienkiewicz, Paweł Zalewski czy Zbigniew Ziobro – to osoby, których realne związki z regionem ograniczały się zwykle do zdobycia mandatu. To nie Jarosław Kaczyński wymyślił, że Świętokrzyskie warte jest wyborczej mszy.

Pierwszym politykiem, który skutecznie odwołał się do mieszkającego w tej części Polski elektoratu i uczynił z niego trampolinę do ogólnopolskiego zwycięstwa, był Aleksander Kwaśniewski. Okręg wyborczy 33 to nieoczekiwane dziecko reformy administracyjnej, przeprowadzonej pod koniec lat 90. przez rząd Akcji Wyborczej Solidarność i Unii Wolności.

Peron Włoszczowa Północ. To tutaj, symbolicznie, mieszkańcy świętokrzyskiego przesiedli się z SLD na PiS.

Premier Jerzy Buzek, przygotowując założenia podziału Polski na samorządowe województwa, nie przewidywał istnienia regionu ze stolicą w Kielcach. Świętokrzyskie miało stać się częścią Małopolski. Dopiero silny protest społeczny, wsparty wetem prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, zmusił sejmową większość do wykrojenia na mapie Świętokrzyskiego. Nowy region pozbawiony został co prawda okolic Miechowa, ale zyskał tereny wokół Sandomierza i Staszowa, przynależące wcześniej do województwa tarnobrzeskiego.

Nieduży obszar i relatywnie niskie zaludnienie z 1,2 mln mieszkańców, a także brak poza Kielcami drugiego silnego ośrodka miejskiego sprawiły, że cały teren województwa został jednocześnie okręgiem wyborczym w wyborach do Sejmu. Z 16 mandatami do wzięcia jest dziś drugim największym okręgiem w kraju. Więcej mandatów poselskich można zdobyć jedynie w Warszawie.

Kielce, moje Kielce

Wyborcy ze Świętokrzyskiego potrafią wyrażać swoją wdzięczność. Aleksander Kwaśniewski mógł przekonać się o tym jako pierwszy. Właściwie się tego spodziewał, bo jako miejsce inauguracji swojej reelekcyjnej, prezydenckiej kampanii wybrał w 2000 r. właśnie Kielce. Jego ówczesne zawołanie do tłumnie zgromadzonych mieszkańców: „Kielce, moje Kielce”, wzbudzające wśród warszawskich elit uśmiechy politowania, okazało się piekielnie skuteczne. Ponad 60 proc. w pierwszej turze i 355 tys. głosów.

Kolejna, tym razem parlamentarna kampania przyniosła następny, długo niepobity rekord. 45 proc. poparcia dla Sojuszu Lewicy Demokratycznej-Unii Pracy, 9 poselskich i komplet 3 senatorskich mandatów. Pod koniec 2001 r. lewica miała w województwie świętokrzyskim praktycznie wszystko. Pięć lat później pozostało z tego sukcesu naprawdę niewiele. Po drodze lewica utraciła władzę prezydencką w Kielcach, z 9 poselskich mandatów udało się obronić jedynie dwa, oddała również władzę w sejmiku wojewódzkim. Jak do tego doszło? Odpowiedź na to pytanie winna być lekcją dla Koalicji Obywatelskiej i jej nowego, niespodziewanego kandydata Romana Giertycha, który właśnie tutaj otrzymał szansę na polityczne odkupienie.

Zbyt łatwym wytłumaczeniem klęski lewicy byłaby słynna afera starachowicka z 2003 r. Polegała na tym, że lokalna elita władzy nie miała oporów, by ostrzec przed policyjnymi działaniami zarzuczonych w przestępczą działalność przyjaciół. To „zanurzenie” nie było jedynie metaforyczne. Jedną z głównych scen opisywanych szeroko w mediach korupcyjnych praktyk był Klub Płetwonurka Kalmar, mający swoją siedzibę na starachowickiej pływalni. Knajackie w istocie realia sprawowania funkcji na powiatowym szczeblu stały się ogólnokrajowym symbolem moralnego upadku SLD. Ale w Świętokrzyskiem, gdzie każdy mógł rozpoznać wielu bohaterów drukowanych w mediach stenogramów, ich oddziaływanie było jeszcze silniejsze. Co prawda bezpośredni sprawcy afery, ówcześni posłowie Andrzej Jagiełło i Henryk Długosz, zapłacili wyrokami więzienia, ale od prawnej odpowiedzialności wywinęli się zarówno wiceminister spraw wewnętrznych Zbigniew Sobotka (skazany, ale i szybko ułaskawiony przez prezydenta Kwaśniewskiego), jak i komendant główny policji Antoni Kowalczyk, uniewinniony w I instancji, a potem jeszcze w rozstrzygnięciu podjętym na szczeblu Sądu Najwyższego.

To był z pewnością jeden z ważniejszych powodów, dla których sympatie społeczne w województwie przeniosły się ze skompromitowanej formacji na stronę nowego środowiska politycznego, którego głównym liderem był minister sprawiedliwości Lech Kaczyński. Wydaje się jednak, że nie była to przyczyna najważniejsza. Widać to było chociażby podczas wyborów prezydenckich w 2005 r., w których Andrzej Lepper, sam mający wiele problemów



Kampania prezydencka Aleksandra Kwaśniewskiego. Świętokrzyskie – 60 proc. poparcia w I turze.

z wymiarem sprawiedliwości, uzyskał w Świętokrzyskiem drugi wynik. W kilku rolniczych gminach na południu województwa zostałyby zaś prezydentem już po I turze.

Tym, co chyba najmocniej przyczyniło się do politycznego zwrotu, było niespełnienie oczekiwań dotyczących sfery społecznej. A właściwie: zlekceważenie potrzeb opóźnionego w rozwoju gospodarczym i posiadającego olbrzymie braki infrastrukturalne regionu.

Rząd Leszka Millera podejmował jakieś propagandowe próby okazania swojej troski. Jedno z wyjazdowych posiedzeń gabinetu odbyło się nawet w Kielcach. Realnych efektów było jednak jak na lekarstwo. Budowa jednopasmowej obwodnicy Jędrzejowa czy wyremontowanie niespełna stumetrowego odcinka głównego kieleckiego deptaku to były główne osiągnięcia. Polska dopiero aspirowała do członkostwa we wspólnocie europejskiej i nie miała wówczas szerokiego dostępu do funduszy strukturalnych, a po drodze jeszcze przyplątała się w 2002 r. powódź tysiąclecia, która spustoszyła spore obszary województwa. Panowało przekonanie, że związane z SLD elity nie potrafią zadbać w Warszawie o odpowiednie dowartościowanie regionu.

Gwiazda z Darłowa

Tym, który pokazał, w jaki sposób można docenić Świętokrzyskie i jego mieszkańców, okazał się poseł Prawa i Sprawiedliwości Przemysław Gosiewski. Wcale nie pochodził z regionu, nie miał w nim nawet swojej rodziny, ale kiedy jako bliski współpracownik Jarosława i Lecha Kaczyńskich został w 2001 r. kieleckim posłem, mocno zaangażował się w sprawy województwa. – *Jeździliśmy do miejsc, w których nie pojawiał się wcześniej żaden poseł. To była praca, praca i jeszcze raz praca. Odbywaliśmy setki spotkań, ale przede wszystkim rozmawialiśmy i słuchaliśmy ludzi* – wspomina Mariusz Goraj, który w tej pierwszej dla PiS sejmowej kadencji był dyrektorem biura poselskiego Przemysława Gosiewskiego.

O tym, że Gosiewski był tytanem pracy, mogą mówić nie tylko jego najbliżsi współpracownicy, trzymani na nocnych naradach przez swego szefa nawet w niedzielne wieczory. Przekonywali się o tym także dziennikarze, którzy byli wręcz zasypywani inicjatywami podejmowanymi przez opozycyjnego wówczas parlamentarzystę. Te wysiłki przyniosły efekty, a PiS, które przy swym pierwszym starcie uzyskało w Świętokrzyskiem mniej głosów ▶

► niż startująca także po raz pierwszy PO, w kolejnych wyborach było już na pierwszym miejscu. Sam Gosiewski zdobył najlepszy indywidualny wynik, skromne jeszcze jak na późniejsze osiągnięcia 31 tys. głosów, ale do Sejmu weszły oprócz niego jeszcze cztery inne osoby.

Po tych wyborach polityczna gwiazda Gosiewskiego zaczęła świecić naprawdę jasno. Został najpierw przewodniczącym Klubu Parlamentarnego PiS, a gdy Jarosław Kaczyński objął funkcję premiera – uczynił Gosiewskiego swoją prawą ręką w rządzie. Początkowo minister bez teki i przewodniczący Komitetu Stałego Rady Ministrów, w niedługim czasie został mianowany wicepremierem. Komitet Stały nazywany jest czasem „małą Radą Ministrów”, gromadzi wiceministrów na administracyjnych i technicznych z punktu widzenia sprawowania władzy posiedzeniach. Jego zadaniem jest ułatwianie pracy ministrom spotykającym się raz w tygodniu na posiedzeniach gabinetu. Gosiewski uczynił z Komitetu narzędzie swojego politycznego sukcesu.

Nie było tygodnia, by nie pojawiał się w Kielcach i innych miejscowościach regionu w towarzystwie któregoś z wiceministrów. Wysłuchiwał samorządowców, spotykał się z mieszkańcami, obiecywał i nadzorował wykonywanie tych obietnic, często nie pytając nawet, co o danej sprawie ma do powiedzenia konstytucyjny zwierzchnik danego resortu. W rządzie potrafił mu się sprzeciwić jedynie Ludwik Dorn, który publicznie studził rozgrzewane przez Przemysława Gosiewskiego emocje. Na przykład gdy po głośnej zapowiedzi, że w podkieleckich Obicach powstanie duże międzynarodowe lotnisko, jako minister spraw wewnętrznych i administracji deklarował, że nawet jeśli zostanie ono wybudowane, nie pojawi się na nim żadna placówka Straży Granicznej. Pozostali zazwyczaj nie kwestionowali kolejnych inicjatyw, a w regionie powstało wrażenie, że Przemysław Gosiewski może w Warszawie załatwić wszystko.

PiS bije rekord

Cała Polska dowiedziała się o tym, gdy pociągi jadące bezpośrednio z Warszawy do Krakowa zaczęły się nagle zatrzymywać na stacji Włoszczowa Północ. Właściwie to bardziej na peronie niż na stacji, bo prawdziwy i pozostający przez długi czas w opłakanym stanie dworzec we Włoszczowie znajdował się kilka kilometrów dalej. Kiedy do tego doszło, w październiku 2006 r., memy nie były jeszcze najpopularniejszą formą komentowania życia politycznego. Przemysław Gosiewski stał się za to gwiazdą „Szklą kontaktowego” w TVN 24. A drwinom i żartom z peronu na od ludzi nie było końca.

Z perspektywy województwa świętokrzyskiego sprawa nie była jednak absurdalna. Położony w centrum Polski region należał bowiem do najsłabiej skomunikowanych. Kolejarze lubili się chwalić, że na świętokrzyskim odcinku Centralnej Magistrali Kolejowej pociągi osiągają rekordową jak na ówczesną Polskę prędkość 120 km/h, ale mieszkańcy województwa nie mieli możliwości się o tym przekonać. Trasę z Warszawy do Krakowa jadące po CMK pociągi pokonywały w około dwie godziny. Podróż kolejowa z leżących w połowie drogi między tymi miastami Kielc zajmowała do stolicy około czterech godzin.

Pierwotny pomysł był taki, żeby najpierw wybudować stosunkowo krótki odcinek spinający centralną magistralę z torami prowadzącymi do Kielc, a później umożliwić pasażerom znacznie krótszą podróż z Kielc do Warszawy lub Krakowa. Łącznica w Czarnicy powstała jednak dopiero w 2022 r. Ale to detal. Symbolicznie to na peronie we Włoszczowej wyborcy okręgu 33 przesiadli się z SLD do PiS. Kiedy za sprawą, nomen omen, Romana Giertycha Jarosław Kaczyński stracił rządową większość i trzeba było rozpisnąć przedterminowe wybory, Świętokrzyskie nie miało



Podczas wyborów prezydenckich w 2005 r. Andrzej Lepper uzyskał w Świętokrzyskiem drugi wynik.

już wątpliwości, na kogo głosować. Prawie 40 proc. mieszkańców wybrało PiS, a Przemysław Gosiewski, zdobywając ponad 138 tys. głosów, pociągnął za sobą do Sejmu jeszcze sześć innych osób. Oddanie elektoratu dla lidera listy było na tyle duże, że pozostali kandydaci musieli zadowolić się okruciami poparcia. Żeby zostać posłem, wystarczyło wówczas kandydatom PiS uzyskanie 2,5 tys. głosów.

PO nie udało się powtórzyć takiego sukcesu. Trudno nawet powiedzieć, że realnie próbowała pójść w ślady wytyczone przez Gosiewskiego. Po jego tragicznej śmierci w katastrofie smoleńskiej nawet zsyłany tutaj Zbigniew Ziobro nie miał problemów z uzyskiwaniem znakomitych wyników. W 2019 r. PiS udało się wprowadzić ze Świętokrzyskiego aż 10 posłów, a tym samym pobić ustanowiony przez SLD w 2001 r. rekord.

Ile waży jeden głos w Polsce

W tym miejscu tak naprawdę rozpoczyna się kalkulacja, która doprowadziła do startu z okręgu nr 33 Jarosława Kaczyńskiego. Oczywiście, choć nie zawsze pamiętaną stawką tegorocznych wyborów jest zdobycie 231 mandatów, które pozwolą na sformowanie rządu. I nieważne, skąd te mandaty będą pochodzić. Jeśli w jednym miejscu pula sięga aż 16, a przy silnej polaryzacji i rozdrobnieniu list po opozycyjnej stronie można liczyć na zdobycie więcej niż 10, to oczywiście staje się, że warto posłać w takie miejsce najmocniejsze posiadane zasoby. Prezes Kaczyński, co sam zresztą kilkakrotnie już publicznie powiedział, potrafi poświęcać swoją osobistą wygodę na rzecz partii, a większych atutów niż on sam PiS przecież nie posiada.

Sprawa bezpośredniej rywalizacji z Donaldem Tuskiem w Warszawie nie musiała mieć tutaj decydującego znaczenia. Dodatkowo jeszcze, co przyznaje sama Państwowa Komisja Wyborcza, do wybrania jednego posła w okręgu 33 potrzeba znacznie mniej głosów niż w Warszawie. Dokonanie takiego obliczenia nakazuje PKW ordynacja w oparciu o liczbę mieszkańców w gminach. Punktem wyjścia był stan na 30 września 2022 r. Ustalona wówczas tzw. norma przedstawicielska wynosi 78 424 mieszkańców na jeden mandat. Problem w tym, że rozdzielone przy poprzednich głosowaniach między okręgami mandaty nie uwzględniają zachodzących w Polsce demograficznych przeobrażeń.



Pomnik Przemysława Gosiewskiego w Kielcach. Pochodził z Darłówka, ale to on przekonał Świętokrzyskie do PiS.

W konsekwencji PKW zaproponowała Sejmowi dokonanie zmian aż w 21 okręgach, w tym w Kielcach i w Warszawie. Wniosek wyłożyła w zamrażarce u marszałek Sejmu, a wybory 2023 r. odbędą się według nieaktualnych obliczeń. Okręg 33 nie zostanie pozbawiony jednego mandatu, nie zyska za to ani Warszawa, ani okręg podwarszawski. W stolicy na jeden mandat przypadnie więc 82 319 mieszkańców, w Kielcach natomiast realna norma wyniesie 73 634. Czy to nie jest kolejny dobry powód, żeby startować, ale i wybierać posłów akurat właśnie tutaj?

Kto na tym skorzysta?

Pojawienie się na listach w regionie Jarosława Kaczyńskiego i podążającego za nim Romana Giertycha wyrzuciło do góry nogami układane wcześniej lokalne scenariusze. Najdotkliwiej przekonał się o tym dotychczasowy poseł Koalicji Obywatelskiej, przedsiębiorca Adam Cyrański, który zapewniwszy sobie ostatnie miejsce na liście, obwiesił całe Kielce swoimi przedkampanijnymi banerami. Jeszcze chyba nigdy w Polsce z taką intensywnością nie reklamowano biura poselskiego, które zostanie zamknięte za dwa miesiące. Sopotcka zapowiedź Donalda Tuska o starcie byłego lidera Ligi Polskich Rodzin zaskoczyła wszystkich świętokrzyskich działaczy PO. Dynamika kampanii jest tak duża, że żaden z liderów nie poświęca energii na terenowe konsultacje. Mogliby to także potwierdzić działacze PiS, którzy do samego końca nie wiedzieli, czy Kaczyński na pewno wystartuje w Kielcach. Na ostatnim miejscu znajdzie się więc Giertych, a Cyrański ogłosił wycofanie się z wyborów.

Szefowa świętokrzyskiego sztabu wyborczego KO Agata Wojda, która na skutek wewnętrznych rywalizacji w partii nie walczy w tym roku o mandat poselski, liczy, że pojawienie się Romana Giertycha poprawi wynik całej listy. Choć wcale nie twierdzi, że będzie to łatwe. – *Trudne z pewnością dla tych, z którymi ramię w ramię protestowałyśmy na strajkach kobiecych i maszerowałyśmy, manifestując prawo do równości* – mówi. – *Ale z drugiej strony, biorąc pod uwagę wcześniejsze sukcesy właśnie u nas agenta Tomka i innych „gwiazd”, taki ruch przyniesie dodatkowe głosy* – dodaje. Sztabowcy PO z Warszawy nie uronią łez, jeśli Giertychowi się nie powiedzie. Jego zadanie ma być inne, ma wyraźnie utrudnić start Jarosławowi Kaczyńskiemu

i pozbawić go w Świętokrzyskiem komfortu. Taka rola wydaje się zdecydowanie łatwiejsza.

Na starcie Giertycha może więc skorzystać Lewica. Wielu tysięcy uczestników protestów kobiecych w Kielcach zdecydowanie łatwiej będzie głosować teraz na jej kandydatów, tym bardziej że listy Koalicji – bez Agaty Wojdy, byłej popularnej wiceprezydent, jednej z liderek licznych manifestacji, za to z Romanem Giertychem – przestaną być dla tych środowisk atrakcyjne. Liczy na to lider Lewicy w Kielcach i jednocześnie zastępca prezydenta miasta Marcin Chłodnicki, który był jedną z twarzy udanego wprowadzenia samorządowego dofinansowania do zapłodnienia metodą in vitro. – *Od posłanek i posłów oczekuje się możliwości spotkania i dostępności na miejscu. Prezes Kaczyński jest osobą całkowicie odizolowaną od społeczeństwa, a Romana Giertycha w ostatnich latach w ogóle nie ma w kraju. Jeśli dołożymy jeszcze ich konserwatywne oblicze, to lewicowa lista może być najbardziej atrakcyjna dla demokratycznej opozycji* – przekonuje. Choć gwoli prawdy nie ma na niej zbyt wielu charyzmatycznych kobiet.

Najwięcej publicznego zadowolenia wykazują jak dotąd działacze PiS. Liczą, że prezes partii przyciągnie rekordową liczbę wyborców. Kiedy jednak nie ma w okolicy dziennikarzy z prądowych mediów, w których przy każdej okazji prezentują swoją obecność, zaczynają nerwowo liczyć swoich zwolenników. Jeśli Jarosław Kaczyński zgarnie, jak się ocenia, 170 tys. głosów, to pozostali kandydaci, co prawda z wieloma szansami na mandat, będą musieli się zadowolić znacząco mniejszym poparciem. A w sytuacji, gdy o zdobyciu mandatu może zdecydować mniej niż 2 tys. głosów, szanse zyskują nawet ulokowani na dalekich miejscach lokalni działacze, nieposiadający jeszcze parlamentarnego stażu. W skłóconym do granic możliwości środowisku, gdzie o politycznej hierarchii decydowała częstotliwość pobytu i dostęp do gabinetu prezesa na Nowogrodzkiej albo liczba wysyłanych do niego listów, nagle okazało się, że żadni pośrednicy nie będą potrzebni. Przecież będzie można zagłosować osobiście na prezesa.

Która z tych kalkulacji zwycięży? Nawet w Świętokrzyskiem zdarzają się wyborcze niespodzianki. Jak na razie, na początku września niebo nad Kielcami pogodne. Czasze spadochronów prezentują się okazale.

BARTŁOMIEJ ZAPAŁA

Na bezdrożu

Trochę się ogarnęła, chociaż jej los pozostaje niepewny. Trzecia Droga to wciąż najślabsze ogniwo opozycji, po wyjęciu którego pryskają nadzieje na antypisowską większość w Sejmie. Ale czy i kto może jej pomóc?

RAFAŁ KALUKIN

Wejdą, nie wejdą? To pytanie będzie już towarzyszyć liderom Trzeciej Drogi do samych wyborów. Dla sporej części opinii cały wręcz sens istnienia koalicji Polski 2050 i PSL sprowadza się dzisiaj do tego, żeby tworzące ją ugrupowania zmieściły się ponad progiem i nie zmarnowały bezcennych głosów. Wobec tak palącej kwestii trudniej jednak skupić uwagę na samej ofercie, programie, kandydatkach na listach. Co nie dodaje „trzeciodrożnym” wiatru w kampanijne żagle. Ale też Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz sami przecież wykreowali taki dylemat hazardowym wejściem do gry w formule ośmioprocentowej koalicji.

Zamiast tego wszystkim się kręci wokół sondaży. A te na razie są dla Trzeciej Drogi względnie łaskawe, nawet jeśli od czasu do czasu zdarza jej się omsknąć poniżej progu. Częściej mimo wszystko zbiera w miarę bezpieczne 9–10 proc., dzięki czemu udaje się podtrzymywać wewnętrzny optymizm. A z perspektywy liderów to sprawa teraz kluczowa. Ciągłe prorocтва w rodzaju „już zaraz zacznie im spadać”, „nie dowiozą”, „polaryzacja ich zdusi” sięją bowiem na zapleczu mentalne spustoszenie, podobnie jak rutynowe od jakiegoś czasu przeliczenia podziału mandatów po każdym sondażu w wersji z Trzecią Drogą w Sejmie oraz bez niej. To też trzeba jak najszczelniej zaimpregnować struktury na medialny fatalizm, żeby ocalić ducha na resztę kampanii.

Owa konieczność dyktuje formę obecnych wystąpień. Doskonale było to widać podczas wizyty Hołowni i Kosiniaka-Kamysza na Campusie Polska Przyszłości pod koniec sierpnia. Od ich wejścia na scenę rzucało się w oczy szczególne przywiązanie do formy: reżyserowana komitywa, demonstrowanie przepajającej obu partnerów energii i żywotności. Co w przypadku powściągliwego emocjonalnie Kosiniaka mogło zresztą razić sztucznością. Niemniej

miał to być przede wszystkim seans politycznego coachingu, który przywraca wiarę w sukces, motywując do aktywności i wsparcia. I taka też była rola konwencji wyborczej Trzeciej Drogi w Katowicach, na której wystąpiło już szersze spektrum postaci, chociaż z nadal wyeksponowanym duetem liderów. Wiele zresztą wskazuje, że wewnętrzny cel został osiągnięty.

Lawirowanie między górami

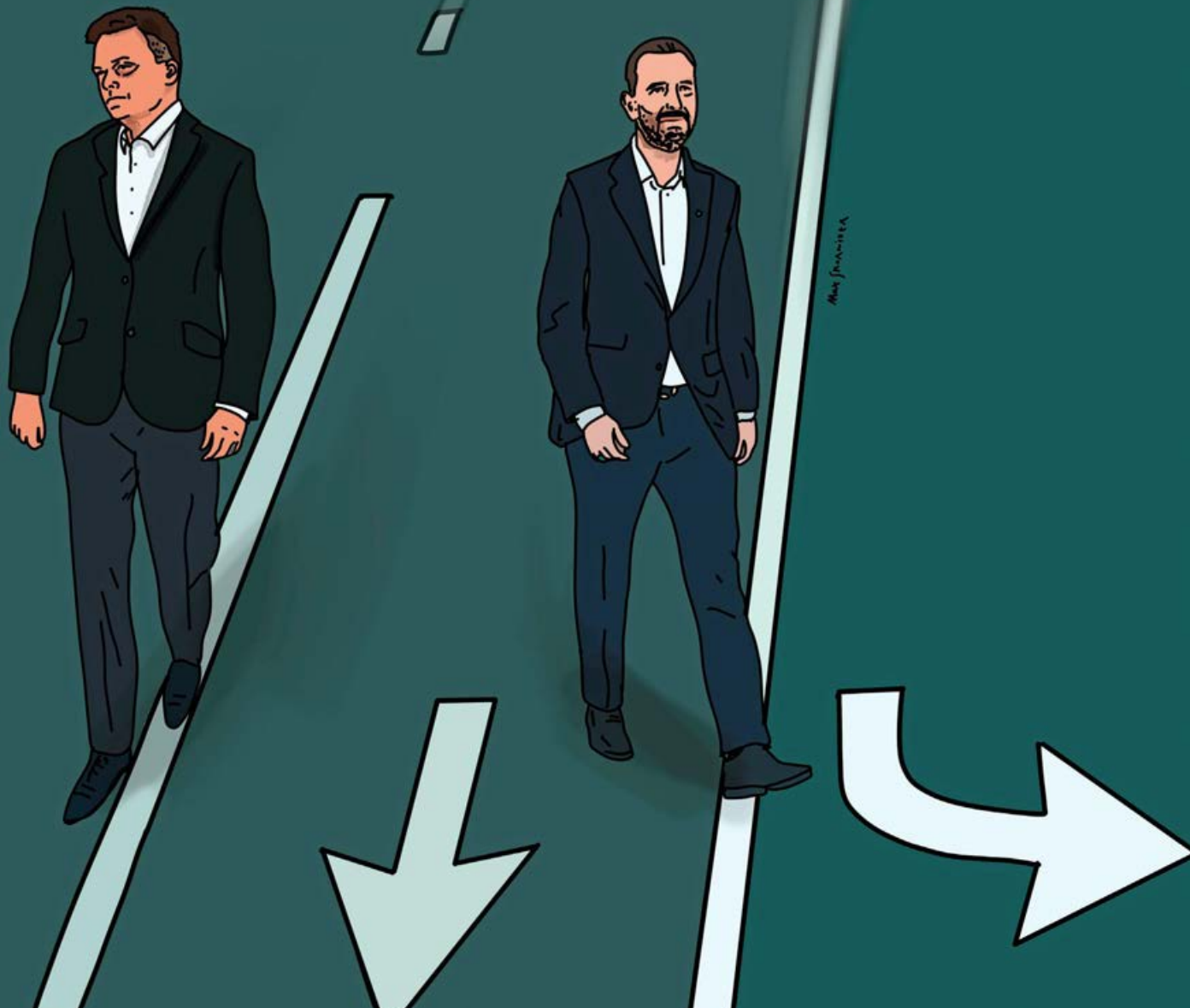
Z dobrym przyjęciem spotkało się również ogłoszone w Katowicach hasło tej kampanii: „Dość kłótni, do przodu”. I nic dziwnego, bo sztabowym copywriterom całkiem zręcznie udało się połączyć pozytywistyczne przesłanie Hołowni z kampanii prezydenckiej, typowe dla PSL gospodarskie odniesienia oraz aktualne osadzenie projektu na mapie politycznej. Trzecia Droga buduje się jako formacja odrzucająca polaryzację, ale bez wchodzenia w tony konfrontacyjne, z orientacją na zasypanie podziału i podjęcie wspólnego wysiłku w imię przyszłości. Bo zamiast ryzykować zderzenie z wielkimi górami, bezpieczniej pomiędzy nimi lawirować. Tyle że to kreacja zdecydowanie defensywna, szczególnie biorąc pod uwagę niedawne ambicje Hołowni. Kontestując dominujący konflikt, zarazem żółto-zieloni stają się jego zakładnikiem. Są jak kultura alternatywna wobec mainstreamowej: z założenia ambitniejsza, ale czerpiąca energię z pozostawania w niszy i na niszowość tym samym skazana. Tym się chociażby różni od zuchwałej Konfederacji, która zapowiada wyrzucenie stolika i wielkie przesunięcie biegunów.

A przy tym nie mają spójnej opowieści, która byłaby w stanie uwiarygodnić ambicję wytyczenia „trzeciej drogi”. Bo chociaż Hołownia z Kosiniakiem starają się pokazywać szeroką ofertę pozytywnych rozwiązań, to wyraźnie brakuje w tym wspólnego mianownika. Zamiast utwardzonej nawierzchni wyłania się z tego niezobowiązujący przelot przez tematy. Wszystkie wydają się tak samo ważne, nie sposób więc ułożyć z nich aksjologicznej ramy. Owszem, widać szczególną dbałość

ILUSTRACJA MAX SKORWIDER

w podkreśleniu wolnorynkowego entuzjazmu, tyle że to czytelny rezultat świadomej orientacji na rywalizację o głosy z Konfederacją. Kierunek został zresztą dodatkowo wzmocniony transferami *last minute* na listy Trzeciej Drogi byłego konfederaty Artura Dziambora oraz założyciela Nowoczesnej Ryszarda Petru. Kierunek ogólnie wydaje się słuszny, chociaż warto mieć świadomość ograniczeń. Bardzo trudno będzie ekipie Hołowni i Kosiniaka przebić się przez konfederacki populizm, którego umowność jest zresztą dosyć czytelna dla sporej części sympatyków Mentzena. A do tego oba ugrupowania funkcjonują w odrębnych obiegach medialnych i przekaz Trzeciej Drogi może po prostu nie docierać do większości wyborców Konfy.

A poza tym sporo w przekazie żółto-zielonych przypadkowości, zbyt wyraźnych marketingowych szwów. Dziwacznym zabrzmięciem w Katowicach odwołanie się do dziedzictwa solidarnościowego, najwyraźniej zainspirowane wproszaniem



się na konwencję legendarnego działacza Jana Rulewskiego (wcześniej senatora PO), jak również poparciem dla PSL od dawna deklarowanym przez Aleksandra Halla. Tyle że pokoleniowa opowieść Hołowni dostatecznie już wyszczerbiła się po wejściu w sojusz z PSL, a dodatkowe nałożenie na to solidarnościowej matrycy prowadzi do chaosu poznawczego. Mało przekonująco wypadło też nagłe skupienie się Trzeciej Drogi na „twardym” bezpieczeństwie, bo też najpewniej po prostu chodziło o wykorzystanie potencjału kandydujących z list Trzeciej Drogi gen. Mirosława Różańskiego oraz wciągniętego w ostatniej chwili byłego żołnierza GROM Pawła „Nawała” Mateńczuka.

Bezpartyjna partia

Relacja ludowców z ich wyborczą klientelą zawsze była szczególna, gdyż oparta na więziach lokalnych, kulturowej swojskości. Bardziej jednak chodziło o reprodukcję depozytu z przeszłości niż

kształtowanie nowej politycznej wartości, chociaż Kosiniak-Kamysz i takie próby podejmował. Co innego Hołownia, który wchodził do polityki z ofertą nowego przywództwa, która jednak po trzech latach wydaje się już zatarta i zdezaktualizowana. Co tak samo można zresztą uznać za wynik popełnionych przez Hołownię po drodze błędów, braku politycznego doświadczenia, skaz charakterologicznych, jak i ogólnej specyfiki jego projektu, który skrojony został pod wybory prezydenckie.

Żeby to sobie uświadomić, warto zajrzeć do jego książki „Fabryka jutra”, w której krótko po zakończeniu kampanii 2020 r. podsumowuje inicjacyjne doświadczenie. Szedł do wyborów z idealistyczną obietnicą nowej polityki, która „nie jest władzą, ale służbą” i bierze sobie za cel odejście od „logiki demokracji jako naprzemiennej wzajemnej okupacji dwóch plemion”. Przy tym autor wyraźnie zaznaczał, że nie interesuje go bezpośrednia władza, lecz „pokazanie, że rząd może być raz taki, raz

siaki, a wspólnotą mamy być mimo to”. A to może uczynić jedynie prezydent, który przynajmniej w logice ustrojowej miał odgrywać rolę arbitra stojącego ponad rywalizującymi stronnictwami. I pod tym kątem rozwijał Hołownia swoją polityczną kreację, deklarując na samym początku, iż w razie niepowodzenia w wyborach nie wyklucza kontynuacji w ramach ruchu obywatelskiego, „stowarzyszenia pracy organicznej”, może nawet internetowych mediów. Słowem jednak nie wspominał o tworzeniu partii, gdyż byłaby to sprzeczność sama w sobie.

Ostatecznie dynamika zdarzeń doprowadziła jednak Hołownię do założenia Polski 2050, z czego nie należy czynić zarzutu, gdyż jedyną formą pełnoprawnego uczestnictwa w polityce jest właśnie partia polityczna. Problem w tym, że ukształtowany na samym początku i zaakceptowany przez część wyborców „miękki”, w jakimś sensie ponadpartyjny typ przywództwa po prostu nie przystaje ►

► do realiów brutalnej partyjnej rywalizacji. O ile w założycielskiej logice projektu opór przed jedną listą opozycji był uzasadniony – bo chodziło przecież o łagodzenie polaryzacji, a nie dalsze jej podkreślenie – o tyle w politycznych realiach 2023 r., kiedy po prostu trzeba twardo bić się z PiS o władzę, okazało się to dwuznaczne. A na jeszcze surowszą ocenę zasługuje opór lidera Polski 2050 przed ściśnięciem się na partyjnej liście PSL, co pozwoliłoby obniżyć próg do 5 proc. Wymuszając start Trzeciej Drogi w formule koalicyjnej, Hołownia zaprosił do gry w rosyjską ruletkę, przystawiając lufę do skroni własnej formacji, ludowcom i całej opozycji.

Nie patrzeć na sondaże

Pozostaje wciąż problemem niedopasowanie „starego” PSL i „nowej” Polski 2050. Ogłoszenie wspólnych list bynajmniej nie zredukowało niepewności co do możliwości utrzymania projektu na dłuższą metę. Przede wszystkim oczywiście trzeba znaleźć się w kolejnym rozdaniu, chociaż wiele też będzie zależeć od tego, jak liczną reprezentację będzie miała Trzecia w przyszłym Sejmie. Wydaje się jednak mało możliwe, żeby oba ugrupowania były w stanie stworzyć odrębne kluby, do czego potrzeba minimum 15 posłów. To jednak perspektywa ciągle jeszcze odległa, a teraz chodzi po prostu o to, jak zaprojektować sensowną kampanię.

Jej schemat wydaje się ukształtowany, chociaż nie wiadomo do końca, ile w tym przemyślanej kalkulacji, ile zaś inercji. Strukturalna „nieprzysiadalność” obu formacji od początku była oczywista, wszak to dwa zupełnie różne modele organizacji, podobnie jak spory rozrzut ich elektoratów. Zdano się zatem na rozwiązania intuicyjne. Synchronizacja odbywa się niemal wyłącznie odgórnie, przy okazji dużych konwencji i wspólnych występów Hołowni i Kosiniaka, skądinąd dobrze się czujących we własnym towarzystwie. Nie będzie jednak wspólnego sztabu, komunikacji, „trzediodrożnych” mediów społecznościowych.

Z kolei na dole najczęściej każdy sobie rzepkę skrobie. Ludowcy organizują własną kampanię wedle tradycyjnego *modus operandi*, które polega na lokalnym promowaniu „tysięczników”; tak w slangu PSL określa się kandydatów popularnych w swoich gminach bądź powiatach, którzy nie mają większych szans na mandaty, ale zdobywają dość głosów, żeby wypełnić wspólny kociołek. Z kolei nieporównanie skromniejsze kadry Hołowni próbują organizować pospolite ruszenia na rzecz swojego lidera w okręgu, chociaż zapał przeważnie jest proporcjonalny do szans

na zdobycie mandatu. Czynnikiem sprzyjającym jest jednak bliskość wyborów samorządowych: obecna kampania do Sejmu to zarazem prekampania przed rywalizacją o Polskę lokalną, w której warto się pokazać.

W rozmowach z ludźmi Hołowni aspekt motywacyjny jest bardzo wyraźny. Często powołują się na własne sondaże, rzekomo korzystniejsze od oficjalnych. Inni po prostu stwierdzają, że starają się puszczać sondaże pomimo uszu, żeby nie stać się niewolnikami nastroju. Czasem towarzyszy takim postawom jeszcze dalej idące pragnienie odciążenia się od wszelkiej kalkulacji politycznej, myślenia o scenariuszach. Zamiast tego włącza się logika obywatelska, która skłania do potraktowania kampanii jako okazji do promowania wartości. Takich kandydatów z zacięciem aktywistycznym faktycznie jest na listach Trzeciej Drogi całkiem sporo, tyle że są mało rozpoznawalni i trudno im przebić się do lokalnych mediów.

Na łasce Tuska

Wymuszony niekorzystnymi okolicznościami pozytywizm tej kampanii nie wydaje się jednak wystarczającym zabezpieczeniem przed imadłem polaryzacji. W przeciwieństwie do wymykającej się głównemu podziałowi Konfederacji, będąca częścią obozu demokratycznego Trzecia Droga stale musi mierzyć się z pokusą swoich wyborców, żeby ostatecznie poprzeć siłę zdolną odebrać władzę PiS. Z czego jednak wynika znany już paradoks, że przerzucenie części głosów z mniejszych ugrupowań na KO może spowodować ściągnięcie ich pod próg i uszczuplenie łącznych potencjałów opozycji.

Zrodził się na takiej glebie dosyć niedorzeczny w warunkach demokratycznej rywalizacji o głosy postulat „ratowania” Hołowni i Kosiniaka. Tyle że nie wiadomo, jak konkretnie taki ratunek mógłby wyglądać. Jakaś część wyborców być może skłonna będzie zagłosować „taktycznie”, żeby podnieść tych słabszych, chociaż nie wydaje się, żeby mogło to istotnie wpłynąć na bilans. Z chwilą zarejestrowania własnych list liderzy Trzeciej Drogi odpowiadają już tylko za siebie i nie ma co liczyć na sztuczne podpórki. Z drugiej strony hegemoniczna po opozycyjnej stronie Platforma Obywatelska mimo wszystko posiada zdolności kreowania ogólnego nastroju, co ostatecznie wpływa na szanse mniejszych formacji. Z ich perspektywy ostatnie rokowania nie wyglądają korzystnie.

Jeszcze nie tak dawno dominująca była nadzieja, iż opozycja jest w stanie powalczyć w tych wyborach o większość

mandatów. Takiemu celowi najlepiej miała służyć wspólna lista albo też – o co toczył się spór – rozsądna alokacja zasobów w układzie dwóch bądź trzech list. Przy założeniu wszakże, iż prowadzą one niekonfrontacyjną wobec siebie kampanię, celując w jak najszerszą mobilizację wyborców w podległych każdemu obszarach. Po to, żeby wciągać do opozycyjnej puli nowych zwolenników, a nie podbierać sobie dotychczasowych. Problem w tym, że to jak na razie nie działa, a bliskość wyborów może coraz bardziej skłaniać Tuska do rewizji planów.

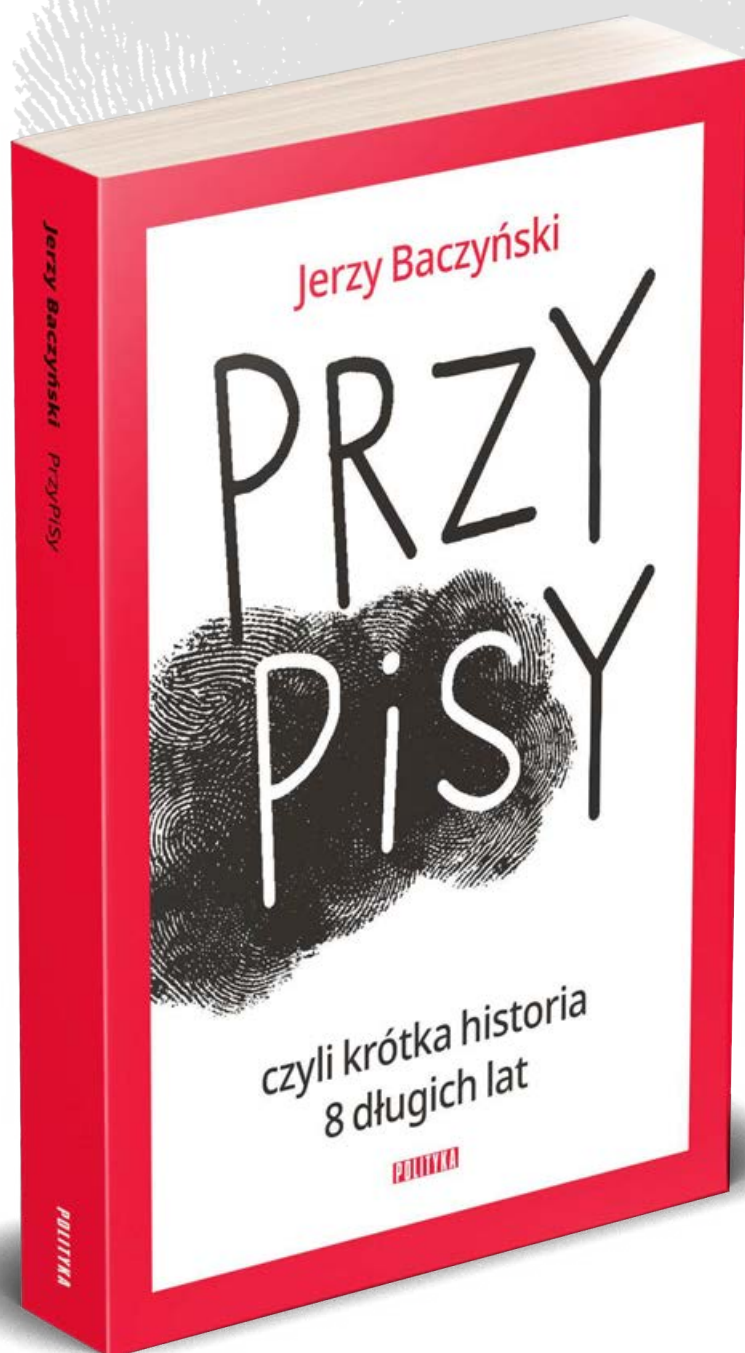
Bo oficjalnie zabiegając o większość, niewątpliwie z uwagą czyta sondaże, które nie dają opozycji nadwyżek gwarantujących zdobycie większości. W tej sytuacji powoli czas już chyba rozważać również awaryjne scenariusze. A kiedy samemu nie ma się widoków na większość, planem minimum staje się powstrzymanie głównego przeciwnika. Bo przy nierozstrzygniętych wyborach pojawia się możliwość dalszej gry, być może układania się z Konfederacją, a w razie czego – ten scenariusz cała klasa polityczna bierze dziś pod uwagę – ponownego rozdania kart w przyspieszonych wyborach na początku przyszłego roku. Taka perspektywa poważnie jednak zmienia reguły gry wewnątrz obozu demokratycznego. Przystaje być aż tak istotne, że bez Trzeciej Drogi w Sejmie opozycja nie ma szans na mandatową większość – bo nie ma ich tak czy inaczej, nawet jeśli żółto-zieloni wejdą. W takim razie ich wyborcza klęska już nie wydaje się aż tak wielkim nieszczęściem. Z symulacji podziału mandatów wynika, że mniej więcej po równo rosną wtedy udziały w sejmowej puli PiS i KO, chociaż obu głównym siłom wciąż sporo brakuje do większości.

Przynajmniej częściowe oczyszczenie przedpola leży mimo wszystko w interesie Tuska, gdyż zwiększa mu pole manewru po wyborach i otwiera dodatkową przestrzeń do zagospodarowania w ewentualnej wyborczej dogrywce. Ale czy taka istotnie jest dzisiaj kalkulacja szefa KO? Potwierdzeniem tego będzie dalsze zaostrożenie polaryzacji, które nieuchronnie spychać zacznie pod próg opozycyjnych braci mniejszych. Szczególną ku temu okazją będzie oczywiście zaplanowany na 1 października „marsz miliona serc”, który w finiszu kampanii jest w stanie uruchomić polaryzacyjne turbodoładowanie. Od Tuska zależy, jak ustawi ekspozycję i dobierze hasła. Obstając przy podmiotowości, paradoksalnie liderzy Trzeciej Drogi w coraz większym stopniu stają się przedmiotem w rozgrywce ponad ich głowami.

RAFAŁ KALUKIN

„PrzyPiSy, czyli krótka historia długich 8 lat”

– najnowsza książka Jerzego Baczyńskiego,
redaktora naczelnego tygodnika POLITYKA.



Osobisty dziennik
podróży przez Polskę
pod rządami PiS

Historia 2015-2023
w zbliżeniach

Przenikliwa krytyka
populistycznej władzy

Z rysunkami Janka Kozy

Od 20 września z tygodnikiem

POLITYKA

Również w księgarniach
i jako e-book.

Już teraz w przedsprzedaży:
sklep.polityka.pl



Polacy uczestniczący w marszu 4 czerwca przed Konsulatem Generalnym RP w Chicago.

Stłumiony głos

Rozmowa z Izabelą J. Barry, działaczką społeczną z Nowego Jorku, o tym, kogo może poprzeć w wyborach Polonia, zwłaszcza amerykańska, i dlaczego w ostatnich latach zaprzagnęła głosować.

JOANNA CIEŚLA: – W mediach społecznościowych napisała pani tak: „Drodzy Przyjaciele i Znajomi, Mili Państwo, ktokolwiek chciałby wziąć udział w pracy przy polskich wyborach parlamentarnych w Nowym Jorku, proszę o wiadomość prywatną. Czekam bardzo ciężkie zadanie i dużo pracy”. Jak odzew?

IZABELA J. BARRY: – Od razu potwierdziły zaangażowanie osoby, które zapowiadały je już 4 czerwca, w czasie demonstracji, którą zwołaliśmy przed polskim konsulem w Nowym Jorku.

My, czyli kto?

Środowisko wspierające polską demokratyczną opozycję. Od 2016 r. urządzamy odpowiedniki marszów i demonstracji organizowanych w Warszawie. Początkowo robiliśmy to pod szyldem Komitetu Obrony Demokracji, dziś nazywamy się Obywatelski NYC. Był Czarny Protest, gromadziliśmy się w trakcie „spacerów” w obronie sądownictwa. Ale nie tylko. W pewnym momencie zorganizowałam, oparty na XIX-wiecznej idei kształcenia, Greenpoincki Uniwersytet Latający, oferujący otwarte wykłady na tematy historyczne i społeczne. Nie jesteśmy odosobnieni

w działaniach, które mają Polonię przygotować do wyborów. Podobne grupy działają w Chicago i w Waszyngtonie, formują się na zachodzie USA. A na szerszą skalę – w 35 krajach na pięciu kontynentach – działamy jako nieformalny Sztab KO Zagranica.

Ile was jest?

W tej chwili ponad tysiąc osób. Oprócz takich ośrodków, jak USA, Kanada, Wielka Brytania czy Niemcy, jesteśmy też np. w Kenii czy RPA. Zebrał nas przed wyborami prezydenckimi Krzysztof Lisek, były poseł i europoseł, obecnie dyrektor International Republican Institute w Mołdawii. To jego energia i wiarygodność skleiły nas w grupę, która od 2019 r. działa na rzecz obrony demokracji. Jesteśmy w codziennym kontakcie, spotykamy się regularnie na Zoomie. W Stanach chęć pracy przy wyborach na razie zgłosiło 75 osób, ale jestem przekonana, że będzie nas więcej, wciąż zbieram deklaracje.

Na razie wychodziłoby jedna-dwie osoby na komisję, bo w wyborach w 2019 r. było ich w USA 48. Ale na swoim blogu zwracała pani uwagę, że do komisji wyborczych

początkowo nie przyjmowano osób, które angażowały się w działalność prodemokratyczną i opozycyjną.

Tak, wtedy pisałam o wyborach prezydenckich w 2020 r. Konsulaty robiły przeróżne uniki. Chętni, którzy kiedyś działali w KOD, słyszeli np.: „Mamy już komplet członków”. To jest bezprawne i po interwencjach wiele z tych osób dokooptowano. Nasze kandydatury na członków komisji będą zgłaszane przez pełnomocników wyborczych Koalicji Obywatelskiej, będą też mężowie zaufania, wszyscy przejdą stosowne szkolenia.

W Polsce dominuje przekonanie, że PiS z rosnącą determinacją próbuje ograniczyć wpływ Polonii na wynik wyborów.

A wygląda na to, że zainteresowanie głosowaniem rośnie. W wyborach parlamentarnych w 2019 r. do udziału zarejestrowało się prawie 350 tys. Polaków przebywających za granicą, w drugiej turze wyborów prezydenckich w 2020 r. – ponad 520 tys.

Przedstawiciele rządu zapowiadali, że w tym roku liczba lokali wyborczych zostanie zwiększona. O ile w 2019 r., w warunkach jeszcze przedpandemicznych, było ich 314 na całym świecie, o tyle teraz planowano stworzenie 400. Ostatnio jednak jest mowa o 360 – z wyjaśnieniem, że w Ukrainie obwodów do głosowania nie będzie ze względów bezpieczeństwa i proceduralnych (gdyby nastąpił alarm przeciwlotniczy, członkowie komisji nie mogliby zejść do schronów przed zabezpieczeniem głosów). A w Rosji i Białorusi powstanie tylko po jednym, na terenie ambasad.

Piotr Wawrzyk, do niedawna wiceszef MSZ, wyliczał, że z tych powodów ubędzie kilkanaście lokali. A kłopot z uruchomieniem dodatkowych, w innych częściach świata, ma polegać na tym, że właściciele przestrzeni, w których można by głosować, nie chcą ich udostępnić.

Znam odwrotne relacje. Najczęściej formalnie wygląda to tak, że jeśli liczna polska społeczność mieszka gdzieś, skąd trudno dojechać np. do konsulatu – bo tam zawsze jest komisja wyborcza – można się zwrócić do władz lokalnych i one wyznaczają miejsce, w którym mogłaby głosować grupa etniczna. Z relacji kolegów wiem, że takie prośby spotykają się z życzliwością. Ale trzeba się także zwrócić do polskiego konsulatu, aby wyraził na to zgodę. A konsulaty podobno nie odpowiadają na maile. Słyszałam, że zdarza się to np. w Wielkiej Brytanii.

A ja, że we Włoszech i Hiszpanii.

Ja sama zamierzam wystąpić o wyznaczenie lokalu wyborczego w bibliotece w jednym z miasteczek na północ od Nowego Jorku, już poza granicami metropolii. Czasu jest mało, bo lista obwodowych komisji wyborczych ma być gotowa do 25 września. Niewątpliwie najbardziej korzystna dla wyborców z zagranicy byłaby jednak możliwość powszechnego głosowania korespondencyjnego, którą PiS zlikwidował w 2018 r., a przywrócił tylko na wyборы prezydenckie 2020 r. ze względu na pandemię. Głosowanie osobiste, zwłaszcza w USA i Kanadzie, często oznacza ogromne koszty biletu lotniczego lub wielogodzinną podróż samochodem.

Przedstawiciele władzy tłumaczą, że głosowanie korespondencyjne budziło krytykę jako źle zorganizowane. Nie mają natomiast jasnych argumentów za ograniczeniem do 24 godzin czasu na przeliczenie głosów z komisji za granicą, aby zostały uwzględnione. Szefowa Krajowego Biura



Izabela Joanna Barry

– polonistka, bibliotekarka. Przez ponad 10 lat stała współpracowniczką „Nowego Dziennika”, największej polskiej gazety poza krajem. Jedną z pierwszych współkoordynatorek Komitetu Obrony Demokracji na Nowy Jork, organizatorka protestów wspierających opozycję demokratyczną w Polsce i wydarzeń kulturalnych dla lokalnej Polonii.

Wyborczego Magdalena Pietrzak tłumaczyła, że cezura musi istnieć, aby nie czekać bez końca na protokoły, które nigdy nie przyjdą, bo np. w jakimś regionie doszło do trzęsienia ziemi. Jednocześnie przyznawała, że długość terminu to decyzja polityczna. W Sejmie nie podjęto nawet obrad nad senacką propozycją, by głosy można było liczyć 48 godzin.

Zgadza się. Będzie mało lokali i mało czasu, zwłaszcza że trzeba będzie policzyć przecież także głosy oddane w referendum. Argument o trzęsieniu ziemi jest dość absurdalny, no ale na takich absurdach zasadza się cała polityka rządu wobec Polonii, obserwuję takie działania od wielu lat.

W poprzednich wyborach Polonia – łącznie – wybierała KO i Rafała Trzaskowskiego. W USA akurat wygrywał Andrzej Duda i PiS, ale poparcie dla nich też topniało na przestrzeni lat. W 2015 r. PiS wybrało 75 proc. głosujących, w 2019 r. – niecałe 53 proc. PiS przeczuwa, co go spotka ze strony Polonii?

Nie ukrywam, że w moim środowisku jesteśmy zwolennikami opozycji. Ale prawo do głosowania ma każdy Polak, zostało zapisane w konstytucji i będę go bronić – i dla osób, które podzielają moje poglądy, i dla tych, które mają przeciwne.

A może to nie ma sensu? Mieszka pani za granicą ponad 30 lat. Pracuje pani w Stanach, płaci podatki, pani sprawy są rozstrzygane przez amerykańskie sądy. Dlaczego chce nam pani wybierać władze?

Nam? Wolałabym unikać wysokiego diapazonu, ale: czuję się Polką, wpojono mi, że wpływ na sytuację w moim kraju to mój przywilej, ale także obowiązek. Poza tym wielu z nas, emigrantów, wróci. Ludzie cały czas mają w Polsce domy, niektórzy także biznesy, płacą podatki. Ja akurat nie. Ale przekonałam moje dziecko, wykształcone w Ameryce, żeby przyjechało do Polski i pracowało na chwałę ojczyzny. A polskie sądy wciąż rozstrzygają np. moje sprawy spadkowe.

Owszem, nawet w moim otoczeniu spotykam się z poglądami, że lojalność jest jedna i że głosować powinno się w kraju, który daje nam chleb i masło. Większość pytanym podchodzi jednak do tego inaczej. Wyraża się też w tym troska o bliskich, którzy mieszkają w Polsce. Jeśli widzisz, że twojej rodzinie nie jest dobrze, np. z powodu wysokich cen albo zanieczyszczenia powietrza, że do wioski, w której mieszkają twoi starzy rodzice, nie dociera autobus, że na wizytę u lekarza specjalisty czeka się latami, a bratanek lub siostrzenica uczą się z podręcznika zakłamującego historię, trudno sobie powiedzieć: to ich sprawa, nie będę się wtrącać. I konsulaty powinny zrobić wszystko, żebyśmy mogli się zarejestrować, oddać głosy, żeby zostały policzone, wysłane do Warszawy i uwzględnione. Inaczej też to zaangażowanie i emocje wyglądają dziś niż 40 lat temu, gdy ludzie jeździli do Polski raz na pięć lat, a rodzina przysyłała im przeterminowane gazety. Powszechny dostęp do internetu sprawia, że ja np. zaczynam dzień od polskich serwisów informacyjnych.

Napływ informacji sprawia, że zmieniają się nastroje polityczne?

Nie tylko to. Również demografia, zmiany społeczne. Odchodzi stara Polonia, zdeterminowana głosować na kandydata, który jest tradycyjnie „bogobojny”. Współcześni Polacy przyjeżdżają do USA nie, żeby pracować na budowie albo przy sprzątnięciu i wysyłać ►

► rodzinie pieniądze, wybudować dom. Dziś to często profesjonaliści z działów IT, artyści, naukowcy, którzy mogą mieszkać gdziekolwiek. To jest inna Polonia. Zresztą ja nie lubię tej nazwy, nie czuję, że ona do mnie przystaje. Ja jestem Polką mieszkającą za granicą – i już.

Czy są jeszcze na Greenpoincie słynne panie, które nigdy nie wyruszyły poza dzielnicę, mimo że od ich przyjazdu do Stanów minęły dekady?

Nie wiem, czy kiedykolwiek takie panie istniały. Greenpoint był długo polską dzielnicą, a Polaków nie stać było, żeby mieć panie do sprzątań. Do pracy musiały jeździć dalej. Oprócz tego, że sprzątały, opiekowały się też seniorami.

Kim są ich wnuki i prawnuki?

W sensie politycznym wielu wnuków i prawnuków konserwatywnej Polonii to dziś wyborcy Trumpa. I oni w polskich wyborach raczej nie głosują. Wie pani, mnie to boli od 30 lat, że w świadomości przeciętnego Nadwiślanina wszyscy Polacy mieszkający w Ameryce to ciemna masa, która nie ma pojęcia, co się w Polsce dzieje, a chce ją urządzić. Podczas gdy w niektórych rozmowach to ode mnie ludzie spod Wrocławia dowiadują się, kto jest ministrem rolnictwa. W polskich wyborach w USA głosują głównie te ostatnie fale emigracji – emigracja solidarnościowa, post-solidarnościowa i ta z ostatnich dekad – ludzie wykształceni tak, że wszędzie na świecie są przyjmowani z otwartymi rękami.

Pani jest z fali postsolidarnościowej?

Tak. Wyjechałam z Polski pod koniec lat 80. Na Uniwersytecie Wrocławskim skończyłam polonistykę, trafiłam do Kanady, gdzie studiowałam bibliotekoznawstwo, a potem dostałam pracę w Nowym Jorku, w Brooklyn Public Library, która jest szóstym co do wielkości systemem bibliotek publicznych w USA. Skierowano mnie do oddziału na Greenpoincie. Nie było to moim marzeniem, ale potem wrosłam w społeczność, ludzie zaczęli tłumnie do nas przychodzić. Udało mi się uporządkować reguły zakupów książek, aby były różnorodne i aby na bieżąco kupować nowości polskich autorów, dobre tłumaczenia. Nasz budżet systematycznie zwiększano. W ślad za tym nastąpiły przetasowania statystyk czytelnictwa ponad 50 grup etnicznych Brooklynu. Polacy poszybowali na czwarte miejsce, a po książki zjeżdżali do nas z całego miasta, wypożyczali po kilkanaście naraz.

„Czwarte miejsce” – tak nazwała pani swój blog.

Zgadza się. Udało nam się w bibliotece na Greenpoincie organizować wydarzenia kulturalne, spotkania z Olgą Tokarczuk, Jackiem Dehnelem, Henrykiem Grynbergiem, Michałem Rusinkiem i mnóstwem innych wspaniałych twórców. Ludzie zyskiwali dostęp do kultury, wiedzieli, że zawsze dostaną coś ciekawego do czytania, ale też, że mogą zwyczajnie przyjść, porozmawiać i poprosić o pomoc, czyli o przetłumaczenie czegoś, zadzwonienie do urzędu etc.

Ale dzisiaj Greenpoint to już nie jest „mała Polska”?

I nie jest, i jest. 20 lat temu na Greenpoincie mieszkało 35 tys. Polaków, teraz – ok. 3 tys. Ale działa dwujęzyczna szkoła, z językiem polskim. Są harcerze, tzw. szkoły sobotnie, a w nich zaangażowani nauczyciele. Dzieci uczą się tańców ludowych i sypią kwiatki na Boże Ciało. Są też biura polskich prawników, gabinety lekarzy, jedyna już polska księgarnia (20 lat temu było ich osiem), wreszcie bank Polsko-Słowiańskiej Federalnej Unii Kredytowej i oddział Citibanku, w którym niemal wszyscy pracownicy mówią po polsku. Najślynniejszy polski sklep mięsny Kiszka niemal się zamknął, a jednak w ostatniej chwili znalazł się ktoś, kto Kiszkę odkupił. I dalej działa. Ze trzy lata temu otworzyła się restauracja Pierozek. Tyle że siedzą w niej głównie amerykańscy hipsterzy i popijają barszczyk z filiżanek z Bolesławca. Pierogi i krokiety robią Meksykanie. Polaków prawie nie ma.

Gdzie się podzieli?

Niektórzy wyjechali na Florydę, na emeryturę. Sprzedali domki pokryte sidingiem, w których mieszkali. Na ich miejscu stawia się teraz eleganckie małe kamieniczki z wielkimi oknami, też budowane przez polskiego dewelopera. W młodszym pokoleniu wciąż są kobiety, które zarabiają sprzątaaniem albo opieką nad seniorami, ale ten rynek się bardzo profesjonalizował, do opieki trzeba kończyć specjalne kursy. Masa tych pań znajduje znakomite posady na Manhattanie przy prowadzeniu domów zamożnych rodzin. Sprzątają, odstawiają dzieci do szkoły, wyprowadzają psy, przygotowują posiłki.

Pójdą głosować te panie?

To trudniej rozstrzygnąć. Ja w dyskusjach na tych grupach czasem zahaczam o politykę i w odpowiedzi dostaję dużo rozsądnych głosów młodych kobiet. Myślę, że ogólnie przeważają wśród tych osób poglądy liberalno-lewicowe, choć są też podgrupy popierające Donalda Trumpa i/lub PiS (to nie zawsze idzie w parze) albo nierozmawiające o polityce w przekonaniu, że nic od nich nie zależy. Ale to też się zmienia. U ludzi wciąż jeszcze widać takie popandemiczne odbicie, głód interesowania się, uczestniczenia w życiu.

Dłatego mogą iść do wyborów jeszcze chętniej niż poprzednio?

Tak sądzę. Ale przypomniawszy mi się jeszcze jedna sytuacja z Greenpointu. Siedem lat temu, na samym początku naszej działalności jako KOD NYC, zorganizowaliśmy marsz – szliśmy z nagłośnieniem przez 10 przecznic dzielnicy. I byli tacy, którzy za nami spluwali.

Młodzi czy starzy?

Starzy. Młodzi patrzą zupełnie inaczej na to, co się dzieje w Polsce.

A jak patrzą na Konfederację?

Chyba nie spotkałam żadnego zwolennika Konfederacji. Z aktywności w mediach społecznościowych wnioskuję, że może być ich trochę w Connecticut, czyli w sąsiednim stanie, ale trudno im się przebić w dyskusjach. Polskie grupy w mediach społecznościowych – których zresztą tylko przy naszej metropolii jest z osiem – bardzo się zaktywizowały. Tu też jest pewna zmiana. Od siedmiu lat, od kiedy organizuję demonstracje czy spotkania, wstawiam na te grupy informacje o tych wydarzeniach i w poprzednich latach od razu zeszły je usuwano. A wiadomość o ostatniej demonstracji, tej 4 czerwca, wyrzucono tylko z jednej grupy. To już sukces!

W polskich dyskusjach dziś słychać uwagi, że aby nadać za czasami, należałoby umożliwić emigrantom nie tylko powszechne głosowanie korespondencyjne, lecz także elektroniczne. Tyle że przy obecnej sytuacji politycznej i w Polsce, i na świecie trudno byłoby zachować spokój o bezpieczeństwo danych.

Cóż, elektroniczne głosowanie na razie jest chyba wyzwaniem nie do przejścia. Już fakt, że głosowanie korespondencyjne – krytykowane za złą organizację – władze postanowiły zlikwidować, zamiast dopracować, jest symptomatyczny. Dla mnie to oczywiste, że chodzi o to, by utrudnić obywatelom udział w wyborach. Ukarać Polonię za to, że odwraca się od PiS. Tym surowiej, im bardziej będzie chętna, by głosować – bo im więcej głosów, tym mniejsza szansa, że na czas uda się zliczyć i że wola wyborców zostanie uwzględniona. Z niecierpliwością czekam na 1 października, spotkamy się pod konsulem na Jan Karski Corner, czyli na rogu 38 Ulicy i Madison Ave. Myślę, że odzew na Marsz Miliona Serc tu także będzie ogromny. Potem zostaną już tylko wybory.

ROZMAWIAŁA JOANNA CIEŚLA

Wieczne zgorszenie

Gdy matka ujawniła, że ksiądz masturbował się na plaży przy jej dziecku, internet zamienił się w piekło. Gdy duchowny rzucił się pod pociąg, piekło rozpętało się w świecie realnym.

Według jednych na wieczne potępienie zasługuje ksiądz, według drugich – matka dziecka, która jego czyn ujawniła, oraz radna, która go nagłośniła. Jedni i drudzy mają „swoją prawdę” – zależną od tego, czy dziecko było na plaży. Jeśli tak, 57-letni Piotr Z., salezjanin ze Szczecina, katecheta i były papieski misjonarz miłosierdzia, dopuścił się molestowania i był pedofilem. Jeśli dziecka tam nie było, ksiądz był ofiarą nagonki, w najgorszym przypadku „zwykłym onanistą”.

Plaża

Policja i prokuratura nabrały wody w usta, oficjalnie znamy więc tylko wersję rzecznika komendy w Świnoujściu – bo tam wszystko się zaczęło. St. sierż. Kamil Zwierzchowski poinformował, że policjanci interweniowali wobec mężczyzny, który miał masturbować się na plaży. Został ukarany mandatem za nieobyczajny wybryk (art. 140 Kodeksu wykroczeń), dziecko nie było świadkiem, co miały potwierdzić rozpytane przez policję „wszystkie osoby, które znajdowały się wtedy na plaży”. Gdyby mężczyzna czynu dopuścił się w obecności dziecka, zostałby zatrzymany – informował rzecznik w Radiu Szczecin. Inne media taką wersję powielają, budując na jej podstawie opinie i komentarze. Spróbujmy ją jednak zweryfikować, bo to zmienia obraz sprawy.

Plaża leży ok. 300 m od granicy z Niemcami. W pobliżu jest wejście nr 1 i parking, na którym pani Katarzyna (matka dziecka) zostawiła samochód. Nie chce rozmawiać z mediami, ale dotarliśmy do dwóch osób, którym relacjonowała to na gorąco. Każdej z osobna przedstawiła identyczną wersję, sprzeczną z tym, co mówił ksiądz (i przyjęła policja). Gdy wchodziła z dziesięcioletnią córką na plażę, wychodził z niej solidnie zbudowany mężczyzna (jeszcze nie wiedziała, że to duchowny). Na ich widok zawrócił, zniknął jej z oczu, ale gdy odpoczywała przy wydmach, zobaczyła go: stał za plecami jej córki (pluskała się przy brzegu), na wysokości bioder trzymał słomkowy kapelusz, pod nim wykonywał ręką charakterystyczne ruchy.

Ruszyła biegiem (plaża ma tu ok. 70 m szerokości), krzycząc, żeby zostawił córkę w spokoju. Wzywała pomocy, ale wiał silny wiatr, szumiąco morze, w pobliżu nie było nikogo, z daleka nikt nie słyszał. Mężczyznę odgoniła więc sama. Wkrótce jednak zobaczyła go na pobliskiej ławce, jak ►

► to określiła – z genitaliami na wierzchu. To wtedy przytrzymała go z pomocą plażowicza, przybiegli ratownicy, wezwano policję. Początkowo udawał, że nie wie, o co chodzi, sugerował, że jest przypadkowym Niemcem (bez skutku, bo matka dziewczynki perfekcyjnie zna język niemiecki). W końcu przyjął mandat, tłumacząc, że podniecał go widok morza.

Tak brzmi wersja matki. Jak zapewnia, podtrzymywała ją w rozmowie z funkcjonariuszami, zatem nie „wszystkie osoby, które znajdowały się wtedy na plaży” zaprzeczały obecności dziecka. Co więcej, logika podpowiada, że inne osoby mogły najwyżej stwierdzić, że były za daleko i nic nie widziały (inaczej by przecież zareagowały). Trudno też uwierzyć, że samotna kobieta szarżowała przez całą plażę na potężnego faceta tylko dlatego, że się masturbuje na pustym brzegu. Musiała mieć ważny powód: zagrożenie dla córki. – *Jeszcze kiedy mi to opowiadała, była wściekła jak lwica, która broni dziecka* – opisuje jeden z naszych rozmówców (drugi potwierdza innymi słowami).

Odcinka plaży, na którym doszło do masturbacji, nie obejmuje monitoring, ratownicy nie chcą rozmawiać z reporterem, powtórzmy jednak, że kobieta opowiedziała to niezależnie dwóm osobom. Jej opowieść wypełnia istotne luki w relacji rzecznika policji i skleja historię w sensowną całość. Z kolei wersja księdza o tym, że podniecił go widok morza, przeczy rozsądkowi i specjalistycznej wiedzy. – *Nie słyszałem o takim przypadku, ale gdyby tak było, mógł masturbować się w ukryciu na wydmach. Skoro ryzykował na brzegu, to najpewniej nie dlatego, żeby z bliska patrzeć na morze, ale na kogoś, kto w nim jest* – komentuje dr Andrzej Depko, specjalista seksuolog, do niedawna prezes Polskiego Towarzystwa Medycyny Seksualnej.

Dlaczego zatem policjanci nie uwierzyli matce dziecka, lecz przyłapanemu na gorącym uczynku onaniście? – *Dziewczynka nie widziała, jak się masturbował. Potwierdziła to też matka. A skoro dziecko nie widziało, to nie było ofiarą* – tłumaczy funkcjonariusz znający sprawę.

Wbrew pozorom to jednak skomplikowany problem prawny: z eksperckich komentarzy do Kodeksu karnego wynika, że aby doszło do przestępstwa, dziecko musi być „widzem prezentowanego mu wykonania czynności seksualnej”, z drugiej strony „onanizowanie się sprawcy w obecności małoletniego” może być uznane np. za ekshibicjonizm. W grę wchodzi też zamiar ewentualny: realizując cel, sprawca „godzi się na zaistnienie przestępnego skutku” (dziewczynka

mogła się odwrócić i go zobaczyć). – *Nie znamy wszystkich okoliczności, ale nie znali ich też policjanci. Chodziło o dobro dziecka, powinni więc sprawcę zatrzymać i wszcząć postępowanie wyjaśniające* – uważa dr Depko.

Za nieobyczajny wybryk Kodeks wykroczeń przewiduje areszt (od 5 do 30 dni) i ograniczenie wolności (miesiąc), ale policjanci wybrali jedną z najniższych kar: wlepili sprawcy mandat i puścili wolno. Dlaczego potraktowali go tak łagodnie? Według naszych informacji konsultowali się telefonicznie z komendą. I wiedzieli już, że sprawca jest duchownym.

Kamienowanie

Śluby zakonne złożył w 1989 r., księdzem był od 26 lat, pełnił m.in. funkcje kustosa sanktuarium i misjonarza miłośnictwa (z woli papieża Franciszka mógł zwolnić z kary ekskomuniki). Na plaży miał ciemne okulary, letnie ciuchy, słomkowy kapelusz. Tak wyszedł na zdjęciu, które matka dziewczynki opublikowała na Facebooku z podpisem: „Pedofil na plaży w Świnoujściu! Dziś 17.08.2023 w biały dzień około godz. 16 masturbował się przy mojej córce! Rodzice bądźcie czujni (...) Udostępniajcie zdjęcie tej kurwy”.

Internauci natychmiast go zidentyfikowali. W komentarzach podawali: imię, nazwisko, salezjanin (tu nazwa szczecińskiej parafii), katecheta (nazwa szkoły), numer telefonu na plebanię, zdjęcie w sutannie, obelgi pod adresem księdza, zakonników, Kościoła. Matka dopisała, że sprawca jest księdzem, nazajutrz jej post z kompletem informacji personalnych udostępniła szczecińska radna KO Dominika Jackowski (po niej także inny radny KO Marcin Biskupski). – *Niczego nie ujawniłam, bo wszyscy o wszystkim już wiedzieli: szkoła, rada rodziców i rada osiedla, kuria, dziennikarze* – mówi radna. Jak tłumaczy, nagłośniła sprawę, żeby nie zamiatano jej pod dywan, jak to było z pedofilskimi skandalami Andrzeja Dymera, też księdza Archidiecezji Szczecińskiej. – *Policja kłamała w sprawie obecności dziewczynki na plaży, a potem w sprawie rzekomego złożenia przez matkę zawiadomienia o przestępstwie do prokuratury. Nie poinformowano jej, że ma takie prawo, dwukrotnie była w komendzie i odbiła się od ściany. Post zamieściła z bezsilności i ku przestrodze, bo ten człowiek był na wolności i mógł zagrażać innym dzieciom, a prokuratura zajęła się sprawą dopiero po jego śmierci* – podkreśla radna.

Spotkała się jednak z krytyką, także we własnym środowisku politycznym. – *Nawet sprawcom bulwersujących przestępstw*

przysługuje ochrona danych osobowych i wizerunku. O ich publikacji może decydować np. sąd w wyroku, a nie polityk czy polityczka i nie usprawiedliwia tego fakt, że matka zrobiła to jako pierwsza – komentuje prof. Błażej Kmiecik z państwowej komisji ds. przeciwdziałania pedofilii. „W związku z ujawnieniem danych księdza” interweniował rzecznik praw obywatelskich, a jeden z prawników portali stwierdził, że ksiądz nic złego nie zrobił: trzymał tylko rękę w kieszeni, mandat zapłacił, żeby uspokoić rozemocjonowaną matkę dziewczynki. „Zaszczuli księdza!” – pisał w mediach społecznościowych lokalny lider Suwerennej Polski Dariusz Matecki. Zapowiedział wniosek do prokuratury o ściganie sprawców „doprowadzenia do samobójstwa”. Wtórował mu Tomasz Duklanowski z Radia Szczecin, choć obaj przyczynili się do identyfikacji dzieci szczecińskiej posłanki KO Magdaleny Filiks jako ofiary pedofila. Dwa miesiące później zabił się jej 16-letni syn. „Zestawianie historii zaszczutego przez media niewinnego dziecka z księdzem, który się onanizuje w miejscu publicznym, przekracza wszelkie granice” – oświadczyła Filiks.

– *Mamy XXI w., ale uciekamy się do linczu. Jego uczestnicy nie posiadają pełnej wiedzy, jednak żądni zemsty kamienują słowami. Myślą, że to tylko internet, a skutki bywają tragiczne w realnym życiu* – komentuje dr Halszka Witkowska, ekspert biura ds. zapobiegania zachowaniom samobójczym w Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Warszawie. Wskazuje na złożoność motywów i przyczyn samobójstw, bo o targnięciu się na własne życie nie decyduje zwykle jedno zdarzenie, problemy mogą narastać latami, aż coś przeleje czarę goryczy. – *Pytani, dlaczego postanowili odebrać sobie życie, niedoszli samobójcy odpowiadają najczęściej: nie chodzi o to, że chciałem umrzeć, ja nie miałem już siły żyć*.

Tory

Gdy w sobotę 19 sierpnia na torach w Reptowie (powiat stargardzki) pojawił się ksiądz, przejeżdżał towarowy relacji Poznań Franowo–Szczecin Port Centralny. Za nastawnikiem (sterem) lokomotywy siedział 25-letni maszynista. – *To nie samochód, nie odbijesz kierownicą, droga hamowania wynosi 800–1000 m. Słyszysz głucho uderzenie, czasem w oczach tego człowieka zdążyś zobaczyć śmierć* – mówi Leszek Miętek, szef Związku Zawodowego Maszynistów Kolejowych.

W Polsce jest 16 tys. maszynistów. W 2022 r. pod kołami pociągów zginęły


w wypadkach 163 osoby, 170 osób się zabiło (statystyka nie traktuje samobójstw jako wypadki). To oznacza, że na kolei niemal nie ma dnia bez śmierci, a samobójstwa zdarzają się co drugi dzień. Bywają szczególnie dramatyczne: jednemu maszyniście pod koła weszła matka z dwojgiem dzieci, innemu rodzony syn. Pomaga im potem psycholog, dostają trzy dni wolnego. Niektórzy chcą szybko wrócić za stery, żeby się przełamać. Inni potrzebują czasu, jeszcze inni odchodzą z zawodu, jak stażysta, któremu człowiek zginął pod kołami rok temu. Problem jest tak dotkliwy, że związkowcy organizowali „akcję uświadamiającą”: jeśli masz dość własnego życia, pomyśl o życiu maszynisty.

Ks. Piotr Z. zapewne o maszyniście nie myślał. Czy zgrzeszył samobójstwem? Już w 561 r. na synodzie w Bradze odmówiono samobójcom pochówku w Kościele, w 860 r. papież Mikołaj I nazwał samobójstwo grzechem śmiertelnym, a księża przez wieki odmawiali odprawiania ceremonii nad trumniami samobójcy, kazali go chować poza „poświęconą ziemią”. Według Katechizmu Kościoła Katolickiego samobójstwo pozostaje grzechem przeciwko przykazaniu „Nie zabijaj”, ale „ciężkie zaburzenia psychiczne, strach lub poważna obawa przed próbą, cierpieniem lub torturami mogą zmniejszyć odpowiedzialność samobójcy” (art. 2282). Jak tłumaczy teolog, dzięki rozwojowi nauk psychologicznych wiadomo, że większość samobójców w momencie tego aktu jest niepoczytalna, dlatego ich odpowiedzialność może zostać zniesiona. Grzech śmiertelny popełnia więc tylko człowiek, który odbiera sobie życie z premedytacją, „na zimno”, a nie pod wpływem silnych emocji.

Modlitwa

– *Od kilkunastu lat zjawisko samobójstw księży przybiera na sile* – mówi ks. prof. UKSW Andrzej Kobyliński, filozof i etyk. Wśród przyczyn wymienia samotność i celibat. – *Dawniej księży się odwiedzali, dziś relacje z prawdziwego życia coraz częściej przenoszą do internetu, w dwójnasób odczuwając wszystko, co ich tam spotyka, a bezżenność nawarstwia problemy z seksualnością. Po kilkunastu latach pracy wielu kapłanów się rozsypuje psychicznie, jesteśmy jedną z najbardziej schorowanych grup zawodowych.*

Do tego dochodzi stygmatyzacja. Skalę pedofilii wśród księży zbadano wnikliwie w USA (w latach 1950–2002 oskarżono o nią 4392 duchownych, czyli 4,39 proc.).



W internecie ktoś rozpoznał ks. Piotra Z. jako osobę, która „obserwowała dzieci” na basenie w jednym z miast Pomorza Zachodniego.

W Polsce są tylko dane fragmentaryczne (do państwowej komisji ds. przeciwdziałania pedofilii wpłynęło przez dwa lata 121 spraw z udziałem duchownych, na internetowej „mapie kościelnej pedofilii” przez pięć lat pojawiło się ponad 200 sprawców), ale zbitka „ksiądz pedofil” zatacza coraz szersze kręgi. Księżom zdarza się z tego powodu emigrować, odnotowano nawet przypadek obrzucenia puszkami i wyzwiskami kleryków seminarium duchownego w małym mieście.

Twórczyni „mapy pedofilii” Agata Diduszko-Zyglewska daleka jest od pobłażliwości wobec duchownych, zwraca jednak uwagę, że śmierć ks. Piotra Z. to kolejna opowieść o tym, że w polskim Kościele dzieje się źle. – *Zatrudnia ludzi, których działalność ma być misyjna, mają się jej poświęcić całym sobą, ale zostawia ich sam na sam z ich problemami* – mówi.

Ks. prof. Kobyliński: – *Już samo masturbowanie się na plaży w sensie moralnym zasługuje na radykalne potępienie i to nie podlega żadnej dyskusji. Nie sposób jednak przyjąć, że to był akt jednorazowy. Poprzedziły go zapewne inne przejawy zaburzeń, które ktoś musiał widzieć, ale nie zareagował, bo w Kościele panuje przekonanie, że lepiej się w „takie sprawy” nie wtrącać – przynajmniej do czasu, aż nie wybuchnie skandal medialny. Tylko że wtedy jest zwykle za późno.*

Po incydencie na plaży Inspektoriatu Towarzystwa Salezjańskiego św. Wojciecha w Pile (jej podlega Pomorze Zachodnie) oświadczyła, że „sprawa została zgłoszona na policji”, zadeklarowała „współpracę”

i wszczęła własny proces wyjaśniający. Czy ksiądz został odsunięty od posługi? Czy otrzymał wsparcie psychologiczne?

Takie pytania wysłaliśmy do rzecznika prowincji salezjanów. Pytaliśmy też o to, czy przełożony wezwał Piotra Z. na rozmowę w dniu, w którym popełnił samobójstwo, bo taką informację publikowały lokalne media. Nie dostaliśmy odpowiedzi.

Salezjanie nie odpowiedzieli także na pytanie, czy wcześniej mieli sygnały o jego nieprzystojnych zachowaniach. W internecie ktoś rozpoznał ks. Piotra Z. jako osobę, która „obserwowała dzieci” na basenie w jednym z miast Pomorza Zachodniego. Ktoś inny wyszukał post ministranta parafii w Gdańsku z 2018 r. Pisał, że w ciągu roku opieki ks. Piotra z liturgicznej służby ołtarza zrezygnowało aż 40 spośród 60 chłopców. Odnaleźliśmy autora tego postu, jest dorosłym mężczyzną. „To, co miało miejsce wtedy, poszło dawno w niepamięć, a z samym ks. Piotrem po spotkaniu się i rozmowach doszliśmy do porozumienia” – odpisuje, odcinając się od „obrzydliwej nagonki”, jak to nazywa.

– *Nie mieliśmy absolutnie żadnych sygnałów o nieprawidłowościach* – zapewnia dyrektor szkoły podstawowej w Szczecinie. Piotr Z. był tam katechetą, przygotowywał uczniów (także córkę dyrektora) do komunii św. i bierzmowania. W piątek 18 sierpnia, gdy jeszcze żył, kilkoro rodziców przyszło porozmawiać z proboszczem o incydencie na plaży. Nagrali filmik: „Nie rozmawiam na ten temat” – powtarza proboszcz. Gdy nie ustępują, rzuca, że „to fake news, dlatego, że policja go wczoraj przesłuchała i wypuściła”, po czym wchodzi do kościoła.

Nazajutrz ks. Piotr pójdzie na tory. Trzy dni później matkę dziecka przesłucha prokuratura (prowadzi śledztwo w sprawie śmierci księdza). Przesłuchanie potrwa aż sześć godzin, bo śledztwo ma objąć także to, co wydarzyło się w Świnoujściu i internecie. Dwa tygodnie po samobójstwie ks. Piotr Z. zostanie pochowany. 25-letni maszynista, któremu rzucił się pod koła, nie będzie w stanie wrócić do pracy jeszcze dziewięć dni później. Konsekwencje odczuje też dziewczynka: ma dziesięć lat, rozumie. Przez cały ten czas internet będzie zalewał hejt: na duchownego, na radną, na matkę, a salezjanie (na swoim portalu) będą wzywać do modlitwy – tylko za księdza Piotra.

ZBIGNIEW BOREK

Szlaban na ekran



ILUSTRACJA IZA KUCHARSKA

Co zrobić, by życie naszych dzieci nie toczyło się na TikToku, i kto powinien wziąć za to odpowiedzialność, wyjaśnia Magdalena Bigaj, medioznawczyni, badaczka i autorka książki „Wychowanie przy ekranie. Jak przygotować dziecko do życia w sieci?”.

ANNA DOBROWOLSKA: – Małe dziecko siedzi w wózku jak zaczarowane. Nie płacze, nie krzyczy – trzyma w ręku smartfon i ogląda bajki na YouTube. Rodzice też wyglądają na zadowolonych, bo mają chwilę spokoju. Obserwuję to coraz częściej.

MAGDALENA BIGAJ: – Wciąż większość rodziców nie wie, jak duży wpływ na dziecko ma smartfon i to już po pierwszym użyciu. Mózg zapamiętuje, że jest on dostawcą przyjemności, i od tego momentu za każdym razem na widok lub dźwięk telefonu będzie produkował dopaminę – neuroprzekaźnik, którego rolą jest skłonienie dziecka do sięgnięcia po coś przyjemnego, czyli smartfon właśnie.

To źle? Następnym razem można przecież puścić inną bajkę.

Według badań z ostatniego ćwierćwiecza – źle. Dlatego Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) i Amerykańska Akademia Pediatryczna zalecają, by mniej więcej do drugiego roku życia dziecko nie

miało żadnego kontaktu z ekranem. Oczywiście nic się nie stanie, jak przypadkiem spojrzy w telewizor, ale chodzi o to, żeby celowo go przed nim nie sadzać, nie uczyć, że to sposób spędzania czasu.

Dajemy ekrany, bo nie wiemy, jak spędzić czas z dzieckiem?

W wielu przypadkach na pewno jest to najprostsze rozwiązanie. Jesteśmy zmęczeni, przepracowani, też chcielibyśmy odpocząć. Dajemy więc smartfon i malec jest zajęty. Ma to jednak swoją cenę – buduje złe nawyki u dziecka i może wpływać negatywnie na jego rozwój. Dlatego warto jak najdłużej izolować maluchy od ekranów. Choć nie jest to proste. Niech pierwszy rzuci kamieniem, kto nigdy nie puścił Świnki Peppy o piątej rano, żeby się jeszcze chwilę przespać. Ja nie rzucę.

A co z przedszkolakami?

Między drugim a piątym rokiem życia dziecko nie powinno spędzać przed ekranem więcej niż godzinę dziennie. Najlepiej, żeby ten czas był podzielony na kilka odcinków, aby dziecko nie

wpadało w ekranowy trans. Oglądać zawsze powinno z rodzicem. Plus moja osobista rekomendacja – wybierzmy zawsze największy ekran, jakim dysponujemy, czyli np. telewizor zamiast telefonu. Będzie dalej od oczu i nie wciągnie w interakcję. Od szóstego roku życia czas ekranowy może być dłuższy, ale powinno to być dostosowane do dziecka. Obserwujemy, czy z powodu dłuższego czasu przed ekranem dziecko nie traci dotychczasowych zainteresowań, nie zaniedbuje obowiązków, nie staje się nerwowe.

O pierwszy własny telefon potrafią prosić już czterolatki.

Kiedy można ulec?

Wiemy z badań, że obniża się wiek, kiedy dziecko dostaje pierwszy smartfon na własność. Kiedyś to było 10 lat, dzisiaj to jest początek podstawówki, a nawet zerówka. Żadne gremium specjalistów nie podaje jednak jedynej słusznej cezurę wiekowej. W idealnej sytuacji powinna to być świadoma decyzja rodzica, który rozumie, że telefon na własność dla dziecka to dla rodzica nowy obowiązek szczególnej uważności i zdobywania wiedzy o świecie cyfrowym dzieci. Dobrze jest znaleźć jakiś powód, dla którego dziecko dostaje telefon. U nas w domu jest to moment, w którym dziecko zaczyna samo chodzić do szkoły. To pokazuje, że traktujemy urządzenie praktycznie, a nie jak kolejną zabawkę.

Częsty argument, pod którym opór rodziców kruszeje, brzmi: bo wszystkie dzieci w klasie już mają.

Granice w wychowaniu ustalają rodzice, a nie środowisko. Wbrew wielu modnym trendom dzieci potrzebują mądrych granic, bo czują się wtedy bezpieczniej. Dlatego kiedy dajemy dziecku urządzenie – nasze lub jego osobiste – zawsze musimy ustalić zasady korzystania i być przygotowanym na ich stałe dopracowywanie. Tylko w ten sposób możemy zapanować nad mózgiem, który chciałby bez przerwy czerpać ze źródła przyjemności, jakim jest dla niego ekran. I mam tu na myśli nie tylko telefon, ale także komputer, telewizor czy konsolę.

A zajęcia z kodowania dla przedszkolaków?

Jestem zwolenniczką pokazywania dzieciom technologii przez pryzmat praktycznego zastosowania. To oczywiście nie znaczy, że dzieci będą potem koderami, ale przynajmniej ekran nie będzie im się kojarzył tylko z bezmyślnym pochłanianiem kolejnych filmików.

Czyli ekrany to nie samo zło?

Zdecydowanie nie i staram się zwracać na to uwagę także w książce. Wiele zależy od tego, w jaki sposób wprowadzimy je w życie dziecka. Problem zaczyna się, kiedy pojawiają się w nim za wcześnie i bez kontroli rodzicielskiej. Musimy przypilnować, aby nie zdominowały doświadczeń off-line, które dziecko powinno zdobywać, aby się prawidłowo rozwijać.

To czym jest ta higiena cyfrowa, o której napisała pani całą książkę?

To zachowania, które chronią nasze zdrowie podczas korzystania z ekranów. To stała praca nad swoimi nawykami. Warto ją podjąć, bo m.in. chroni nasz najważniejszy organ: mózg. Wbrew pozorom to nie jest trudne. Potrzebujemy do tego mieć jedynie podstawową wiedzę o wpływie ekranów na człowieka, którą powinno się dodawać do niemowlęcej wyprawki. Przecież to ma ogromny wpływ na całe życie dziecka!

Wypożyczony w wiedzę troskliwy rodzic naprawdę ma potencjał, żeby postawić swojemu dziecku odpowiednie granice. Sukces zależy od tego, jak higienę cyfrową sprzedamy naszym dzieciom. Zachęcam zawsze do szczerzej rozmowy. Sama starszym uczniom mówię na warsztatach, że uczę ich higieny cyfrowej, by mogli spełniać marzenia. A do tego potrzebują sprawnie działającego mózgu.

Ze swoim przekazem konkuruje pani z mediami społecznościowymi. Młodzi uwielbiają Instagram, choć raczej nie wpływa on na budowanie poczucia własnej wartości.

Też uwielbiam Instagram. Jednak nawet ja, będąc dorosła i mając specjalistyczną wiedzę, mam z tym problem. Wystawianie się na stałą ocenę nie jest korzystne dla naszej psychiki. Na pewno większość z nas przynajmniej raz doświadczyło nieprzychylnego komentarza czy oceny wyglądu. To trudne dla dorosłych, a co dopiero dla dziecka. Jest wiele badań, które pokazują, że dzieci i nastolatki czują się w sieci oceniane za wygląd i ma to fatalne konsekwencje. Jest destrukcyjne dla poczucia własnej wartości, zaufania do innych i jego kondycji psychicznej. Musimy szczególnie się starać, aby budować samoocenę dziecka na tym, co ono potrafi i co od niego zależy, a nie na tym, jak wygląda.

Kolejny ulubieniec młodych to TikTok.

Portal skonstruowany w sposób idealnie uzależniający nasz mózg. Krótki filmik, który zaciekawia i bardzo szybko daje odpowiedź, której poszukujemy.

TikTok to nie tylko rozrywka dla dzieci. Używa go też mnóstwo dorosłych.

Korzysta z niego 150 mln ludzi w Europie. Co trzeci mieszkaniec Polski wciąga TikToka każdego dnia jak mózg kokainę.

Ale wyzwania, które się tam odbywają, to już nie zawsze śmieszne filmiki.

To prawda. TikTok cały jest pełen tzw. czelendży, które polegają na tym, że musisz zrobić coś spektakularnego, nagrać to i potem wrzucić do sieci. Zazwyczaj chodzi o coś niebezpiecznego dla zdrowia, np. przykładanie sobie acetonu do źrenicy czy podduszanie się do utraty przytomności, tzw. *clackout challenge*. W tym ostatnim przypadku wiemy oficjalnie o kilkunastu ofiarach z całego świata. Najmłodsze dziecko, które się udusiło, biorąc udział w tej zabawie, miało 8 lat, najstarsze 14. Prowokacje prowadzone przez organizacje pozarządowe udowodniły także, że algorytm TikToka potrafi podsuwać dzieciom treści zachęcające do samookaleczeń i prowadzące do zaburzeń odżywiania. Naprawdę nie wiem, jak można pozwalać dziecku na używanie tej aplikacji.

Pisze pani w książce, że Polska jest liderem w Europie w kontekście oglądania patostreamingu.

Sam patostreaming narodził się w środowisku graczy, którzy relacjonując w internecie, jak grają w gry, zauważyli, że kiedy są wulgarni, mają dużą oglądalność. A na oglądalności na YouTube się zarabia, bo zwiększa się liczba wyświetlanych reklam. Szybko się więc wyspecjalizowali. Zaczęły powstawać materiały złożone z najbardziej wulgarnych scen podczas grania i to początkowo nazywaliśmy mianem patostreamingu. Teraz w tej kategorii mieści się znacznie więcej treści i cieszą się ogromną popularnością wśród dzieci i dorosłych. Dlaczego? Może dlatego, że stworzyliśmy kulturę hejtu i memizacji życia. Dzisiaj wszystko może być memem, każda pomyłka uwieczniona na zdjęciu czy filmie może dostać swoje prześmiewcze życie w sieci. A ludzie z rechem udostępnią to dalej.

Z badań, które cytuję pani w książce, wynika, że pierwszy kontakt dzieci z pornografią ma miejsce w wieku 11 lat.

Mnie też to zszokowało. A to jest, podkreślam, średnia wieku. Są terapeuci, którzy twierdzą, że mają w swoich gabinetach dzieci sześć-, siedmioletnie, strauatycznie po kontakcie z pornografią lub uzależnione od niej. 11 lat to jest piąta klasa, czyli czas, w którym w dziecku rodzi się zaciekawienie seksualnością. Nic dziwnego, że zaspokojenia ciekawości szuka w sieci.

I natychmiast znajduje.

W internecie działa prawo popytu. Jest zapytanie, to pojawia się podaż, czyli odpowiedź. Jeśli dziecko korzysta z urządzenia, które nie ma zabezpieczeń, to z łatwością trafi do serwisu pornograficznego, w którym kliknie, że ma 18 lat, i otrzyma dostęp. ►

► Z badań Państwowego Instytutu Badawczego NASK wynika, że dzieci bardzo często ten pierwszy kontakt mają na telefonie znajomego. To pokazuje, że my musimy się społecznie zmierzyć z tym problemem. Nie wystarczy tylko nasza osobista ochrona w domu.

Łatwy kontakt z pornografią to już tylko krok do uzależnienia?

Większość nastolatków po 14. roku życia deklaruje, że w każdym tygodniu zdarza im się korzystać z takich treści, a z tych, którzy to robią, jedna piąta robi to codziennie, a nawet kilka razy w ciągu dnia. Pornografia jest szalenie uzależniająca, bo nie tylko zaspokaja potrzebę seksualną, ale daje także natychmiastową gratyfikację. Od razu klikam i jest – następny filmik, następne zdjęcia. W Stanach powstają już pierwsze stowarzyszenia osób, które starają się wychodzić z takich uzależnień, i z ich relacji wiemy, jak bardzo destrukcyjnie wpływa to na psychikę, a przede wszystkim na relację z przyszłymi partnerami i partnerkami. O takich rzeczach trzeba rozmawiać z nastolatkami.

Dla wielu rodziców to rozmowy z kategorii „trudne”.

Wolą unikać.

Wiem, bo też już mam tę rozmowę za sobą. Najlepiej ją odbyć, zanim dziecko zetknie się z pornografią. Trzeba mu powiedzieć, że to nie są obrazy prawdziwej relacji w związku, a ich oglądanie prędzej czy później powoduje przykre samopoczucie. Badania pokazują, że osoby uzależnione od pornografii mają trudności w osiąganiu satysfakcji ze stosunku, bo przyzwyczajone są do zupełnie innego sposobu pobudzania się. Często niezbędna jest terapia, żeby w ogóle nauczyć się odczuwać przyjemność z dotyku drugiej osoby. Uzależnienie od porno odbiera przyjemność z seksu, a czasem w ogóle możliwość odbicia go. I to są argumenty, które trafiają np. do nastolatków.

Pisze też pani o zjawisku przesyłania przez młodzież swoich rozebranych zdjęć. Co trzeci nastolatek słyszał lub miał kontakt z takimi treściami.

„Seksting”, bo o nim mowa, to pojęcie, które dla wielu dorosłych jest obce. Nastolatki wysyłają nagie zdjęcia głównie po to, aby się komuś przypodobać, to rodzaj flirtu, choć niestety niezbyt roztropny.

Aż się proszą o kłopoty.

Racja. I, co ważne, problemem nie jest tylko to, że nasza córka wysłała takie zdjęcie swojemu koledze. W takiej sytuacji również on ryzykuje, gdyż przechowywanie pornografii dziecięcej i rozpowszechnianie jej jest w Polsce karalne. Niebezpieczeństwa kryją się także w groomingu, czyli namawianiu dzieci i nastolatków do wysyłania swoich nagich zdjęć. Z raportu NASK dowiadujemy się, że wiele z nich otrzymuje takie prośby, z czego jedna trzecia pochodzi od osoby obcej. To otwiera pole do szantażu i presji, by dziecko wysłało kolejne fotografie. Gdy takie zdjęcia trafiają do sieci, będą multiplikowane i niezmiernie trudno będzie je usunąć. Ofiary takich przestępstw latami walczą o swoje prawa. I zdrowie psychiczne.

Wobec tych zjawisk rodzice często czują się bezradni.

Próbują zakazów lub surowej kontroli. Pani pisze, że najlepszą strategią jest współdziałanie z dzieckiem, wspólne poznawanie nowych aplikacji, gier.

Wielu rodziców czuje przed tym ogromny opór. Dlaczego?

Boją się nowych technologii, tego, że nie nadążą za dziećmi w sieci. Strach nie zwalnia jednak z opiekowania się nimi, nawet jeśli musimy nauczyć się czegoś nowego.



Magdalena Bigaj

– medioznawczyni, badaczka, działaczka społeczna. Twórczyni i prezeska Fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa. Autorka książki „Wychowanie przy ekranie. Jak przygotować dzieci do życia w sieci?”. Mama trójki dzieci.

To może takie krótkie cyfrowe SOS każdego rodzica?

Po pierwsze: zainstalować na swoim i dziecka telefonie aplikację do kontroli rodzicielskiej. To „jazda obowiązkowa” każdego rodzica, zwłaszcza w czasie ekranowej inicjacji. Po drugie: korzystać z serwisu pegi.info, w którym możemy sprawdzić, czy gra, w którą gra nasze dziecko, jest dostosowana do jego wieku, czy zawiera elementy przemocowe lub związane z seksem. Strona jest także w języku polskim. Po trzecie: ustalić zasady korzystania z ekranów dostosowane do wieku dziecka. I na koniec: wziąć sobie poważnie do serca, że pozwolenie dziecku na korzystanie z mediów społecznościowych przed 13. rokiem życia to ogromne ryzyko.

Czy państwo wspiera rodziców w trosce o higienę cyfrową najmłodszych? Co sądzi pani o pomysle: komputer dla każdego czwartoklasisty?

Naszym problemem dzisiaj nie jest to, że dzieci nie mają dostępu do urządzeń ekranowych, tylko że nie uczymy ich bezpiecznego z nich korzystania. Urządzenie ekranowe nie jest już wielkim wyzwaniem na-

wet dla biedniejszych rodzin, a program nauczania 10–12-latków nie wymaga ciągłego siedzenia przed komputerem. Mamy o wiele większe problemy, jak choćby ochrona dzieci przed destrukcyjnymi treściami, zadbanie, aby prawa dziecka były przestrzegane przez największe platformy.

Rozwój technologii pędzi, a my wychowujemy dzieci w XX-wiecznym stylu. Potrzebujemy międzysektorowego działania, a nie pojedynczych projektów konkretnych ministerstw, które może są spektakularne i atrakcyjne w okresie przedwyborczym, ale jeśli nie towarzyszy im mądra edukacja, pozostaną tylko rozdawnictwem. Czy każdy komputer będzie odpowiednio zabezpieczony? Wielu rodziców nawet o tym nie pomyśli albo nie będzie potrafiło tego zrobić. Ta akcja, gdyby realizowana była np. wspólnie z MEiN i koalicją instytucji zajmujących się edukacją medialną, miałaby szansę naprawdę zmienić świadomość społeczną, obejmując edukacją uczniów, rodziców i nauczycieli. Obawiam się jednak, że do 400 tys. domów trafi komputer z napędzonej stworzoną broszurką, która wylądnie w koszu, a najbardziej skorzystają producenci sprzętu. Te miliony złotych można było wydać dużo mądrzej.

Jak powinna wyglądać przemyślana edukacja medialna?

Przede wszystkim trzeba przyjąć do wiadomości, że mamy poważny problem społeczny związany z używaniem nowych technologii w sposób niebezpieczny dla zdrowia. Musimy jak najszybciej zacząć uczyć tego w szkole, w ramach obowiązujących przedmiotów. Do tego potrzebujemy jednak odpowiednio przygotowywanej kadry oraz specjalistów wspierających uczniów. Warto pamiętać, że edukacji wymagają wszystkie grupy wiekowe, także dorośli i seniorzy. To już się dzieje dzięki organizacjom pozarządowym oraz dobrej woli środowiska nauczycielskiego. Ale bez wsparcia systemowego to wciąż tymczasowe protezowanie potrzeby.

To może na koniec coś optymistycznego, w końcu publicznie pani przyznaje, że jest entuzjastką nowych technologii.

Myślę, że zmierzamy w stronę czasów, w których brak umiejętności kontrolowania się w korzystaniu z ekranów będzie uważany za objaw niskiej kultury osobistej. Matthew McConaughey, popularny aktor, wrzucił ostatnio relację, w której mówił, że z okazji 15. urodzin swojego syna dał mu w prezencie dostęp do mediów społecznościowych. Do kultury masowej powoli zaczyna przenikać przekonanie, że stałe wgapienie się w ekran to obciach. Lubię to.

ROZMAWIAŁA ANNA DOBROWOLSKA

MARTA MAZUŚ

Serce matki, 86-letniej Zofii Wolskiej, czuło, że coś jest nie tak. Serce matki takie rzeczy czuje, nawet jeśli jest po dwóch operacjach, ma wszczepiony rozrusznik i dwa kable podłączone pod aortę brzuszną.

I rzeczywiście. 11 lipca nagle dzwoni komórka, a po drugiej stronie jej syn, 63-letni Wojciech, mówi do niej: – Nie mam gdzie mieszkać. Czy ty, mama, mnie przyjmiesz?

Z początku mu nie uwierzyła. Wojtkowi nie można wierzyć. Ale potem usłyszała, że on płacze. Bo dzwonił już z ulicy. Z plecakiem z najpotrzebniejszymi osobistymi rzeczami, z telewizorem w reklamówce i dwiema kulami, dzięki którym jako tako się porusza, siedział przed swoim blokiem przy Woronicza w Warszawie i zastanawiał się, co dalej. Właśnie został eksmitowany.

Serce Zofii podskoczyło. Jak to możliwe? Dlaczego nikt jej nie zawiadomił? – pytała. Jako matka mogłaby coś zrobić, pomóc, gdzieś zadzwonić, kogoś zawołać, wziąć go do siebie, ale... No właśnie. To skomplikowane.

On jako dziecko taki był ładny. Raz jeden facet podszedł do niej na ulicy i zapytał, czy może go od niej odkupić. Bo taki piękny. Przestraszyła się wtedy, uciekła do autobusu. I mądry też był. W wieku 11 lat już grał z ojcem w brydża. Z ojcem milicjantem Wojtek był bardzo związany. Ale potem ojciec niespodziewanie zmarł – 1 listopada było Święto Zmarłych, a 20 listopada już nie żył, czerniak. To wtedy Wojtek zaczął się powoli zmieniać.

Znikał na całe noce. Z czasem już wiedziała, że jeśli ma go znaleźć, to tylko pod szpitalem. Stał na rogu ulicy i obserwował budynek. Po cichu mówił, że tu mu lekarze jego tatusia zarżnęli. Diagnoza była szybka i prosta. W wieku 34 lat Zofia została wdową i samotną matką dwójki dzieci – córki oraz 12-letniego syna Wojtka, który okazał się zdiagnozowanym schizofrenikiem paranoidalnym.

Mimo braku męża przez kolejne lata serce Zofii wciąż było zajęte. Każdego dnia – pomiędzy pracą w kancelarii tajnej Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, pracą w klubie nauczyciela, w centrali Teatru Syrena, a potem to już gdziekolwiek, byleby wyższa płaca – starała się odgadnąć, co może być najlepsze dla jej chorego syna.

Serce matki

Sąsiedzi, pomoc społeczna, komornik, administracja. Wszyscy byli zszokowani, że 63-letni syn przez dwa tygodnie mieszkał na klatce schodowej, pod drzwiami mieszkania swojej 86-letniej matki. Jak to możliwe? – pytali.

► Nauczycielka w zawodówce któregoś dnia powiedziała mu, że spał się jak byk, nie chciał potem już więcej chodzić do szkoły, więc Zofia mu znalazła warsztaty dla niepełnosprawnych. Wojtek miał tam kolegów, z którymi nawijali waciki na patyczki do uszu. Ona miała koleżanki matki, z którymi się zastanawiała, co będzie z ich chorymi dziećmi, kiedy ich zabraknie. No i byli tam też wspaniali lekarze, którym w podzięce za dobrą opiekę Zofia zawoziła w garnkach własnoręcznie robione gołąbki.

Z czasem najbliżsi zaczęli jej zarzucać, że z Wojtkiem wcale nie jest tak źle i że to może ona wmawia mu chorobę. Może to prawda? – pomyślała. Był już pełnoletni, więc poszła do sztabu wojska na Rakowiecką z prośbą, żeby go przyjęli. I przyjęli, akurat trwał stan wojenny. A zaledwie rok później, znów na Rakowieckiej, przez całą noc stała w kolejce, żeby dostać przepustkę i go odebrać ze szpitala w Rzeszowie. Wojtek nie umiał się podporządkować, kapral kopnął go w nogę, pęknięte ścięgno Achillesa.

Wspólne mieszkanie w trzech pokojach z kuchnią. W sumie 17 pobytów w szpitalach psychiatrycznych, z których po odwiedzinach u Wojtka Zofia nigdy nie mogła wrócić do domu, bo zawsze wsiadała w zły autobus. Napady szału – na starym kredensie wciąż jest ślad po tym, jak Wojtek uderzał w niego deską do krojenia. A czasem wręcz przeciwnie, przez kilka godzin mógł siedzieć w jednym miejscu i się nie odzywać.

On musi się usamodzielnic – mówili lekarze. Poradzi sobie, ma w sobie jakiś spryt – przekonywali Zofię. Wojtek nie miał nic przeciwko. On zawsze przytakuje. Byleby nie krzyczeć.

Wyposażyła go jak pannę na wydaniu. Firaneczki, zasłoneczki, dywaniki. Kilka lat starała się o to mieszkanie. Trzy pokoje z kuchnią z zasobów MSW rozkwatowali im na dwa mniejsze – 34 m kw. przy Joliot-Curie dla niej, 24 m kw. przy Woronicza dla niego, niedaleko od siebie, może z kilometr. Nauczyła go gotować, myć okna, sprzątać. Nawet psa mu sprawiła, żeby się nie czuł samotny. A gdy już oboje się przenieśli, każde do siebie, zgłosiła go do pomocy społecznej – miał orzeczoną II grupę inwalidzką, przyznaną rentę, no i przydzieloną opiekunkę społeczną. Do administracji zgłosiła fakt, że jest chory psychicznie – Zofia pamięta jeszcze, jak przy niej administratorka zakładała mu lokalową teczkę.

A potem postanowiła przez pół roku do niego nie dzwonić. Nie podała mu też swojego nowego adresu. Żeby się w końcu nauczył tego życia w pojedynkę. Ale Wojtek i tak ją znalazł. Któregoś dnia po prostu pojawił się pod jej domem. Psa mu otruli. Brakowało mu na jedzenie. To samodzielne życie rozpoczął jakieś 20 lat temu.

20 lat później komorniczka Ewa Chmielnicka dostała po prostu wyrok z sądu. Sprawa jak każda inna – eksmisja z mieszkania o statusie pomieszczenia tymczasowego z powodu utraty prawa do lokalu. Utrata prawa może być z różnych powodów: zaległości w czynszu, uciążliwości, braku tytułu prawnego. Komorniczka nie wnika w przyczyny, dostaje do wykonania wyrok. A to w dodatku była sprawa, która ciągnęła się od 2020 r. Tyle że potem była pandemia i wszystkie eksmisje na dwa lata wstrzymano.

Jeszcze na tydzień przed była u pana w mieszkaniu. Chciała uprzedzić, co będzie się działo. Ale nie otworzył. Zostawiła mu w drzwiach kartkę z numerem telefonu do siebie. Zadzwoił. Pytał, czy da się przesunąć. Czasami, owszem, da się. Komuś zależy, opowie o sobie, przedstawi dokumenty. Komorniczka zniosła w ten sposób kilka terminów. Ale tu nic – ani słowa o opiecej społecznej, ani słowa o chorobie. Skąd wszyscy święci mają wiedzieć, na co pan jest chory?

Podczas czynności był spokojny, zgadzał się na wszystko. Tylko pod koniec nerwy mu puściły, zwyzywał komorniczkę, nie chciał nic brać ze sobą. To komorniczka z policjantem sami mu spakowali w siatkę telewizor. I tak go widziała po raz ostatni – siedział na ulicy z rzeczami przy nogach. Powinien trafić do noclegowni. Ale on powiedział, że idzie do matki.

Zresztą matka jeszcze tego samego dnia wydzwaniała do komorniczki o 22. Pytała, co się stało, dlaczego jej syn trafił na ulicę. Takie telefony? O 22?

Sąsiad Cezary dowiedział się od syna. – Tato, na klatce schodowej jakiś bezdomny leży – powiedział jego syn którejs lipcowej nocy po powrocie z imprezy. Cezary wyrzwał, przygląda się. W kąciku przy schodach na parterze, naprzeciwko skrzynka na listy, dwie kule, niewielki plecak, niedojedzona zupa, szklanka po herbacie i starszy facet oparty o ścianę. Przecież to Wojtek, syn pani Zosi – sąsiad Cezary poznał go od razu. Od 20 lat zna przecież oboje. Do jej mieszkania na parterze wpadał czasem poproszony o przykrycie

żarówki, a jego od czasu do czasu mijają przed blokiem, jak o kulach powoli dreptał do mamy w odwiedzinach.

A teraz Wojtek twierdził, że po prostu zgubił klucze i że jak mama wróci, wtedy mu otworzy. – Ani słowa o eksmisji. Chyba po prostu się wstydził – wspomina sąsiad Cezary.

Ludzie z bloku mijali Wojtka spokojnie. Sąsiad Cezary ze dwa razy podładował mu telefon, ktoś dał mu wody, ktoś inny owoce, z łazienki Wojtek korzystał w pobliskiej przychodni, trochę się kręcił po najbliższej okolicy. – I nikt nie wzywał policji ani straży miejskiej – podkreśla sąsiad Cezary.

Ale mijał dzień, trzy dni, tydzień, a Wojtek wciąż przy tych schodach albo oparty plecami o stare, odrapane drzwi mieszkania matki z K+M+B wypisanym kredą. Wścibska sąsiadka z pieskiem, której nikt nie lubi, coraz częściej przystawała koło niego i z uśmiechem stwierdzała: – Coś długo te klucze jadą do ciebie, Wojtek...

W końcu sąsiad Cezary uznał, że coś jednak jest nie tak i że musi wprost zapytać przez telefon: – A gdzie właściwie jest, pani Zosiu? Ja mogę podjechać, zabrać te klucze.

A Zofia na to: – U wnuczki, pod Warszawą. Ale jaki adres dokładnie, nie powiem panu, bo nie wiem. Naprawdę nie wiedziała, czy nie chciała powiedzieć?

Pomoc społeczna z warszawskiego Mokotowa dowiedziała się, bo sam do nich przyszedł. Z powodu licznych obwarowań RODO pracownicy nie mogą o swoich podopiecznych opowiadać wprost. Opowiadają więc strzępkami: „Trudny przypadek, taki znikający punkt. Czasem był w domu, czasem nie otwierał”; „U osób korzystających ze stałych form pomocy społecznej wywiad środowiskowy odbywa się nie rzadziej niż raz na pół roku”; „To nie pomoc społeczna decyduje o eksmisji, tylko miejski zarząd gospodarowania nieruchomościami, a sąd wydaje wyrok. ZGN może się zwrócić do pomocy społecznej o informacje na temat sytuacji życiowej danej osoby. Ma taką możliwość, ale nie obowiązek”; „Dobrze, że on w końcu przyszedł do nas. Można było zacząć kompletować dokumenty do schroniska dla bezdomnych. Ale wcześniej on nic nie wspominał, że są jakieś problemy lokalowe. Dla nas pierwsza informacja to była już eksmisja”; „Osoby niewydolne życiowo mogą zostać umieszczone w domu pomocy społecznej. Ale potrzebna jest zgoda danej osoby. Tu zgody nie było. Chyba że ktoś jest

ubezwłasnowolniony, wtedy decyduje za niego jego opiekun prawny. Tu ubezwłasnowolnienia nie było”; „Zauważamy od jakiegoś czasu niepokojącą tendencję, że rodziny zaczynają zrzucać odpowiedzialność za bliskich na pomoc społeczną. Ludzie chcieliby, żeby pomoc społeczna ich wyręczyła. To było widoczne zwłaszcza w czasie pandemii. To smutne, że opiekunczą funkcja rodziny zaczyna powoli zanikać”; „Gdy miejsce w schronisku było już załatwione, mieliśmy tu niezły maraton. Opiekunka społeczna nie mogła pana nigdzie znaleźć, żeby go poinformować, że w piątek 21 lipca ma się stawić w schronisku. Pan się nie stawił, więc potem był drugi maraton, żeby go dowieźć na miejsce. Kilka osób od nas biegło za nim po osiedlu. Udało się dopiero w poniedziałek”; „Oczywiście jest możliwość wyjścia z tej sytuacji. Mamy w Warszawie program wychodzenia z bezdomności. Osoba podpisuje specjalny kontrakt i może składać wniosek o przydział nowego lokalu z zasobów gminy na czas próbny”; „Jeżeli listonosz przynosił komuś do domu rentę, a ta osoba straciła miejsce zameldowania, to musi teraz na własną rękę powiadomić o tym ZUS, żeby renta przychodziła np. na adres schroniska. A na razie jego miejscem zameldowania i zamieszkania jest po prostu teren gminy Warszawa”.

Zofia Wolska sprawy syna Wojciecha załatwia teraz z domu wnuczki pod Warszawą, przez telefon. Do wnuczki zwykle trafia tak – wnuczka z mężem podjeżdżają pod jej blok samochodem i wysadzają ją od razu pod swoim domem. Nigdy nie było mowy o tym, jaki to właściwie jest adres. Może nie chcą, żeby Wojtek tu trafił? Wnuczka Zofię utrzymuje, więc Zofia o nic nie pyta. A teraz wnuczka na dwa tygodnie wyjechała z Polski, więc Zofii dogląda sąsiad – chodzi wokół domu i gdy zobaczy jej głowę, to ma pewność, że żyje.

Zofia od czterech lat porusza się o balkoniku. To był jeden dzień – po nagłej śmierci ukochanego zięcia, męża córki, po prostu nie mogła już ruszyć nogami. Stwierdzono u niej zanik mięśni. Przez ostatnie lata przeszła w sumie 11 operacji, wliczając te dwie na serce.

A teraz, od kiedy Wojtek zadzwonił z ulicy, z jej sercem znowu jest gorzej. Niby przez te ostatnie lata miał się stać samodzielny, ale się nie udało. Gdy mu się zepsuła lodówka, to nie kupowała do razu nowej, chciała go zmobilizować, żeby sam uzbierał. Ale nie uzbierał, więc żeby nie głodował, raz w miesiącu

Od zależności ku samodzielności

Zgodnie z polskim prawem osoba chora psychicznie lub upośledzona umysłowo, która nie jest zdolna do zaspokajania podstawowych potrzeb życiowych i nie ma możliwości korzystania z opieki bliskich, a wymaga stałej opieki i pielęgnacji, ale nie leczenia szpitalnego, może być za swoją zgodą lub zgodą swego przedstawiciela ustawowego przyjęta do domu pomocy społecznej. Przyjęcie do DPS-u bez zgody danej osoby, a za zgodą jej przedstawiciela ustawowego, wymaga orzeczenia sądu opiekuńczego. Sąd wydaje je na wniosek złożony przez jednostkę pomocy społecznej lub kierownika szpitala psychiatrycznego.

Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej twierdzi, że zauważa brak wystarczającego wsparcia ze strony państwa dla wciąż rosnącej liczby osób z problemami psychicznymi i ich rodzin. Pomoc ma wprowadzony w 2023 r. program MRiPS „Od zależności ku samodzielności”. Zakłada on m.in. wsparcie dla rodzin osób z zaburzeniami psychicznymi (grupy samopomocowe, warsztaty, szkolenia), integrację tych osób i ich rodzin ze środowiskiem lokalnym, działania w zakresie pomocy, w tym usługi świadczone na rzecz osób z zaburzeniami psychicznymi przez jednostki organizacyjne służb pomocy społecznej, umożliwianie tym osobom zdobywania kompetencji niezbędnych do samodzielnego życia poprzez kursy czy spotkania z doradcami zawodowymi. Celem programu ma być poprawa warunków funkcjonowania osób z zaburzeniami psychicznymi w życiu społeczno-gospodarczym.

wysyłała do niego kobietę z zakupami, lekami i z pieniędzmi.

Jemu się odnowiło ścięgno Achillesa, a do tego drugą nogę ma poskręcaną na śruby. Chodzi o dwóch kulach. Ona za to o tym balkoniku. Ostatni raz widzieli się jakieś pół roku temu. I tylko przez telefon mówił jej różne rzeczy: a to że go coś boli, a to że mu dowód ukradli. Ale o tym mieszkaniu nigdy nic nie wspominał.

Zofia myślała, że jak jest pomoc społeczna, to oni się powinni takimi sprawami zajmować. A tu ani opiekunka, ani administracja – nikt o żadnym zadłużeniu nigdy jej nie mówił. A jeśli nawet on wymagał ubezwłasnowolnienia, to czy to też nie pomoc społeczna powinna takie rzeczy robić? No i to mieszkanie – przecież było z rozkwaterowania, była umowa ze stałym meldunkiem.

Zofia wydzwania teraz, gdzie może. Do stowarzyszeń lokatorów po poradę prawną. Do schroniska dla bezdomnych, gdzie w końcu Wojtek trafił (dzięki interwencji pomocy społecznej) – prosić, żeby mu ktoś pożyczył pieniądze na doładowanie karty do telefonu. Jednak w tym schronisku obsługa nie jest zbyt przyjazna – stwierdza Zofia – mówią jej, że tu się pieniędzy nie pożyczka. A przecież on niedługo odda, jak tylko listonosz przyniesie mu

rentę – przekonuje Zofia, ale nikt jej nie słucha. Do Wojtka dzwoni, żeby go trochę postawić do pionu. Zadłużyłeś się, to sam sobie jesteś winny – mówi mu ostro, a wtedy on płacze.

Nawet do prezydenta ostatnio napisała – z prośbą o pomoc w umieszczeniu Wojtka w jakimś domu opieki. Na miejsce w domu opieki można czekać latami. Zofia nie ma tyle czasu. Ale nie ma też innego wyjścia. Dopiero gdy on będzie znów miał swój kąt, jej serce matki będzie mogło odpocząć.

MARTA MAZUŚ

PS Jak wynika z informacji udzielonych przez Zarząd Gospodarowania Nieruchomościami dla dzielnicy Mokotów w Warszawie, eksmisja Wojciecha Wolskiego z mieszkania przy ul. Woronicza nastąpiła na skutek – jak określił to rzecznik prasowy – „gigantycznego zadłużenia, przekraczającego kwotę 40 tys. zł”. Umowa najmu lokalu, który zajmował, została podpisana w 1996 r. i od tego czasu lokal miał dwukrotnie obniżony status – z komunalnego stał się socjalnym, a potem pomieszczeniem tymczasowym. Jak twierdzi rzecznik ZGN, w ciągu ostatnich lat z lokatorem były podpisywane porozumienia, które zakładały rozłożenie zaległych płatności na raty, jednak lokator ich nie regulował. Ostatnia eksmisja była już drugą, która została mu zasądzona. Administracja była powiadomiona i świadoma choroby, na jaką cierpi Wojciech.

Fundator z tektury

Ryszard Czarnecki w trakcie kampanii do PE rozdał uczniom, laureatom konkursu o historii Polski, tekturki z tekstem: „Bilet do Brukseli”. Wyjazd miał być główną nagrodą. Przez trzy lata nie zrealizował zaproszenia.

VIOLETTA KRASNOWSKA

Tomasz Brzeziński z Legionowa, ojciec i ojczym szóstki dzieci, przedsiębiorca i działacz społeczny, jeszcze dziś nie może o tym opowiadać spokojnie.

Od 2019 r. bezskutecznie próbował skontaktować się z europosełem Czarneckim, by ten zrealizował wyjazd do Brukseli, jaki obiecał trójce zwycięzców konkursu, w tym jego córce. – *Nie chodzi mi już o wycieczkę, ale jeżeli polityk polski wręcza nagrodę w konkursie patriotycznym, gdzie ciągle się mówi „Polska”, „Polska jest nasza”, to jak można potem zrobić dzieci w tłąbę?* – denerwuje się.

Tym bardziej że na początku był entuzjazm. – *Córka przyszła do domu i mówi: „tato, w moim liceum jest konkurs na film patriotyczny, nagrodą jest wycieczka do Brukseli, pomożesz?”. Super, pewnie* – opowiada. Organizatorem jest Fundacja Konkursu Historycznego Patria Nostra utworzona w 2017 r., a jej fundatorem jest Mirosław Gryko z Zielonki koło Wołomina. To właściciel firmy marketingowej współpracującej z Fundacją, której prezesem jest Nataliya Volynets. Według akt rejestrowych głównym celem fundacji jest właśnie organizacja konkursu Patria Nostra, którego „celem jest propagowanie historii Polski, krzewienie patriotyzmu, etyki chrześcijańskiej”. I jak podaje na swojej stronie Fundacja: „Konkurs Patria Nostra uzyskał patronaty i wsparcie wielu szanowanych osób i instytucji, wśród których można wymienić: MEN, MON, IPN, Marszałka Sejmu RP, Arcybiskupów, Wojewodów, Senatorów RP, Posłów do Parlamentu Europejskiego, a także wielu firm komercyjnych i Spółek Skarbu Państwa”.

Konkursy fundacji Patria Nostra reklamują na swoich stronach kuratoria i szkoły. Adresowany jest do młodzieży klas VII i VIII oraz szkół ponadpodstawowych. Praca konkursowa to krótki film, trwający mniej niż minutę, o ważnym

wydarzeniu z historii – wykonany przez 3-osobowy zespół uczniów pod opieką nauczyciela. W tamtej – IV edycji konkursu – wzięło udział ponad tysiąc uczniów z 268 szkół, 83 drużyny z Polski, ale i polonusi – uczniowie szkół z Białorusi, Ukrainy, Litwy, Kazachstanu, a nawet USA. Nagrodą główną była właśnie wycieczka do Brukseli na zaproszenie europoła Czarneckiego.

– *Zrobili film o wydarzeniach z maja 1945 r., kiedy oddział AK rozbił obóz NKWD w Rembertowie i uwolnił ponad 500 więźniów, i wygrali!* – mówi z dumą Tomasz Brzeziński. – *Radość dzieciaków była ogromna, jedziemy do Brukseli, będzie świetnie!* Wyciąga wydruki zdjęć z internetu, energicznie stuka w nie palcem – są na scenie razem z Ryszardem Czarneckim z biletami do Brukseli!

I co? I nic

Zdjęć i relacji w serwisach telewizyjnych z tamtej gali finałowej, która odbyła się 25 marca 2019 r., jest w necie sporo. Uroczystość była podniosła. Byli przebrani w żupany i kontusze członkowie Bractwa Kurkowego Rzeczypospolitej na czele z Wielkim Kanclerzem Gniewomirem Rokosz-Kuczyńskim, który, jak można przeczytać, dokonał pasowania laureatów wedle staropolskiego rytuału rycerskiego. Poseł Andrzej Melak odczytał przesłanie marszałek Sejmu Rzeczypospolitej do uczestników konkursu. A na scenie europoseł Ryszard Czarnecki osobiście rozdawał zwycięzcom – trójce uczniów XLVI liceum im. Czarnieckiego w Warszawie – Grand Prix, czyli wielkie kartony „Bilet do Brukseli” z dużym zdjęciem posła Czarneckiego i logo PiS. Artykuł „Ryszard Czarnecki wręczył nagrody laureatom Konkursu Patriotycznego Patria Nostra” wraz z bogatą fotorelacją Czarnecki umieścił na swojej stronie na FB. Wpis polubiło wiele osób.



– *Zaczęło się czekanie na wyjazd, wiadomo, trzeba to zorganizować* – opowiada Tomasz Brzeziński. Gdy czekanie się przedłużało, spytał córkę, co z tą wycieczką? – *No nie wiem, nic* – odparła.

Dziś opiekunka ich drużyny, nauczycielka historii, nie chce do tej sprawy wracać, a dyrektor Marek Nocula mówi ostro, że stała się rzecz haniebna: – *Był piar, chwalenie się na prawo i lewo, młodzież szczęśliwa, rodzice też, no i nagle cisza.* Nauczycielka nie raz zwracała się do organizatorów, żadnego oddźwięku. – *Odpowiedź była wymijająca, efektu żadnego. Rozmowy były dziwne i kunktatorskie. A później wychodzi na to, że tak naprawdę nie ma żadnej nagrody, i w kolejnej edycji już nie wystartowaliśmy.* Sytuację uznajemy za kompromitującą – mówi dyrektor, zaznaczając, że nigdy jako szkoła nie dostali żadnej odpowiedzi w sprawie realizacji przyznanej nagrody. I od razu zaznacza: – *Z pandemią to nie miało nic wspólnego, jeżeli chodzi o realizację.*

Fakt – według informacji Bartosza Ochapskiego, rzecznika PE w Polsce wynika, że Prezydium Parlamentu Europejskiego zawiesiło wizyty grup sponsorowanych przez posłów w marcu 2020 r., a więc rok po wręczeniu przez Ryszarda Czarneckiego nagrody. I ta przerwa trwała do marca 2022 r. Choć, jak dodaje Bartosz Ochapski, wizyty grup były dozwolone również w listopadzie i grudniu 2021 r., a także w niektórych dni października 2021 r.

Według naszej wiedzy sam organizator dopominał się u Czarneckiego o realizację nagrody, pisząc półtora roku po uroczystości, jesienią 2020 r. m.in.: „Sprawa jest



dla nas bardzo przykra, że mimo licznych prób nikt z Państwa strony do drużyny się nie odezwał. Co jakiś czas otrzymujemy od członków drużyny-laureatów maile lub telefony w powyższej sprawie. W oczach drużyny, jak i całej szkoły, łącznie z dyrekcją, nasza fundacja oraz pan poseł Ryszard Czarnecki mamy bardzo poderwaną reputację. Bardzo proszę o pomyślne rozwiązanie sprawy nagrody głównej, bo obecnie to już urosło do rangi ratowania honoru posła do PE”. Padła propozycja zmiany nagrody na pieniężną lub cenną rzeczową. Bez odpowiedzi.

Także Tomasz Brzeziński pisał do europośła Czarneckiego. Na FB: „No pan się odezwie, po co z gęby cholewę robić. Co to za służba dla narodu, dwa lata na odpisanie na mail”. Wydzwaniał pod numer komórkowy jego biura. – *To jak mówić do ściany* – wspomina. – *Pod koniec stycznia 2022 r. usłyszałem, że poseł wybiera się do Legionowa na mecz siatkarski do Areny, więc asystent umówił mnie z posem na 13 lutego, godz. 19 na parking pod Areną, przy samochodzie.*

Ale o co chodzi?

– *Poseł Czarnecki mówił, że oczywiście on pamięta i że oczywiście dzieci pojedą* – relacjonuje Tomasz Brzeziński. Milczenie w sprawie tłumaczył pandemią, ale jak zaznacza Brzeziński: – *Kiedy ja się z nim spotkałem, to była już końcówka pandemii, więc on mówi: „kwiecień, dzieciaki pojedą”* – zapewnił, przybijając ze mną tzw. piątkę. Brzeziński poprosił, jak mówi, jeszcze o jedno: – *Dam panu numery telefonu do dzieciaków, które miały jechać na tę wycieczkę, albo może ustalimy*

spotkanie, ja przyjadę z tymi dziewczynami tylko po to, żeby pan wyszedł z tej sytuacji z twarzą, podał im rękę, powiedział choćby: „Dziewczyny, pojedziemy, kiedy będzie okazja”. Ale poseł numerów nie chciał. „Proszę się kontaktować przez mojego asystenta”.

A potem nikt już nie odebrał od Brzezińskiego telefonu i też nikt się z nim z biura posła nie skontaktował.

Znowu zaczął szukać kontaktów do posła, telefonować. – *Kiedy się wreszcie gdzieś dodzwoniłem, zacząłem wymyślać, że nie wolno tak dzieci oszukiwać. Po drugiej stronie usłyszałem, „Ale o co chodzi? Mówi pan o pośle Halickim?” – spytał kobiecy głos – to była Aleksandra Śmietanka, asystentka posła Halickiego. – „Jakim Halickim? Ja mówię o Czarneckim!” – Ale pan się dodzwonił do biura posła Halickiego. Przeprosiłem, opowiedziałem o całej tej historii, powiedziała, że musi pójść do posła, i oddzwoni. Aha, pomyślałem, oddzwoni. Ale oddzwoniła i mówi – „da się zrobić, dziewczyny pojedą”. Ale jak, Czarnecki ufundował, a Halicki ją wykona? „Ale to przecież chodzi o dzieci, tak jak pan powiedział?”.*

Wzięła numery telefonu do dziewczyn, były w Brukseli, mają zdjęcia, spotkały się z posem Halickim, zwidziły Parlament. – *No super, szczęśliwie* – Brzezińskiemu głos się łamie. – *Okazuje się, że posła to nic nie kosztuje! Bo według informacji z Parlamentu Europejskiego każdy poseł może patronować 110 osobom odwiedzającym rocznie. Trzeba złożyć formularz wniosku, najlepiej dwa miesiące przed wizytą. Parlament przyznaje na osobę 40 euro na posiłki*

i drobne wydatki lokalne, a w przypadku noclegu dodatkowo 60 euro. Koszty podróży i zakwaterowania parlament zwraca. Poza tym organizuje samą wizytę gości w Parlamencie.

Dla Tomasza Brzezińskiego to jednak nie zamykało sprawy. Zaczepił Czarneckiego na FB: „Chciałbym zwrócić uwagę na uczciwość posłów, dokładnie europośłów. Panie Ryszard Czarnecki. Jak tam? Fajnie?” Zero reakcji.

Wycieczka w listopadzie?

Telefon komórkowy podany na stronie Fundacji Konkursu Historycznego Patria Nostra odbiera jej fundator Mirosław Gryko. Pytany o niezrealizowaną nagrodę główną wyjazdu uczniów do Brukseli z 2019 r. mówi: – *Pan Czarnecki tę nagrodę ufundował i jest do odbioru dla młodzieży* – odpowiada z pełnym spokojem. – *Gdzie do odbioru?* – nie kryje zaskoczenia. – *Trzeba tylko ustalić termin tej nagrody, bo to miała być wycieczka do Brukseli. My jesteśmy w kontakcie z tą młodzieżą, ale była pandemia i wycieczki były odwołane i dlatego też było pewne przeciągnięcie* – odpowiada. Tak, wie, że nagroda była w 2019 r., a pandemia wybuchła rok później i skończyła się w roku ubiegłym. – *Ja z panem Czarneckim rozmawiałem w tym roku i pan Czarnecki powiedział, że wycieczki będą zrealizowane w listopadzie* – mówi. Dopytywany, z kim ma kontakt, bo ani szkoła, ani zwycięzcy nic o tym listopadowym wyjeździe nie wiedzą, poprosił o kilka dni, to ustali. Ale wtedy już tylko przekierowuje mnie do biura posła Czarneckiego jako najlepszego źródła informacji.

Ryszard Czarnecki: – *Oczywiście, że kojarzę sprawę i te osoby mają jechać teraz, jesienią. Mówiłem to panu Gryko już kilka tygodni temu. Tłumaczy, że była pandemia i to jest powód, że mimo upływu ponad trzech lat nie zrealizował nagrody. – Rozmawiałem z panem prezesem i ustaliliśmy z nim konkretny termin – listopad. Pan prezes Gryko miał przysłać dane laureatów do mnie i wtedy te osoby będą wpisane na listę i wycieczka się odbędzie. Cały czas czekam od pana Gryko na listę osób, które mam zaprosić. Jako organizator powinien to przekazać już dawno.*

– *I nie ma pan sobie nic do zarzucenia? – Ja tylko wręczałem nagrody* – mówi europoseł.

Od tego czasu minęło kilka tygodni. Zapytaliśmy dyrektora liceum, czy ktoś z Fundacji Patria Nostra prosił o dane laureatów. – *Do szkoły w tej sprawie na pewno nikt się nie zgłaszał. Zresztą tej młodzieży już w liceum nie ma, są po maturze.* ■



Niedola lokatora

Wynając mieszkanie łatwiej niż przed rokiem, ale czynsze przyprawiają o zawrót głowy. Dla studentów szukających mieszkań na wynajem u progu nowego roku akademickiego są jednak wiadomości dobre i złe.

CEZARY KOWANDA

Pocieszać może na pewno fakt, że tym razem – inaczej niż w ubiegłym roku – nie brak wolnych lokali. Wtedy po rosyjskiej inwazji i napływie setek tysięcy uchodźców liczba dostępnych mieszkań drastycznie zmalała. Część została bezpłatnie udostępniona uciekającym przed wojną, inne wynajęte na normalnych zasadach. Nagle okazało się, że zwłaszcza w dużych miastach, pozostały tylko lokale najdroższe, zupełnie niedostosowane do potrzeb na przykład studentów. Jednak w tym

roku na portalach ogłoszeniowych systematycznie przybywało ofert najmu. Część uchodźców wyjechała z Polski, wracając do ojczyzny albo wybierając kraje Europy Zachodniej. Do tego pojawiły się kolejne lokale, kupowane przez tych, którzy swoje nadwyżki regularnie inwestują w nieruchomości.

Liczba dostępnych mieszkań jest już porównywalna z tą sprzed wybuchu wojny. Na tym jednak dobre wiadomości się kończą. Bo o ile wybór jest dziś dużo szerszy, to ceny do dawnego poziomu nie wróciły i nie wrócą. Ubiegły rok zapisze się w historii jako czas wręcz eksplozji czynszów. Według danych Otodom Analytics średni koszt najmu mieszkania zwiększył się

między lipcem 2022 i 2021 r. w wielu miastach o 30–40 proc. Najbardziej drastyczne podwyżki dotknęły Kraków i Wrocław, ale niewiele lepiej było w stolicy, Trójmieście i Poznaniu. Po pierwsze, właściciele wykorzystali okazję, aby podnieść ceny, gdy tylko kończyły się dotychczasowe umowy z najemcami. A po drugie, z rynku praktycznie zniknęły tańsze lokale, na przykład o niższym standardzie czy nieco gorszej lokalizacji, wykorzystane na potrzeby uchodźców. Pozostały za to te najbardziej ekskluzywne, które w statystykach mocno zawyżyły średnie stawki.

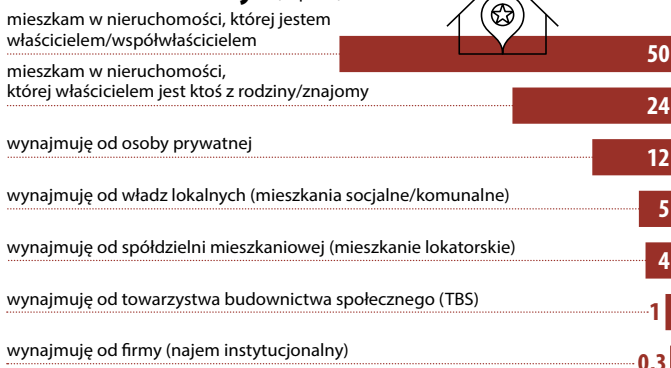
Ostatnie miesiące to już nie jest galopada cenowa, ale wynajmowanie i tak staje się coraz droższe. W ciągu roku podwyżki w większości miast sięgają kilku lub kilkunastu procent. Najgorzej sytuacja wygląda w Rzeszowie i Katowicach, które chyba nadrabiają zaległości, bo w ubiegłym roku nie należały do liderów wzrostu czynszów. Kolejne podwyżki powodują przy okazji przebicie psychologicznych barier. Na przykład w Warszawie średni miesięczny czynsz przy podpisywaniu nowej umowy przekroczył niedawno 5 tys. zł, a w Krakowie 3 tys. zł. Nawet nieco mniejsze miasta, jak Białystok, Bydgoszcz, Kielce czy Olsztyn, doszły do granicy 2 tys. zł. Co będzie dalej?

Niestabilny i chaotyczny polski rynek nieruchomości to gotowy scenariusz filmu sensacyjnego. Jak w każdym dobrym thrillerze chwile przyspieszonej akcji przeplatają się ze złudnym wyciszeniem. U nas ciśnienie podnosi się na przemian kupującym i wynajmującym. Na przykład w ubiegłym roku ceny mieszkań na chwilę ustabilizowały się po tym, jak załamał się popyt na kredyty hipoteczne z powodu drastycznych podwyżek stóp procentowych. Deweloperzy, a w ślad za nimi inni sprzedający na chwilę poskromili swoje apetyty. Kogo było stać na zakup, mógł spokojnie szukać nieruchomości. Wówczas to lokatorzy przeżywali chwile grozy, bo czynsze najpierw wystrzeliły z powodu napływu uchodźców, a potem rosły dalej, gdy zaburzony został naturalny przepływ części wynajmujących do grona nowych właścicieli. Wiele osób, które planowały taki krok, dotknął ogromny spadek zdolności kredytowej, więc musiały pozostać w grupie lokatorów, która przecież i tak co roku rośnie, chociażby z powodu napływu kolejnego rocznika studentów czy imigrantów, zwłaszcza z Azji, których obecny rząd wbrew swojej retoryce chętnie wpuszcza do Polski.

Ten rok przyniósł zupełnie odwrócenie sytuacji. Tym razem w dużo gorszej sytuacji są kupujący, bo jeszcze przed uruchomieniem w lipcu tzw. Bezpiecznego Kredytu 2 proc. (jeden z pomysłów PiS na wybory) ceny nieruchomości zaczęły szybko rosnąć. U deweloperów pojawiła się kolejka chętnych, którzy postanowili wykorzystać okazję. Wśród marzących o tej taniej pożyczce, współfinansowanej przez podatników, jest wiele osób dzisiaj wynajmujących mieszkania. Trudno im się dziwić, jeśli spojrzeć na najnowszą analizę firmy Expander. W przypadku mieszkania o powierzchni 42 m kw. miesięczny czynsz jest w każdym mieście wojewódzkim wyższy niż rata Kredytu 2 proc., zaciągniętego na zakup takiego lokalu. Różnica sięga od niespełna 200 zł w Białymstoku do ok. 500 zł w Warszawie czy Wrocławiu i nawet 700 zł w Gdańsku. Nic tylko kupować?

Niestety, pula lokali, mieszcząca się w cenowych limitach programu, wyczerpuje się szybko, zwłaszcza w dużych miastach. PiS bowiem nakręcił popyt, ale zapomniał o podaży – mieszkania nie powstają w kilka miesięcy. Zarówno deweloperzy, jak i inni sprzedający reagują w jedyny możliwy sposób na wolnym rynku: szybko podnoszą ceny. Pojawiają się nawet relacje o rezerwowaniu mieszkań na rynku wtórnym bez obejrzenia go albo o tzw. castingach na kupującego, gdy to sprzedający może przebierać wśród chętnych. Do tej pory takie castingi organizowano raczej na lokatorów.

Gdzie mieszkamy? (w proc.)



ŹRÓDŁO: OTODOM

Na tym tle rynek najmu rzeczywiście wydaje się chwilowo raczej spokojny. Tutaj mamy najczęściej do czynienia tylko ze „zwykłymi” podwyżkami, które powinny zrekompensować właścicielom coraz większe opłaty żądane przez spółdzielnie czy wspólnoty mieszkaniowe, choćby za ogrzewanie. Jednak ta mała stabilizacja na pewno długo nie potrwa. Skoro ceny mieszkań szybko rosną, to przecież kupujący je z myślą o wynajmie będą niedługo robić wszystko, aby wynegocjować jak najwyższy czynsz i w ten sposób zapewnić sobie, jak mówi się w finansowym żargonie, odpowiedni zwrot z inwestycji.

Nic dziwnego, że nieprzewidywalny najem nie cieszy się wśród Polaków dobrą opinią. Świadczą o tym choćby wyniki ubiegłorocznych badań Fundacji Rynku Najmu. Aż 89 proc. Polaków uważa, że najlepiej mieszkać we własnych mieszkaniach czy domach, a ci, którzy wynajmują, najczęściej robią to z konieczności. Prawie cztery piąte biorących udział w sondażu Otodom i Polityki Insight przyznało, że są lokatorami, bo nie mogą sobie pozwolić na zakup nieruchomości. Zaledwie kilkanaście procent podkreślało zalety najmu, takie jak brak wieloletniej kredytowej pętli na szyi czy możliwość wyboru lokalu w atrakcyjnej lokalizacji, na jaką nie mieliby szans, kupując mieszkanie czy dom. ►

Średni czynsz ofertowy mieszkania na wynajem

(tys. zł miesięcznie)

Miasto	lipiec 2021	lipiec 2022	lipiec 2023	Podwyżka 2022/2021	Podwyżka 2023/2022
Białystok	1,6	1,9	2,1	19 proc.	11 proc.
Bydgoszcz	1,6	1,9	2,0	19 proc.	5 proc.
Gdańsk	2,4	3,2	3,5	33 proc.	9 proc.
Gdynia	2,2	3,0	3,2	36 proc.	7 proc.
Katowice	1,7	2,0	2,3	18 proc.	15 proc.
Kielce	1,3	1,7	1,9	31 proc.	12 proc.
Kraków	2,0	2,8	3,1	40 proc.	11 proc.
Łódź	1,7	2,2	2,2	29 proc.	0 proc.
Lublin	1,9	2,2	2,4	16 proc.	9 proc.
Olsztyn	1,4	1,8	2,0	29 proc.	11 proc.
Opole	1,6	2,0	2,2	25 proc.	10 proc.
Poznań	1,7	2,3	2,4	35 proc.	4 proc.
Rzeszów	1,6	2,0	2,4	25 proc.	20 proc.
Szczecin	2,0	2,4	2,6	20 proc.	8 proc.
Warszawa	3,5	4,5	5,0	29 proc.	11 proc.
Wrocław	2,2	3,1	3,1	41 proc.	0 proc.
Zielona Góra	1,5	2,0	2,1	33 proc.	5 proc.

ŹRÓDŁO: OTODOM ANALYTICS

► Chociaż większość Polaków mieszka na swoim, to znaczenie najmu rośnie, zwłaszcza w dużych aglomeracjach. Według najnowszych badań co czwarta osoba w naszym kraju musi wynajmować sobie mieszkanie. Oczywiście sytuacja tych, którzy mieszkają w lokalach socjalnych czy komunalnych należących do miasta albo w niewykupionych mieszkaniach spółdzielczych, jest raczej stabilna. Zupełnie inaczej wygląda życie ok. 12 proc. Polaków wynajmujących od osób prywatnych. To właśnie indywidualni właściciele królują dziś na rynku, bo to oni posiadają zdecydowaną większość z ponad miliona wynajmowanych lokali. Dokładnej liczby nikt nie zna, a rozdrobniony charakter najmu na pewno nie pomaga w wypracowaniu jednolitych standardów. To zresztą kolejny argument dla wielu osób, by nie być na łasce właściciela i jak najszybciej kupić coś na własność, nawet za cenę wieloletniego i bardzo drogiego kredytu hipotecznego.

Z kolei właściciele na lokatorów patrzą nieufnie i narzekają, że przepisy nie chronią ich wystarczająco przed tymi, którzy nie chcą uczciwie płacić czynszu. Charakterystyczne jest zachowanie państwa, w zasadzie umywającego ręce. Z jednej strony nie pomaga w żaden sposób właścicielom, którzy padli ofiarą nieuczciwych wynajmujących. Ale z drugiej strony nie chroni też lokatorów przed eksplozją czynszów, o czym mogliśmy przekonać się w ubiegłym roku. Nie ma u nas żadnego mechanizmu podobnego do rozwiązań niemieckich czy austriackich, dzięki któremu osoby wynajmujące długoterminowo byłyby zabezpieczone przed nieuzasadnionymi podwyżkami opłat.

W tę próżnię pozostawioną przez państwo wchodzi prywatny kapitał. U nas pod postacią międzynarodowych funduszy, które postanowiły wykorzystać okazję i zbudować spory zasób mieszkań przeznaczonych na wynajem. W tym celu kupują całe bloki, najczęściej jeszcze na etapie budowy. Na razie fundusze dysponują zaledwie kilkunastoma tysiącami lokali, głównie w największych miastach, jednak ich plany są dużo ambitniejsze. – *Takie rozwiązanie ma swoje zalety. To na pewno dodatkowa opcja dla wynajmujących i podniesienie standardów. Lokale tego typu są dobrze wyposażone, nie ma kłopotu z ich obsługą techniczną. Ale z drugiej strony w ten sposób zarabiają obce fundusze, bo nie ma polskich podmiotów zaangażowanych w takie inwestycje* – podkreśla Marcin Krason, ekspert Otodom Analytics. Taka aktywność, nazywana najmem instytucjonalnym, zwróciła uwagę rządzących.

Oskarżyli oni fundusze o wykupywanie lokali, zabieranie ich polskim rodzinom i windowanie cen. Najpierw straszili karami tych, którzy trzymają puste mieszkania, by zarobić na ich odsprzedaży. Ten argument okazał się kompletnie chybiony. Tacy gracze wynajmują lokatorom wszystko, co tylko mogą, bo przecież z tego czerpią przychody. Pojawiły się zatem pomysły radykalne, by taki biznes z Polski wyrzucić, co oczywiście byłoby niezgodne z prawem polskim, unijnym i międzynarodowym. Skończyło się na wyższych opłatach. Kto w jednym bloku kupuje więcej niż pięć lokali, ten będzie płacił od stycznia podatek od czynności cywilnoprawnych w wysokości 6 proc. wartości mieszkania, zamiast standardowych 2 proc. Taka kara funduszy raczej nie wystraszy, bo ich strategia zakłada zasadnicze zmiany, upodabniające Polskę do krajów Europy Zachodniej. Tam wynajem, nawet przez całe życie, traktowany jest inaczej niż u nas. Mało kogo stać, aby kupić, choćby i na kredyt, mieszkanie w Paryżu, Londynie czy Brukseli.

Wzrost znaczenia najmu może wynikać równocześnie z różnych czynników. – *Z jednej strony będzie nas w coraz mniejszym stopniu stać na własność. Ale równocześnie wynajmowanie stanie się bardziej dopasowane do naszych potrzeb, skoro coraz później zakładamy rodziny, coraz dłużej jesteśmy mobilni. Do tego dojdzie*

profesjonalizacja rynku, czyli coraz lepsza jakość mieszkań i stabilniejsze warunki najmu, oparte na długoterminowych umowach. To wszystko powinno zmienić postrzeżenie bycia lokatorem – przewiduje Przemysław Chimczak-Bratkowski, prezes Fundacji Rynku Najmu. A czy w tej nowej rzeczywistości możemy chociaż liczyć na wsparcie państwa? Niestety, na razie niewiele na to wskazuje.

Podatki wymierzone w fundusze specjalizujące się w mieszkaniach na wynajem wydają się przede wszystkim formą rozładowania frustracji polityków, którzy ponieśli klęskę ze swoim sztandarowym programem Mieszkanie Plus. To właśnie on miał stworzyć duży zasób lokali (na początek 100 tys. obywateli przez premiera Morawieckiego do końca 2019 r.) wynajmowanych po stawkach niższych niż komercyjne, ale wyższych niż mieszkania socjalne, przeznaczone dla najuboższych.

Mieszkanie Plus kierowano przede wszystkim do osób młodych, zakładających rodziny, które dzisiaj stają przed dramatycznym wyborem: kredyt na wiele lat, drogi nawet z rządową dopłatą, albo kosztowny i niestabilny najem. Jednak państwowe spółki nie chciały udostępnić swoich gruntów, a samorządy nie kwapiły się do współpracy z rządem odbierającym im coraz to kolejne pieniądze. Mieszkanie Plus zostało niedawno oficjalnie zlikwidowane, a teraz PiS głowi się, jak pozbyć się niewielkiej liczby zbudowanych w ten sposób osiedli.

Jedyna nadzieja na poprawę jest w samorządach. Same co prawda nie mają pieniędzy na wiele więcej niż stawianie skromnej liczby bloków komunalnych, mają jednak grunty, które mogłyby wnieść do wspólnej spółki z deweloperami. Ci zyskaliby dostęp do działek, których im brakuje, a w zamian przekazywaliby gminom część lokali, przeznaczonych właśnie na tańszy najem. Ale samorządy do takiej współpracy trudno zachęcić, bo panicznie boją się rządowej wendety. Lepiej nic nie robić, niż narazić się na kontrole CBA, prokuratorów i polityczne prowokacje. Skoro gminy często obawiają się nawet dawać deweloperom pozwolenia na budowę, na pewno nie podejmą z nimi żadnej poważniejszej współpracy, póki PiS jest u władzy.

A partia nie tylko nie rozruszała budownictwa społecznego, ale nawet nie zrealizowała innej obietnicy, złożonej w 2016 r. przez ówczesnego wicepremiera Morawieckiego. Dziś w naszym kraju, w przeciwieństwie do większości krajów Unii Europejskiej, nie można tworzyć specjalnych funduszy nieruchomości, tzw. REIT. Tymczasem dzięki nim Polacy mogliby lokować część swoich oszczędności w firmach, które następnie budowałyby nieruchomości oraz nimi zarządzały. Zyski z tej działalności trafiałyby do udziałowców. Dzięki temu także ci z kilkunastoma czy kilkudziesięcioma tysiącami złotych dostaliby dostęp do inwestycji na rynku nieruchomości, dzięki którym mogliby lepiej chronić swoje oszczędności przed inflacją niż na niedźmie oprocentowanych lokatach bankowych. Dzisiaj tę możliwość mają jedynie ci z dużymi zasobami, których stać na zakup mieszkania i jego późniejszy wynajem.

Polskie REIT pozwoliłyby Polakom zarabiać tak samo, jak robią to na naszym rynku udziałowcy zagranicznych funduszy, na przykład niemieccy czy skandynawscy emeryci. Jednak PiS po kilku latach namysłu zdecydował się zablokować potrzebne zmiany w prawie. Pewnie dlatego, że uznał zarabianie w ten sposób za moralnie naganne. W efekcie bloki na wynajem nadal będzie u nas stawał głównie zagraniczny kapitał. I to on okaże się największym wygranym, gdy najem stanie się rozwiązaniem standardowym, a nie jak dzisiaj tymczasowym. Takie są skutki działań państwa, które nie tylko nie umie niczego zbudować, ale jeszcze stara się maksymalnie obrzydzić życie tym, którzy potrafią.

CEZARY KOWANDA



© WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Szopka pod snopkiem

Ponownego otwarcia unijnej granicy dla ukraińskiego zboża bali się polscy rolnicy, a jeszcze bardziej rząd. Premier zapowiada, że wprowadzimy embargo samowolnie, bo dla PiS rolnicy są najważniejsi. Prawda jest taka, że nie chodzi o rolników, ale o spokój przed wyborami.

JOANNA SOLSKA

Minister rolnictwa Robert Telus apelował, żeby Komisja Europejska przedłużyła zakaz importu ukraińskiego zboża do pięciu unijnych krajów przyfrontowych chociaż do końca roku, ale szanse są nikłe. Tym bardziej że premierzy przyfrontowej piątki już nie kiwają potakująco głowami jak jeszcze przed kilkoma miesiącami – zakazu nie chce Rumunia, która postanowiła na transporcie ukraińskiego zboża zarabiać i ostro rozbudowuje naddunajskie porty. Ta droga transportu jest dużo tańsza niż przez porty nadbałtyckie – mówi Jerzy Plewa, wieloletni wysoki urzędnik Komisji Europejskiej, obecnie w zespole unijnych ekspertów Team Europe. Do przedłużenia zakazu, który mija 15 września, nie są też przekonane Bułgaria i Czechy. Rolnicy i hodowcy w innych krajach UE też wolą kupować tanią kukurydzę ukraińską, niż sprowadzać ją z Ameryki Południowej, gdzie jest genetycznie modyfikowana, a pod jej uprawę karczują się puszcze amazońską.

Półtora roku po agresji Rosji na Ukrainę wreszcie z pomysłem rozwiązania problemu wystąpił Janusz Wojciechowski, unijny komisarz ds. rolnictwa. Chce, żeby Bruksela z unijnego budżetu dopłacała Ukraińcom 30 euro do każdej tony zboża, jeśli będzie ono wypływało do krajów trzecich z portów bałtyckich. Ukraińcy do wysyłki swojego ziarna z naszych portów wcale się nie palą, to dla nich nieopłacalne, za duże koszty, które trudno wkalkulować w cenę. Afrykańskie kraje mają przecież wybór, rosyjskie zboże jest tańsze. Dlatego zdaniem Wojciechowskiego alternatywą jest sfinansowanie ukraińskiego ziarna z unijnego budżetu i wysłanie go do Afryki jako pomocy humanitarnej, na co w Unii zgody nie ma. Rzeczniczka Komisji Europejskiej stwierdziła, że komisarz Wojciechowski zgłosił ją w swoim własnym imieniu.

Dużo na ukraińskim zbożu zarabia już Turcja, dlatego Erdoğan tak usilnie namawia Putina, aby zgodził się na powrót do umowy zbożowej i tani transport zboża przez porty Morza Czarnego. Turcja zainwestowała dużo pieniędzy w budowę nowych młynów, które miały ukraińskie zboże i wysyłają je w postaci mąki, także do Afryki Północnej oraz Azji. Polska nie potrafi na imporcie ukraińskiego zboża ani zarobić, ani go zablokować.

– *To szopka, że ukraińskie zboże przez Polskę jedzie tylko tranzytem – twierdzi rolnik spod Hrubieszowa. – Ciężarówka na sygnale, pod eskortą skarbowki, niby jadą do Niemiec, a stamtąd bez przeszkód zawracają i znów wjeżdżają do nas.* PSL wciąż proponuje wprowadzenie na polsko-ukraińskiej granicy systemu kaucyjnego, ale PiS nie szuka rozwiązania problemu, bo przed wyborami woli popisywać się twardością – i wobec Ukrainy, i wobec Unii. Spektakularny, jednostronny zakaz importu ma uspokoić nastroje na wsi.

Po mokrych żniwach chlebowego zboża mamy bardzo mało, ziarno jest gorszej jakości, nadaje się raczej na paszę. Rolniczy portal farmer.pl alarmuje, że ceny pszenicy paszowej sięgnęły dna, za tonę można dostać nie więcej jak 650 zł, a na południu kraju, przy ukraińskiej granicy, zaledwie 620 zł. Więc trudno sprzedać ziarno z tegorocznych zbiorów, a są i tacy, którzy na lepsze ceny czekają ze zbiorami z 2022 r. Producenci pasz wstrzymują się z kupnem, zrobili zapasy jeszcze ►

► przed żniwami. Rolnicy twierdzą, że obkupili się zbożem ukraińskim i krajowym zainteresują się dopiero, jak im się skończą zapasy. A może liczą, że granice znów zostaną otwarte? W podejrzliwości utwierdza producentów zboża fakt, że kolejny już minister rolnictwa skrzętnie ukrywa listę firm, które najwięcej zarobiły na sprowadzeniu ukraińskiego zboża „technicznego”.

W dodatku polskie służby nie bardzo wiedzą, jakie zboże wciąż jest przewożone przez granicę. Według portali śledczych Organised Crime and Corruption Reporting Projekt za ziarnem nielegalnie trafiającym do polskich importerów często stoją w Ukrainie grupy przestępcze, nierzadko rosyjskiego pochodzenia.

Dziś zboże jest tanie także dlatego, że nie ma go kto kupić. Z rynku wypadło sporo firm skupowych. Zaufały byłemu ministrowi Henrykowi Kowalczykowi, że zboże będzie drożało, i – za kredyty – skupiły go w zeszłym roku więcej. Za tonę pszenicy konsumpcyjnej płaciły wtedy po 1,6 tys. zł, a obecnie za atrakcyjną uznawana jest cena 1150 zł, z dostawą do portu. Firmy skupowe nie zarobiły na spłatę zaciągniętych kredytów, więc do tej pory winne są wielu rolnikom za ubiegłoroczne dostawy. Jarosławowi Młotkowskiemu, gospodarującemu na 97 ha, duża polska firma skupowa Polmais z Lubienia Kujawskiego do tej pory nie zapłaciła 290 tys. zł, Markowi Smolińskiemu, 79 ha w Krościnie, nie wypłaciła 149 tys. zł. Lista wierzycieli na topagrar.pl jest dłuższa.

Z polskiego rynku wypadają rodzime firmy skupowe. – *Duży skup pod Kutnem już ogłosił upadłość, Szmidt w Koninie zwolnił załogę i wystawił firmę na sprzedaż* – wylicza jego były pracownik. W to miejsce wchodzi koncerny zagraniczne, które grają na dalszą zniżkę cen. Putin zwiększa produkcję w Rosji, żeby uzależnić od swojego kraju światowy rynek, na którym już jest graczem nr 1. – *Więc nawet jeśli Polska jednostronnie wprowadzi embargo na ukraińskie zboże, ceny światowe nie wzrosną. A to od nich zależą ceny w naszym kraju* – twierdzi Jerzy Plewa.

Ponieważ protesty wściekłych na niskie ceny rolników stawały się coraz głośniejsze, minister Telus ogłosił, że rolnicy, którzy tanio sprzedali zboże po 15 kwietnia, dostaną większe dopłaty. – *Firmy skupowe natychmiast obniżyły cenę zboża o 200 zł na tonie, czyli tyle, ile wynosiła dopłata. Straciłem na tym 42 tys. zł* – wylicza Tadeusz Stafańczak. Do Cedrobu i Szmidta udało mu się sprzedać 250 ton kukurydzy z ubiegłorocznych zbiorów po niskiej cenie 800 zł za tonę, ale i tak w magazynie zostało mu 400 ton, nie bardzo ma więc gdzie przechować tegoroczne ziarno, które będzie mokre.

Duże firmy, takie jak Osadkowski, zajmują się nie tylko skupem zboża. – *Biorę u nich na kredyt nawozy, ziarno siewne, a rozliczamy się po żniwach, gdy odwiozę zboże. W tym roku po odstawieniu pszenicy dostałem wiadomość, że to nie oni mają dopłacić mi różnicę, ale ja im* – skarży się



Rolnicy tylko z nazwy, którzy żywność kupują w marketach, na drożyznę narzekają coraz bardziej. Boją ich ceny, tyle że nie w skupie, ale w sklepie.

właściciel 30 ha z centralnej Polski. Koszty produkcji okazały się wyższe niż uzyskana za zboże suma. – *Za co mam żyć?* – pyta.

Grzegorz Kozieja, analityk BNP Paribas, potwierdza, że w tym roku rolnicy dostają za zboże takie same ceny jak w 2020 r., a koszty ponoszą dużo wyższe. – *Trzeba jednak pamiętać, że przez trzy ostatnie lata producenci zboża dobrze zarabiali* – przypomina. W tym roku, zwłaszcza ci mniejsi, mogą nie wyjść na swoje. Większi stracili jednak poczucie stabilności, nie są w stanie niczego zaplanować, więc ich wściekłość jest jeszcze większa. Głównie na rząd, któremu na krajowej produkcji żywności nie zależy.

Wśród wszystkich 1,3 mln gospodarzy, którym na konto wpływają unijne dopłaty, może być nie więcej jak 350 tys. rolników sprzedających swoje plony na rynku, od których rzeczywistość zależy bezpieczeństwo żywnościowe kraju. Reszta, jeśli coś sadi czy sieje, to co najwyżej w przydomowym ogródku, na własne potrzeby. Ale i tacy zrezygnowali nawet z uprawy warzyw, nie opłaca się – w dyskoncie są tańsze. Więc rolnicy tylko z nazwy,

którzy żywność kupują w marketach, na drożyznę narzekają coraz bardziej. Boją ich ceny, tyle że nie w skupie, ale w sklepie. Od sąsiadów, którzy nieformalnie dzierżawią ich ziemię, chcieliby za prawo do jej uprawy dostać więcej. Nie tylko, jak do tej pory, unijne dopłaty bezpośrednie, które dzierżawcy im oddają, ale jeszcze coś w gotówce. Wśród nich także narasta niezadowolenie. Niezmiennie poparcie dla PiS deklarują tylko więcej emeryci. Są wdzięczni za trzynastki i czternastki oraz za to, że za kilkakrotnie niższe składki na KRUS dostają świadczenia coraz bardziej zbliżone do tych z ZUS.

Tadeusz Szymańczak z gminy Teresin jakoś sobie radzi, ale też pomstuje. Do niedawna uprawiał 170 ha, z czego większość dzierżawił od okolicznych rolników, którym produkcja rolna się nie opłacała. Mieli pretensje, że Szymańczak na nich zarabia, więc wszystkie dzierżawy pooddawał, zostało mu 83 ha, ale w 80 kawałkach. Rozrzucone w trzech powiatach, czterech gminach i 12 miejscowościach. Średnia wielkość gospodarstwa rolnego w Polsce wynosi 10 ha. Szymańczak pomstuje, bo w magazynach zostało mu 400 ton kukurydzy z poprzednich żniw, nie wie, co robi z nowymi zbiorami. Ale najbardziej złości się na to, że rząd twierdzi, iż do rolników ciągle dopłaca. – *Ja nie chcę żadnych dopłat* – deklaruje. – *Ja chcę tylko takiej samej wolności gospodarczej, którą mają rolnicy ukraińscy.*

I w tym jest największy problem. Na właśnie zakończonym w Rennes kongresie Europejskiego Stowarzyszenia Ekonomistów Rolnych (EAAE) wielu jego uczestników podchodziło do Jerzego Plewy, pytając o Wiesława Gryna, lidera Oszukanej Wsi. Gryn udzielił wywiadu POLITICO, w którym stwierdził, że polski rząd nie ma żadnej strategii rozwoju rolnictwa, zależy

mu tylko na głosach mieszkańców wsi. Pieniądze, które w ramach wspólnej polityki rolnej powinny być przeznaczone na rozwój rolnictwa, idą na socjal. Polscy rolnicy towarowi, którym własny rząd nie pomaga, a Unia wystawia ich na nierówną konkurencję z oligarchami ukraińskimi i inwestującymi mocno w Ukrainie farmerami zachodnimi, nie mają w takim starciu szans. Dlatego teraz są za blokadą granicy, chociaż Ukraińcom w walce z Rosją życzą jak najlepiej.

Tego, że w ramach wspólnej polityki rolnej PiS wprowadził dopłaty dla posiadaczy jednej krowy mlecznej, Gryn już nie dodawał, światowym ekonomistom rolnym trudno byłoby uwierzyć w taką formę wspierania mleczarstwa. Wprawdzie ceny skupu mleka drastycznie spadły, a koszty energii wzrosły i jego dostawcy mają powody do narzekania, ale z importem ukraińskiej żywności nie ma to nic wspólnego, więc woła, żeby im politycy nie pomagali. Apelowali do Kosiniaka-Kamysza, żeby się w zakaz importu ukraińskich produktów mleczarskich nie angażował, bo szkodzi naszemu eksportowi. Kiedy Polska po raz pierwszy zamknęła granice przed ukraińską żywnością i Ukraińcy zapowiedzieli działania odwetowe, eksporterzy serów wpadli w popłoch.

– *Produkcja mleka na świecie bardzo wzrosła, a Chiny, które są największym importerem produktów mlecznych na świecie, ograniczyły zakupy. Dlatego ceny spadły i stąd nasze kłopoty* – tłumaczy Agnieszka Maliszewska, szefowa Polskiej Izby Mleka. Zamiast o polityce woli mówić, że za kilka dni odbędzie się w Białymstoku Forum Spółdzielczości Mleczarskiej, na które zaprosili Ukraińców. Chcą rozmawiać o możliwości współpracy, nie tylko o handlu. Polskie mleczarstwo jest doinwestowane i nowoczesne, ale ceny produktów mlecznych coraz mniej konkurencyjne. Pole do satysfakcjonującej obie strony współpracy otwiera się szerokie.

Kiedy Zygmunt Strącki, hodowca brojlerów pod Kartuzami, idzie do sklepu, nie jest w stanie odróżnić piersi polskich kurczaków od kurczaków ukraińskich, bo mięso polskie i ukraińskie leży obok siebie, na tej samej półce. Hodowca ukraińską konkurencję czuje w portfelu. – *W ubiegłym roku za kilogram brojlera żywego dostawałem od ubojni 6,50 do 6,80 zł, teraz zaledwie 5 zł* – narzeka. Zygmunt Strącki w skuteczność zakazu importu żywności ukraińskiej nie wierzy, zdaje sobie sprawę, że konkurencji z jej tańszą żywnością nie unikniemy. Na razie produkcji nie zmniejszył.

Paweł Podstawka, producent jaj i drobiu z Opolszczyzny, mówi wprost, że ewentualny polski zakaz importu będzie oznaczał, że rząd chowa głowę w piasek, zamiast zmierzyć się z problemem. Problemem zaś nie jest zalew naszego rynku przez ukraińską żywność, ale to, że polski rząd nie potrafi skorzystać z szansy, jaką jest bycie krajem przyfrontowym i tranzytowym. – *Ukraina ma tanie surowce rolne, które musi sprzedać za granicą, ale nie ma tak wydeptanych ścieżek w międzynarodowym handlu jak Polacy* – zapewnia. – *To Polska nadal produkuje dwa razy więcej drobiu niż Ukraina. Już teraz powinniśmy z nimi zawierać długoterminowe umowy, gwarantujące nam dostawy ich surowców, które na wyroby wysokiej jakości będziemy przerabiać w Polsce, a potem z wysoką marżą sprzedawać je za granicą*. Żeby stało się to możliwe, powinniśmy zainwestować spore pieniądze w rozwój zakładów przetwórczych, środki są w KPO. Jeśli nie zrobimy tego teraz, za kilka lat będzie za późno, interesy z Ukraińcami – na ich zbożu, mleku, mięsie – zrobią inni, a my będziemy wszystkim zarzucać niewdzięczność.

JOANNA SOLSKA

POLITYKA WYDANIE SPECJALNE NA DAJIZOSŁ
LIPKA 2023 20.09.2023 10.00

ARTSALON

PRZEWODNIK PO POLSKICH GALERIACH SZTUKI I WYSTAWACH

No 1

TWIERDZA HAND MADE
Dom pracy twórczej w Chile. Monumentalny obiekt z betonu, dzieło architektów wizeronów.

NIELUDZKA SZTUKA
Szczućca inteligencja jako adekwatna wersja podziła. Czy próbawłi nas kreacyjności?

KULISY WYSTAW
Kuratorzy galerii i muzeów o nowych wyzwaniach w swojej pracy.

MIEDZIANKA DLA ODWAŻNYCH
Wieża działań artystycznych. Budynek poświęcony historii pogrążonego miasteczka.

*Do kupienia
w dobrych kioskach
i na sklep.polityka.pl*

**PRZEWODNIK
PO POLSKICH
GALERIACH SZTUKI
I WYSTAWACH**



Uczestniczka marszu upamiętniającego prezydenta Salvadora Allende i „znikniętych”, Santiago.

Na początku było Chile

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Zbrodnia sprzed półwiecza do dziś jest fundamentem ładu społeczno-gospodarczego w Chile. Ale sami Chilijczycy wciąż są mocno podzieleni w ocenie Augusta Pinocheta.

Jak wyglądałaby historia tego niewielkiego kraju na peryferiach, regionu, a może i świata, gdyby wydarzenia sprzed pół wieku potoczyły się inaczej? To znaczy: gdyby pokojowa rewolucja w Chile nie została najpierw wykolejona, a następnie unicestwiona? Chodzi przecież nie o pierwszy z brzegu kraj globalnego Południa. Chile, ta długa cienka kiszka na mapie, państwo liczące prawie 20 mln mieszkańców, a pół wieku temu o połowę mniej, dwukrotnie w XX w. wyznaczało polityczne trendy w regionie, a poniekąd i w świecie. Najpierw, na początku lat 70., prezydent Salvador Allende próbował przeprowadzić rewolucję socjalistyczną – pokojowo i z poszanowaniem zasad demokracji; sukces miałby szanse położyć

kres wojnom partyzanckim w Ameryce Łacińskiej i innych krajach Trzeciego Świata. Socjalizm, o który w różnych zakątkach walczone zbrojnie, dzięki Allende miał się kojarzyć z kartką wyborczą, nie z karabinem. A przede wszystkim – z szeroką zgodą społeczną i egalitaryzmem, nie dyktaturą.

Tamto starcie wygrał jednak inny „trendsetter”, wspierany przez Waszyngton. Gen. Augusto Pinochet, obalając Allende 11 września 1973 r. w krwawym puczu, a następnie powierzając władzę nad gospodarką ultraliberalnym uczniom Milтона Friedmana (Chicago Boys), stworzył laboratorium ładu społeczno-gospodarczego, który panuje na ogromnych połaciach planety do dziś.

Ład ten został po latach nazwany neoliberalizmem, a jego istota leży w przytłaczającej przewadze prywatnego nad publicznym, ograniczeniu funkcji państwa do minimum, oddaniu gospodarki i społeczeństwa we władzę reguł kapitalizmu. Tą drogą poszli później liderzy zachodnich krajów rozdających karty w światowej polityce: Margaret Thatcher w Wielkiej Brytanii, Ronald Reagan w USA, a po nich kolejni.

Tak oto po 50 latach skutki zamachu Pinocheta wciąż dotyczą nie tylko Chile. Tam jednak tragedia sprzed półwiecza zostawiła niezagojone rany i niespłacone rachunki. Mimo upływu dekad kraj ponownie przeżywa swoją dramatyczną historię.

Zniknięci i tchórze

Obecny prezydent Chile **Gabriel Boric**, polityczny spadkobierca Allende, zapowiedział poszukiwania szczątków ponad tysiąca „znikniętych” za dyktatury Pinocheta. „Ta liczba powinna nas zboleć, zagotować w nas krew, gdyż odzwierciedla ogrom długu, jaki mamy jako państwo i jako społeczeństwo [wobec ofiar i ich rodzin – przyp. red.]” – powiedział w czasie jednego z rocznicowych wystąpień. Kulturowania pamięci o ofiarach – tłumaczył – nie napędzają urazy, lecz przekonanie, że dojście do prawdy jest warunkiem zbudowania przyszłości, w której szanowane będą życie i godność człowieka.

Za Pinocheta zamordowano lub „zniknięto” ponad 3 tys. osób, dziesiątki tysięcy uciekły z kraju. Reżim bestialsko łamał również tych przeciwników, którym dano przeżyć. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi przeszło wyszukane tortury, m.in. traktowanie prądem wrażliwych organów ciała i seksualne dręczenie. By zapewnić sobie bezkarność, wielu zamordowanych wojskowi grzebali w nieznanym miejscu i zrzucali z samolotów do oceanu.

Sprawiedliwości doczekali się w tych dniach bliscy Victora Jary, słynnego barda, zamordowanego w pierwszych dniach po zamachu stanu. Jara był dla rewolucji Allende kimś takim jak Jacek Kaczmarski dla ruchu Solidarności w Polsce. Zatrzymanego nazajutrz po puczu, potem torturowanego na osławionym Stadionie Narodowym, wojskowi rozstrzelali 16 września 1973 r. Jara miał 40 lat. Jego ciało, podziurawione kilkudziesięcioma kulami, oprawcy wyrzucili na ulicę.

Trzeba było pół wieku i pokoleniowej zmiany warty, by wymiar sprawiedliwości skazał siedmiu wojskowych odpowiedzialnych za uprowadzenie i śmierć Jary. Jeden ze skazanych, 86-letni Hernan Chacon Soto, popełnił samobójstwo, gdy w jego domu zjawili się policjanci, by odprowadzić go do więzienia.

Gdy prezydent Boric poczynił aluzję do desperackiego aktu samobójcy – są tacy, którzy umierają w tchórzliwy sposób, by uniknąć sprawiedliwości – obrońcy dyktatury rozpętali burzę. Tchórzem jest ten, kto nadużywa władzy i wykorzystuje ją do znieważania – odparował Boricowi jego rywal w ostatnich wyborach, skrajnie prawicowy José Antonio Kast. Ta wymiana ciosów to jeden z wielu przykładów na to, jak bardzo Chilijczyków wciąż dzieli ocena tragicznej przeszłości.

Próbą szukania zgody w sprawie oceny zamachu stanu było zaproszenie przez Borica wszystkich partii politycznych do podpisania deklaracji potępiającej tamto wydarzenie i łamanie praw człowieka w czasach dyktatury. W odpowiedzi politycy prawicy zorganizowali w parlamencie czytanie na głos deklaracji partii opozycyjnych wobec Allende z 1973 r. Autorzy tamtej deklaracji, ogłoszonej 20 dni przed zamachem stanu, oskarżali socjalistyczny rząd o łamanie konstytucji. Deputowani rządzącej dziś lewicy opuścili izbę kongresu z okrzykami skierowanymi do obrońców Pinocheta: tchórze i mordercy!

Niektórzy prawicowcy posuwają się o krok dalej i w odpowiedzi Boricowi gloryfikują Pinocheta jako „męża stanu”. Był dyktatorem i antydemokratą, a jego rząd zabijał, torturował, wypędzał i sprawiał, że znikali ci, którzy myślą inaczej – odparował Boric. Przypomnił przy okazji uwikłania korupcyjne Pinocheta i nazwał go złodziejem. Po śmierci dyktatora odkryto tajne konta i nielegalnie zgromadzoną fortunę.

Zbrodnia założycielska

Wymiana ciosów przez polityków odzwierciedla społeczną polaryzację wokół rewolucji Allende i zamachu Pinocheta. Bliższa połowa Chilijczyków wciąż uważa, że pucz był uzasadniony, a rozkład opinii za i przeciw nie zmienia się od dziesięcioleci. W plebiscycie z 1988 r. nad przedłużeniem rządów Pinocheta 44 proc. opowiedziało się za dyktatorem. Tyle samo głosów zyskał w ostatnich wyborach 2021 r. przegrany kandydat ultraprawicy i obrońca dyktatora – Kast.



Na zjawisko to zwraca uwagę Manuel Antonio Garretón, najbardziej rozpoznawalny na świecie chilijski socjolog i krytyk dyktatury. „To społeczeństwo podzielone w sprawie prawa do życia, praw człowieka i podstawowej zasady współistnienia, czyli demokracji wyrażonej w konstytucji. Kto to narusza – jak głosiła konstytucja z 1973 r. – uprawia działalność wywrotową. I to wojsko było wywrotowe, a do tego zbrodnicze” – ubolewa Garretón w wywiadzie dla „El País”.

Socjolog zauważa pewien postęp, przynajmniej deklaracyjny potępianie łamania praw człowieka także wśród ludzi głoszących na prawicę. Jednak w kwestii oceny zamachu stanu opinie są zamrożone od półwiecza. Garretón uważa, że blisko połowa Chilijczyków nie rozumie tego, że to cały kraj – nie tylko ówczesna lewica – padł ofiarą zamachowców. Nie było i nie ma, mówi dalej socjolog, powszechnego potępienia zamachu stanu Pinocheta jako „zbrodni założycielskiej” – zarówno dyktatury, jak ►

► i opartego na nierównościach projektu społeczno-ekonomicznego. „Zbrodnią założycielską” było zdaniem Garretona bombardowanie przez armię pałacu prezydenckiego La Moneda, w którym bronił się prezydent Allende z garstką współpracowników.

Wraz z tamtym wydarzeniem zaczyna się historia ładu, w którym Chilijczycy żyją do dziś. Jest w Chile sektor (społeczny), który nigdy nie potępi zamachu stanu, ponieważ definiuje on jego (polityczne) DNA – dodaje Garreton.

Czy krótka, bo zaledwie trzyletnia, pokojowa rewolucja Allende miała szanse pogodzić Chilijczyków? W kontekście tego pytania zawsze wraca spór o rolę tamtejszej chadecji. Rządziła w latach 60. przed Allende i to jej rządy zapoczątkowały niektóre z progresywnych zmian w kraju. Za Allende chadecja przyjęła jednak rolę surowej opozycji. Z okazji rocznicy zamachu stanu wydano wspomnienia nieżyjącego już lidera chadeków i pierwszego demokratycznego prezydenta po czasach dyktatury – Patricio Aylwina. Jest w nich relacja z dramatycznego spotkania, niecały miesiąc przed puczem, podczas którego Aylwin domaga się od Allende odpowiedzi: czy idzie z rewolucjonistami gotowymi ustanowić socjalizm, choćby z naruszeniem woli większości, czy też – w imię obrony demokracji – staje po stronie tych, którzy chcą radykałów powstrzymać. „Nie da się być równocześnie z Bogiem i z diabłem”. Allende miał odpowiedzieć Aylwinowi, że za jego rządów nie będzie dyktatury proletariatu. Ale Aylwin uważał, że Allende był rozdarty i nie potrafił podjąć decyzji.

Allende istotnie stał wobec podwójnego wyzwania. Z jednej strony część radykałów, m.in. z jego własnej Partii Socjalistycznej, parła do szybszych zmian. Z drugiej – zachowawcze klasy społeczne przy wsparciu Stanów Zjednoczonych sabotowały wszelkie reformy. Chadecja stanęła bliżej tych ostatnich. Dlatego Allende mógłby śmiało zwrócić przeciw Aylwinowi słowa o Bogu i diable: nie da się zachować demokracji, sprzymierzając się z siłami jej przeciwnymi.

Wielki Brat

Czołowym protagonistą chilijskiego dramatu było USA. A szczególnie doradca ds. bezpieczeństwa i sekretarz stanu Henry Kissinger. Niesławna rola, jaką odegrał w chilijskiej historii, jest znana od lat, ale z okazji 50. rocznicy zamachu stanu amerykańskie National Security Archive ujawniło kolejne szczegóły.

Pokróćce: tuż po wyborze Allende na prezydenta, we wrześniu 1970 r., Richard Nixon rozkazał współpracownikom uczynić wszystko, żeby chilijska gospodarka „zawyła”. Nastawienie to podzielali m.in. szefowie Departamentu Obrony i CIA. Architektem działań na rzecz wywracania chilijskiego rządu był Kissinger. „Kissinger nie wykonywał jedynie brudnej roboty za Nixona – napisał na łamach »Slate« publicysta Fred Kaplan. – W rzeczywistości Nixon rozważał propozycję wysokiego urzędnika Departamentu Stanu – jednego z doradców Kissingera – aby osiągnąć *modus vivendi* z Allende. Kissinger przełożył spotkanie w Białym Domu z doradcą i przekonał Nixona, by zamiast tego zmiażdżył nowy rząd”.

Gdy do zaprzysiężenia Allende pozostały dwa miesiące, Kissinger próbował zablokować przejęcie przez niego urzędu. Rezydenci dyplomatyczni i wywiadowcy naciskali na prawicowych polityków i wojsko w Chile, by nie doszło do przejęcia władzy przez Allende. Innymi słowy – by politycy i wojsko zorganizowali zamach stanu lub wymusili szantażem unieważnienie wyborów i ogłoszenie nowych. Ci nie zareagowali. Na straży apolityczności wojska stał gen. René Schneider. Pod jego komendą żadne spiski armii chilijskiej z agentami CIA przeciw demokratycznie wybranemu prezydentowi nie wchodziły w grę. CIA nawiązała więc kontakty z dwiema

grupami zbuntowanych wojskowych, którzy mieli plan porwania Schneidera.

Według jednej z wersji zdarzeń Nixon w ostatniej chwili rozkazał CIA, by wycofała się z akcji. Podobno doszedł do wniosku, że w Chile nie było nastrojów rewolucyjnych, a – jak tłumaczył mu Kissinger – nie ma nic gorszego niż nieudany pucz. Według innej wersji CIA nigdy nie dostała rozkazu przerwania akcji.

W czasie próby porwania Schneidera zamachowcy śmiertelnie go ranili. Wojsko w Chile straciło strażnika swojej apolityczności. W ujawnionych teraz dokumentach można przeczytać, że Kissinger w rozmowie z Nixonem zarzucał chilijskim wojskowym niekompetencję: nie wykorzystali chaosu, jaki powstał po zabójstwie Schneidera, do przeprowadzenia puczu. Allende objął więc prezydenturę, a USA przez trzy kolejne lata próbowały wywrócić jego rządy. CIA destabilizowała chilijską gospodarkę, m.in. zdołała zorganizować strajk kierowców ciężarówek, który sparaliżował dostawy podstawowych towarów w całym kraju.

„Jeśli Allende zdoła prowadzić marksistowską i antyamerykańską politykę, inni zrobią to samo” – to słowa Nixona w rozmowie z Kissingerem (nie jest jasne, kim są inni). Niejasność częściowo klaruje Kissinger: „Będzie to miało skutki nawet w Europie. Nie tylko w Ameryce Łacińskiej”. Kissinger obawiał się, że przykład Chile będzie zaraźliwy. Wyrzcił to wprost w czasie jednej z rozmów w Gabinetcie Ovalnym. „Przykład odnoszącego sukcesy rządu marksistowskiego wybranego w Chile z pewnością miałby wpływ – a nawet znaczenie precedensowe – dla innych części świata (...). Naśladownicze rozprzestrzenianie się podobnych zjawisk wpłynęłoby znacząco na równowagę świata i naszą w nim pozycję”. Już w trakcie zaawansowanej rewolucji Allende Kissinger powiedział Nixonowi, że Chile może się stać największą porażką jego administracji – „naszą Kubą”.

Dzieci Allende

Socjolog Garreton uważa, że bez wzięcia pod uwagę tej permanentnej presji i gróźb Waszyngtonu nie da się w ogóle sensownie rozmawiać ani o Allende, ani o tamtych czasach. Zagrożenie to nie popchnęło jednak Allende w stronę dyktatury – jak to się stało z Fidelem Castro na Kubie.

Jego samobójstwo w bombardowanym przez wojsko pałacu La Moneda pozostaje gestem pełnym ambiwalencji. Dramatycznym? Na pewno. Ale jakie przesłanie zostawia? Od lat trwa spór o to, co by się stało, gdyby Allende wezwał swoich zwolenników do zbrojnego przeciwstawienia się wojsku i rozdał broń. Przejmujące podsumowanie tamtych dyskusji zawarł w swojej powieści „Żołnierze spod Salaminy” hiszpański pisarz Javier Cercas.

„Przez całe lata, ilekroć nadarzała się okazja, plułem na Allende (mówi jeden z bohaterów Cercasa – przyp. red.), myślałem, że on był wszystkim winien, bo przez niego nie wydano nam broni. Teraz pluje na samego siebie za wygadywanie takich rzeczy o Allende. Ten drań martwił się o nas, kurwa, jak o własne dzieci, rozumiesz? Nie chciał, żeby nas zabili. Gdyby wydał nam broń, wytłukliby nas jak robactwo. Tak – zakończył, podnosząc znowu filiżankę – przypuszczam, że Allende był bohaterem” (tłum. Ewa Zaleska).

Wśród pytań o dziedzictwo pokojowej rewolucji Allende najważniejsze jest to o świat zorganizowany wokół gwarantowanych praw socjalnych – jak by wyglądał? Nie tylko w Chile. Spadkobiercy Allende, na czele z prezydentem Boricem, podejmują dziś ideały obalonego w 1973 r. lidera socjalisty w granicach, jakie narzuca świat urządzony przez jego pogromcę. Do zwycięstwa – rozumianego jako głęboka przemiana społeczeństwa i modelu gospodarczego – wciąż im daleko; przynajmniej porażki nie powinny mieć tak dramatycznego przebiegu jak przed półwieczem.

ARTUR DOMOSŁAWSKI



WYBORY 2023



**POSŁUCHAJ,
ABY WYBRAĆ**

W soboty o godz. 9:00

Dominika Wielowiejska

WYBORY W TOKu

Słuchaj na tokfm.pl/wybory
lub w aplikacji mobilnej TOK FM



Rosja siedząca

Rozmowa z Olgą Romanową, szefową organizacji pomagającej rosyjskim więźniom, o tym, dlaczego tak chętnie idą na front. I ile kosztuje życie Aleksieja Nawalnego.

AGNIESZKA LICHNEROWICZ: – **Ilu rosyjskich skazanych walczy w Ukrainie?**

OLGA ROMANOWA: – Od czerwca ubiegłego roku do lutego Grupa Wagnera wzięła na front 50 tys. więźniów. Potem zajęło się tym MON, które do sierpnia zwerbowało ich ok. 25 tys.

A inne prywatne firmy militarne?

Dopóki zajmowała się tym Grupa Wagnera, miała monopol – w więzieniach werbowali tylko oni. Obecnie wszystkie prywatne firmy wojskowe mają kontrakty z MON, które samo werbuje, a potem albo rozdziela więźniów we własnych jednostkach, albo w oddziałach prywatnych.

Ilu wróciło z frontu?

Ze zwerbowanych przez Jewgienija Prigożyna i Grupę Wagnera ok. 22 tys.

Pozostali zginęli?

Średnio straty sięgają 80 proc. [wliczając w to zabitych, rannych, zbiegłych i pojmanych – przyp. red.]. Ale w Rosji, szczególnie podczas wojny, do statystyk należy podchodzić ostrożnie. Poza tym poddanie się to wstyd. I przestępstwo. Dlatego kobiety są informowane, że ich syn, brat lub mąż zginął, potem otrzymują pieniądze, wszelkiego rodzaju świadectwa i medale. I stają się wdowami po bohaterach. Tymczasem mężczyzna tak naprawdę jest w niewoli.

I co wtedy?

W Rosji uważa się ich za zmarłych, w domu nikt na nich nie czeka, bo bliscy dostali już pieniądze. W końcu wcześniej kobieta była żoną skazanego rabusia, zabójcy albo pedofila, a teraz to wdowa po bohaterze wojennym. Kupiła sobie nowe mieszkanie, wyszła ponownie za mąż. Co zrobi „zmarły”, gdy wróci, nie wiem.

Na front wysyłane były też skazane kobiety?

Wiemy o 180 więźniarkach na froncie. To ochotniczki z różnych jednostek penitencjarnych, także z tzw. Ługańskiej Republiki Ludowej, czyli terytorium okupowanego. Ale jedyne informacje o nich pochodzą od żołnierzy, którzy poddali się, a wcześniej walczyli u ich boku.

Dlaczego tak wielu więźniów było gotowych pójść na front i zginąć?

Oni tak o tym nie myślą, nie kierują też nimi pieniądze czy propaganda, te motywacje nie są w każdym razie kluczowe. Chcą być komuś potrzebni. Być może pierwszy raz w życiu poczuli, że są potrzebni. Chodzi też o braterstwo.

Za jakie przestępstwa byli najczęściej skazani?

Werbuje się przede wszystkim na zabójcach. Zwłaszcza takich, którzy

mordowali w pełni świadomie i nie boją się krwi. Rzecz w tym, że jedna trzecia skazanych w Rosji odbywa karę pozbawienia wolności za przestępstwa związane z obrotem narkotykami. Możesz więc preferować morderców, ale weźmiesz więcej uzależnionych.

Dlaczego tak dużo wyroków ma związek z narkotykami?

W Rosji handel narkotykami to wielki biznes. Kontrolują go tzw. siłowicy, czyli FSB i policja. Mają do dyspozycji poręczny artykuł: wystarczy, że ktoś ma w kieszeni torebki z substancją, i go wsadzają. Za kratami łądają więc drobni dilerzy i użytkownicy, liczba uzależnionych w społeczeństwie rośnie, ale jakoś nie daje się ustalić, kto odpowiada za rozpowszechnianie. I nazywają to wojną z narkotykami. Oczywiście za kratami też są narkotyki.

Dlaczego uzależnieni zgłaszają się na front?

Dam przykład Liochy, który był podopiecznym naszej fundacji i przekazywał nam informacje. Siedział w Nowogrodzie, nie wiem za co – nie pytamy, jeśli nie jest to istotne dla pomocy prawnej. Był w kaście tzw. cweli, czyli na samym dole. Podejrzewam, że trafił do niej od razu po przybyciu do więzienia, bo był gejem. Kiedy rozpoczął się werbunek i okazało

się, że Prigożyn tworzy osobne oddziały właśnie dla cweli, od razu się zapisał. Pytałam go dlaczego, przecież był przeciw wojnie. Mówił, że musi pójść, bo nie chce już żyć. Pojechał i zginął. Mam nadzieję, że nikogo nie zabił. Wierzę, że tak było, tylko tak mogę o tym myśleć.

Część jednak wraca do Rosji.

A w nagrodę ich kartoteki są czyszczone.

Po sześciu miesiącach na froncie więźniowie mogą wrócić do domu. Zostają wtedy objęci prezydenckim ułaskawieniem. To skomplikowana procedura, zwykle mogą na nią liczyć jakieś dwie osoby rocznie. Ale w takich przypadkach prezydent po prostu łamie prawo i ułaskawia tajnym dekretem. Dodatkowo, w przeciwieństwie do zwykłego ułaskawienia, kartoteki są całkowicie czyszczone. Były skazany może więc wystąpić o paszport zagraniczny, przyjść choćby do ambasady Kanady, powiedzieć, że jest prześladowany z powodów politycznych albo że ma krewnych w Kanadzie, i wyjechać.

Ilu z tych, którzy przeszli przez front, ponownie dopuszcza się przestępstw?

Nie wiemy. Rejestrowane są tylko zbrodnie, których nie można ukryć, jak morderstwa czy gwałty na nieletnich. Pozostałe często nie są ujmowane w statystykach. Prokurator czy policjant przyjeżdża na miejsce, sprawka mówi mu, że brał udział w „operacji specjalnej” i że teraz próbuje się go dyskredytować. Nie tylko jego samego, ale całą rosyjską armię! Prokurator uznaje, że lepiej się sprawą nie zajmować, i go puszcza.

Oligarcha Oleg Deripaska złożył przeciw pani pozew o zniesławienie.

Bo powiedziała pani, że on też ma prywatną firmę militarną. Dlaczego tak się zdenerwował?

Nie chce być objęty zachodnimi sankcjami. Europa potrzebuje aluminium od Deripaski. I doskonale wiemy, że zachodnie stowarzyszenia producentów aluminium uratowały Deripaskę od sankcji. A te działają, dlatego tak się ich boi. Sąd może orzec, że jestem mu winna milion miliardów. Ale nie ma to znaczenia, nie mieszkam w Rosji i nie dostaję stamtąd pieniędzy. Grosza nie zapłacę temu państwu.

Wróci pani do Rosji?

Nie mam takich planów i, szczerze mówiąc, myślę, że wyjechałam na zawsze. Nie mam złudzeń, że coś się zmieni, przynajmniej nie w ciągu najbliższych 20 lat.

A gdyby zmienił się reżim?

I tak bym nie wróciła. Boję się moich rodaków, nie chcę żyć z nimi w tym samym kraju. Większość z nich popiera wojnę.

Dlaczego pani pomaga więźniom?

Ja tego nie robię dla nich. W Rosji nie ma czegoś takiego jak resocjalizacja więźniów. Wychodzi człowiek na wolność, już ma problemy psychiczne, nie ma pracy, jest stygmatyzowany, nie ma rodziny – prędzej czy później popełni przestępstwo. Po prostu dlatego, że chce jeść. Albo dlatego, że spotkał starego kumpla z gangu. A co znaczy rozbój, rabunek czy gwałt? To znaczy, że okradł kogoś konkretnego, może czyjeś dziecko albo babcię. Dlaczego mądre państwa i rządy, zwłaszcza Skandynawowie, pozwalają organizacjom pozarządowym zajmować się więźniami? Bo zmniejsza się w ten sposób poziom przestępczości.

Ilu obywateli Ukrainy przebywa w rosyjskich więzieniach?

Charkowscy obrońcy praw człowieka podają, że tylko porwanych ukraińskich cywilów jest ok. 8 tys. Znamy nazwiska 300 z nich. Są jeszcze ukraińscy jeńcy i 2,5 tys. więźniów z Chersonia. I jeszcze jedna grupa Ukraińców, takich którzy nie przeszli przez rosyjską filtrację. Według konwencji międzynarodowych wojskowi wzięci do niewoli stają się jeńcami. Ale tylko ci, którzy w chwili wybuchu wojny byli wojskowymi. Rosjanie działają inaczej, traktują jako wojskowego każdego, kto kiedykolwiek miał do czynienia ze strukturami siłowymi Ukrainy. W tym np. 20-letnie urzędniczki wydające paszporty, emerytowanych lekarzy wojskowych czy weteranów.

Ich też wsadzili?

Oficjalnie nie. Przynajmniej dopóki nie postawią ich przed sądem pod jakimś wymyślonym zarzutem, co ma legitymizować ich obecność w rosyjskim więzieniu. Zwykle przykleją im artykuł o wspieraniu terroryzmu lub szpiegostwie.

Dlaczego zabrali więźniów z Chersonia?

Myśleliśmy, że może po to, by ich rekrutować na wojnę. Ale wypuszczają ich po odbyciu kary. Oni jednak nie

mają żadnych dokumentów i często znów trafiają do rosyjskiego więzienia, bo brak paszportu to naruszenie prawa. Wolontariusze próbują ich więc wywozić do Ukrainy, małymi grupami, po dwie, trzy osoby. Wyjeżdżają z Rosji przez Gruzję, próbowaliśmy też przez państwa bałtyckie, ale na łotewskiej granicy ich zwracali.

Jakie są dziś warunki w rosyjskich więzieniach?

Nikt tego nie kontroluje, nie ma żadnego nadzoru międzynarodowego. Putinowi zależy na tym, żeby rosyjskie więzienia pozostały najstraszniejszym miejscem na ziemi, żeby więźniowie chcieli stamtąd wyjść na wojnę. W społeczeństwie nie ma dla nich żadnej empatii i litości.

Twierdzi pani, że „więzienie jest jedną z głównych instytucji rosyjskiego życia”. Co to znaczy?

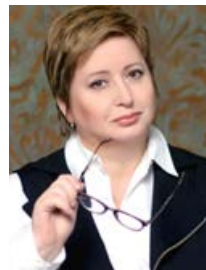
W każdej znaczącej rosyjskiej biografii jest więzienie. Puszkina – zsyłka, Lermontowa – zsyłka, Dostojewski – katorga, Czernyszewski – katorga. Więzienia nie było w życiu Czechowa, dlatego sam pojechał na Sachalin – to był szczyt jego twórczości. Potem rewolucja: jej przywódcy przeszli przez carskie więzienia. Dalej stalinowskie represje z 1937 r. Jurij Gagarin polecał w kosmos z więziennej szarazki [zamkniętego instytutu badawczego – przyp. red.]. Jej dyrektorem Siergiej Korolow, „ojciec radzieckiej kosmonautyki”, też wcześniej siedział. Siedzieli radzieccy dysydenci. Tak samo dwaj laureaci Nagrody Nobla: Brodski i Solżenicyn.

W sierpniu Aleksiej Nawalny dostał dodatkowy wyrok: 19 lat w izolacji o specjalnym reżimie. Co to znaczy?

Po uprawomocnieniu się wyroku w ciągu 10 dni zostanie przewieziony do nowej jednostki i trafi pod ten specjalny, bardzo restrykcyjny reżim. Ale różnica jest tylko teoretyczna. Już teraz odmawia mu się widzeń i kontaktu z rodziną, nie można mu przekazać artykułów spożywczych. Dotychczas to wszystko było niezgodne z prawem, a w specjalnym reżimie po prostu stanie się legalne.

Czyli gorzej być nie może?

Może. Bo będzie otoczony ludźmi, którzy również zostali skazani na ten specjalny reżim, tyle że za wyjątkowo okrutne zbrodnie. Będzie tam jedynym, który nie ma krwi na rękach. Większość więźniów w tym miejscu ma świadomość, że nigdy stamtąd nie wyjdzie. Dla nich dodatkowa paczka papierosów jest ważniejsza niż życie ludzkie. I oni mogą wymienić życie Nawalnego na paczkę papierosów. ■



Olga Romanowa

– szefowa niezależnej organizacji Ruś Siedząca, którą założyła w 2008 r., gdy za kratami wyładował jej mąż Aleksiej Kozłow. Zajmuje się prawną i finansową pomocą dla więźniów. Wcześniej Romanowa była uznaną dziennikarką telewizyjną

i radiową, potem angażowała się w działania opozycyjne, m.in. współorganizowała protesty przeciwko fałszowaniu wyborów. W 2017 r. musiała uciekać z Rosji.



Bindeshwar Pathak pokazuje, jak działa jego prosta toaleta, 2014 r.

© SAJJAD HUSSAIN/AFP/SULABH INTERNATIONAL

Kupa wstydu

PAULINA WILK

To pytanie wróciło jak bumerang, gdy tydzień przed lądowaniem indyjskiej misji Chandrayaan-3 na Księżycu w wieku 80 lat zmarł Bindeshwar Pathak – działacz społeczny, który milionom Indusów zapewnił kosmiczną wręcz poprawę warunków życia, wymyślając całkiem przyziemną instytucję: przyjazną dla środowiska, niewymagającą opróżniania latryny. Utworzona przez niego w 1970 r. Sulabh International Social Service Organisation ma za sobą zbudowanie 1,5 mln toalet przydomowych, ponad 10 tys. toalet publicznych, ponad 30 tys. klozetów w szkołach i ponad 2 tys. łazienek wspólnych w slumsach. Ale przede wszystkim wywołanie zmiany w myśleniu o podstawowych potrzebach sanitarnych wszystkich, w tym najuboższych mieszkańców liczącego dziś 1,4 mld osób społeczeństwa.

Wynalazek Pathaka jest nie do przecenienia, choć z bliska nie prezentuje się imponująco. W delhijskim Sulabh International Toilet Museum, jednej z nielicznych instytucji muzealnych poświęconych historii sanitariatów, na podwórzu obejrzeć można kilka modeli wychodków, genialnych w swej prostocie. W ziemi dwa okrągłe i głębokie na około 2,5 m doły wyłożone

Indie od pół wieku są mocarstwem nuklearnym, od kilku tygodni także kosmicznym. Ale miliony ich mieszkańców wciąż załatwiają się pod gołym niebem. Dlaczego łatwiej wysłać misję na Księżyc, niż położyć rury kanalizacyjne?

cegłami, a w górnej części połączone kanałem dopływowym i wyposażone w małe otwory odprowadzające gazy do gleby. Oba nakrywane betonowymi płytami. Gdy jeden wypełni się odchodami, ich nadmiar przelewa się do drugiego, a w pierwszym zaczyna się naturalne kompostowanie. Po dwóch latach można zbiornik otworzyć, bakterie zdążą zmienić fekalia w bezzapachowy granulat, gotowy do rozrzucenia na polu albo wykorzystania jako biopaliwo.

Konstrukcje naziemne wychodków występują w kilku odmianach, dostosowanych do lokalnych warunków: kabinę można postawić z drewna, cegieł, juty albo słomy – materiałów łatwo dostępnych w najdalszych nawet wioskach. Ubikacja jest kucana, ceramiczna lub kamienna, a do splukania nieczystości wymaga jedynie 1,5 l wody, prawie 10-krotnie mniej, niż uwalnia się ze zbiornika standardowej spluczki.

Takie klozety – tanie w budowie, ustawiane na powietrzu i zachęcające do załatwiania potrzeb w najzdrowszej z możliwych pozycji – mogą budzić w odwiedzających muzeum zagranicznych turystach uśmiech politowania, a jednak mają rewolucyjny wpływ na codzienność Indusów. Ich olbrzymią zaletą jest uniwersalność – można je niskim kosztem zbudować w niemal każdych warunkach. Nie trzeba ich też łączyć z systemem

kanalizacji, a ten – powszechny, sięgający każdego domu – pozostaje niespełnioną ambicją liczącej już 77 lat republiki. Kolejne indyjskie rządy stawiały sobie za cel poprawę sanitarnego losu obywateli, a dostęp do czystej wody w kranie i własnego klozetu powraca w wyborczych obietnicach. Także obecny premier Narendra Modi powiedział Induskom, że każda będzie miała łazienkę w własnym domu.

Mimo ogromnych wyzwań sanitarnych ludnego państwa, stereotypowo kojarzonego z brudem, dla Indusów czystość nie jest sprawą marginalną. Przeciwnie – ta higieniczna i ta rytualna są w centrum życia. W Indiach brakuje stacji utylizacji odpadów, oczyszczalni ścieków, zwykłych koszy na śmieci, kranów z wodą i toalet. Całe dzielnice wielkich miast, choćby Bombaju, dosłownie cuchną. Ludzie na wsiach i w miastach piją i jedzą w sąsiedztwie odpadów i fekalii. Pragnienie posiadania własnego kranu i toalety jest bodaj najpowszechniejszym symbolem dobrego statusu. W miejskim tłoku czy w wiejskim deficycie rur kanalizacyjnych wielu ludzi jest świadomych, że mieszkając w skrajnie niehigienicznych warunkach, ryzykują zdrowie i życie. Większość radzi sobie najlepiej, jak potrafi. Indyjska matka potrafi umyć dwoje dzieci w litrze wody.

Już pierwszy plan pięcioletni rządu niepodległych Indii, uruchomiony pod kierunkiem Jawaharlala Nehru w latach 50. XX w., przewidywał upowszechnienie dostępu do wody bieżącej i sanitariatów. Ale szło opornie. Na początku lat 80. XX w. zaledwie 1 proc. gospodarstw domowych w Indiach dysponowało toaletą, w 2011 r., gdy publikowano ostatni spis powszechny, takich domów było zaledwie 33 proc.

Kiedy w 2014 r. rząd pod przywództwem Modiego ogłosił ambitny plan Clean India (Czyste Indie), wciąż co najmniej pół miliarda ludzi nie miało WC. Premier zapewnił, że w 2019 r., na 150. urodziny Gandhiego, Indie przestaną być krajem, w którym potrzeby fizjologiczne załatwia się pod gołym niebem. Tego celu nie udało się osiągnąć. Udało się natomiast w pięć lat wybudować w kraju aż 90 mln nowych toalet. Co kosztowało blisko 6 mld dol.

Jeśli wierzyć danym z opublikowanego w 2019 r. rządowego badania sanitariatów, już 93 proc. indyjskich wsi posiada toalety. Ale wskaźniki te podano w wątpliwość, bo ujawnione w tym czasie badanie Narodowego Urzędu Statystycznego wskazało, że co najwyżej 71 proc. Indusów na wsiach ma dostęp do toalet. Ile sanitariatów jest w danej wiosce i czy są przez mieszkańców używane, nadal nie wiadomo.

Indie to kraj zarządzany z wykorzystaniem propagandy podlewanej sosem spektakularnych statystyk, liczne rządowe programy stoją imponującymi liczbami. Nie inaczej było z Clean India, dlatego sanitariaty instalowano w pośpiechu i nieraz pod przymusem. Indyjskie dzienniki donosiły o zastraszaniu, ludziom na wsiach nakazywano korzystanie z rządowego dofinansowania na budowę toalet. A za nieprzystąpienie do programu albo uprawianie dość powszechnej wciąż na wsiach praktyki załatwiania się w polu, lesie lub na plaży, wymierzane były kary: grzywny, pobicia, groźby wykluczenia z programu darmowej żywności i opału.

Sprawy sanitarne wyglądają na papierze lepiej niż w rzeczywistości także dlatego, że nowe wychodki nie zawsze są używane. Jako jedyna murowana konstrukcja w obejściu szybko zmieniają się w magazynki cennych narzędzi albo obórki dla kóz. Jeszcze trudniej niż na wsiach oszacować sukces programu sanitarnego w indyjskich miastach, gdzie dostęp do toalet jest łatwiejszy, ale w rządowych obliczeniach nieuwzględniane są tzw. dzielnice nieformalne, czyli slumsy lub inne tymczasowe domostwa. W miastach też wiele toalet ma charakter wspólny, jak więc policzyć, ile sanitariatów przypada na mieszkańca?

Tu również jeden działacz, który z upowszechnienia sanitariatów uczynił swą misję, osiągnął więcej niż kolejne rządy. Bindeshwar Pathak był bowiem także ojcem miejskiej siostry wiejskiego wychodka – płatnej toalety publicznej. Do połowy lat 70. XX w. koncept współdzielonego klozetu był Indusom obcy. To organizacja Pathaka jako pierwsza zaczęła stawiać takie WC w miastach, przy ruchliwych skrzyżowaniach, przystankach autobusowych czy dworcach. Cena za zrobienie siku wynosiła 1 rupię, za kupę – 2 rupie.

Do dziś większość takich publicznych przybytków ma swoich opiekunów. Dbają o czystość, ale przede wszystkim o porządek społeczny. Bo korzystających z publicznych toalet, wciąż trzeba uczyć nieniszczenia infrastruktury, splukiwania nieczystości i wykorzystywania klozetów zgodnie z przeznaczeniem. A różnie z tym bywa. Nietrudno w Indiach o łazienki z pourywanymi kranami, zapchanymi odpływami, oplutymi tytoniem ścianami albo takie, które na kilka godzin zamieniają się w dzielnicową pralnię. Populacja miast rośnie, łazienek przybywa powoli, więc utrzymanie toalet publicznych w dobrej kondycji pozostaje wyzwaniem. Z drugiej strony po pół wieku wielu ludzi wciąż trzeba zachęcać, by z nich korzystali, zamiast załatwiać potrzeby w zaułkach.

Wbrew twierdzeniom premiera Indie nie są krajem wolnym od tzw. otwartej defekacji. Załatwianie potrzeb fizjologicznych pod gołym niebem jest starym zwyczajem, który ma swoje racjonalne przesłanki – rozsądek podpowiada, by załatwić się na torach, dachach czy plażach, gdzie nieczystości wypali słońce lub zabierze woda.

Na wsiach kobiety przed świtem zbierają się w grupki i wędrują daleko w pola czy lasy, by tam się załatwiać, nie narażając na wstyd. Robią to mimo strachu przed napaściami czy dzikimi zwierzętami. Mężczyźni mają łatwiej, wystarczy, że przykucną na skraju pola czy rowu i odwrócą się plecami do ulicy. Praktyki to wciąż częste, choć też słabnące – wraz ze wzrostem zamożności i poziomu życia umacniają się też globalne standardy i kultura czystości. Rosnąca klasa średnia w miastach więcej czasu spędza w nowych lokalach usługowych i centrach handlowych, w których toalety są oczywistością.

Kiedy Bindeshwar Pathak był małym chłopcem, a przyszedł na świat w zasobnej rodzinie szlachetnie urodzonych braminów, często widywał swoją babcie, jak skrapiała wodą korytarzyk, po którym ledwo co przeszła służąca albo pomywaczka. Tak dowiedział się o istnieniu

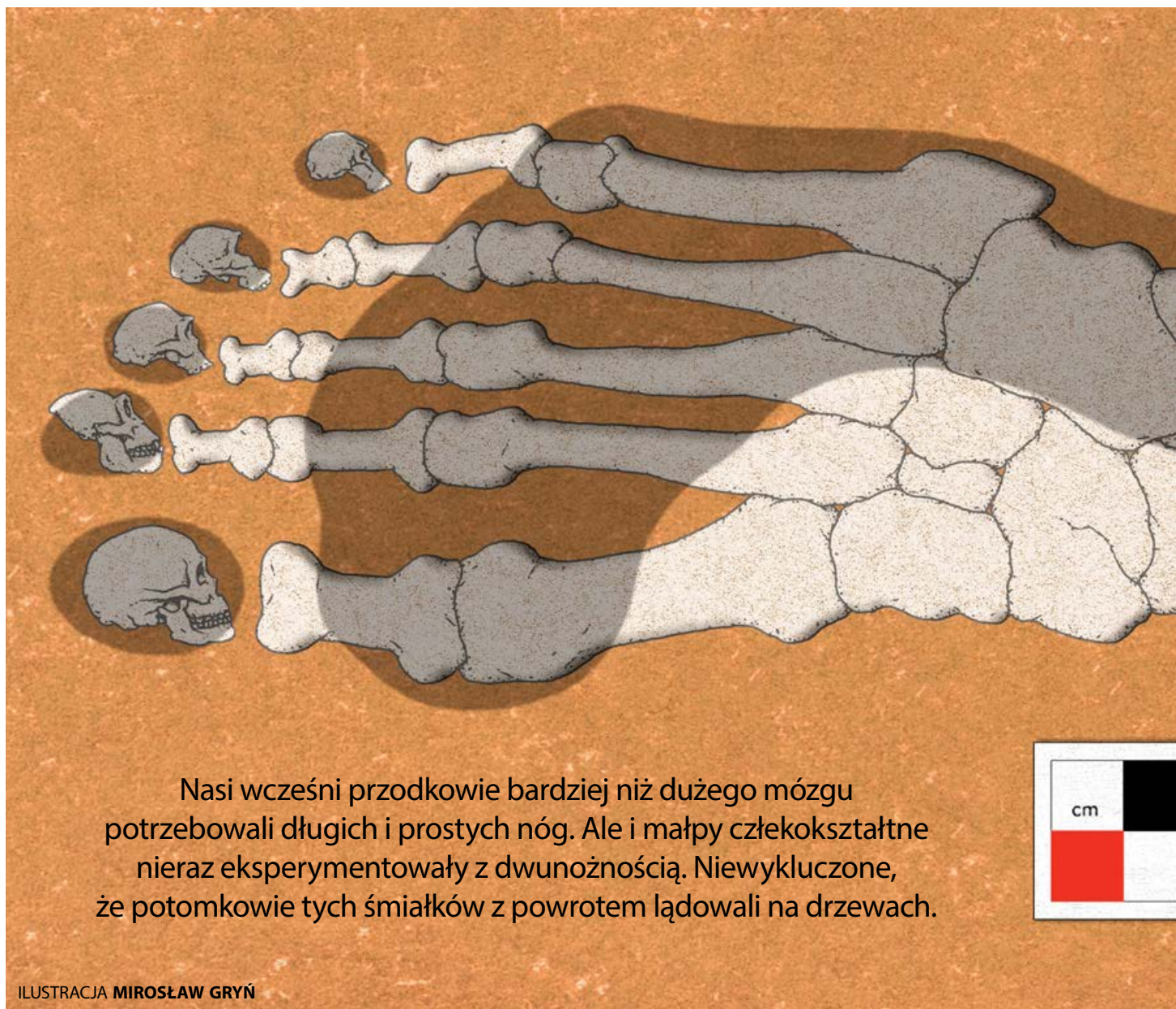
tw. niedotykalnych (dziś dalitów), których uznawano za nieczystych. Odmaiwano im dostępu do studni, świątyń, świąt publicznych – byli objęci surową separacją, społecznie i ekonomicznie dyskryminowani. Zatrudniano ich do najpodlejszych czynności, w tym ręcznego wybierania ekskrementów z tzw. suchych toalet bez odpływów.

Mały Pathak raz nawet postanowił się przekonać, czy świat runie, gdy złapie niedotykalną służącą za łokieć. Złapał i nie wydarzyło się nic poza lamen-tem babki, przymusową kąpielą chłopca i odprawieniem skomplikowanych rytuałów oczyszczania całego domu. Pathak, mimo konserwatywnego otoczenia, uwierzył w gandhijskie ideały równości i sprzeciwił się postrzeganiu innych ludzi jako gorszych. Przez pół wieku wcielał w życie nauki Mahatmy – publicznie jadł z niedotykalnymi, prowadził ich do świątyń, restauracji i hoteli. A ponad wszystko chciał zapewnić Indusom toalety, których nikt nie będzie musiał ręcznie oczyszczać.

Budowy tzw. suchych toalet oraz zatrudniania czyszcicieli zakazano w Indiach dopiero w 2013 r. Szacuje się, że tę pracę wciąż wykonuje nawet 300 tys. osób. Mężczyźni, kobiety i dzieci schodzą do zbiorników z ekskrementami bez odpowiedniego wyposażenia. Fekalia wynoszą w kubkach. Indyjskie media regularnie donoszą o czyszcicielach umierających na skutek zatrucia szkodliwymi gazami. Upodlająca praca jest też powodem chorób i uzależnień, wielu czyszcicieli jest uzależnionych od narkotyków i alkoholu. Wciąż funkcjonują jak wyklęci, na społecznym marginesie.

W XX w. Indus musiał czekać nawet kilka dekad na podłączenie linii telefonicznej. Wielu się nie doczekało, ale dziś liczba telefonów komórkowych dwukrotnie przerasta liczbę obywateli kraju. Praktyczna, niedroga i możliwa do powszechnego stosowania technologia katapultowała rolników, drobnych sprzedawców i uczniów do globalnej sieci powiązań, wiedzy i zasobów. Budowa toalety zależy zaś od maszyny państwowej, skażonej działaniem na pokaz i korpucją. I choć Indusi znaleźli się bliżej celu, to jak na ironię meta wymarzonej czystości zaczęła się oddalać.

W kraju zamieszkiwanym przez 18 proc. światowej populacji znajduje się zaledwie 4 proc. globalnych zasobów wody pitnej. Brakuje jej już do picia, mycia się i nawadniania upraw. Splukiwanie klozetu będzie ostatnie w kolejce potrzeb. ■



Nasi wcześnie przodkowie bardziej niż dużego mózgu potrzebowali długich i prostych nóg. Ale i mały człekokształtne nieraz eksperymentowały z dwunożnością. Niewykluczone, że potomkowie tych śmiazków z powrotem lądowali na drzewach.

ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYN

Człowiek, przodek małpy

MARCIN RYSZKIEWICZ

Awięc zaczęliśmy od nóg, nie od głowy” – taką sentencją podzielił się kiedyś znany francuski antropolog André Leroi-Gourhan i z pewnością w tym swoim zadziwieniu, ale i rozbawieniu, nie był odosobniony. Bo jak to: nie głowa, lecz nogi miały czynić nas ludźmi i odróżniać od innych zwierząt, a małp w szczególności? Opinia Leroi-Gourhana była reakcją na odkrycie Lucy, najbardziej kompletnego i najstarszego w owym czasie osobnika *Australopithecus*

afarensis, okrzyczanego „pramatką całej ludzkości”. Lucy żyła około 3,2 mln lat temu, a odkryta została w 1974 r., więc do związanych z nią debat i kontrowersji nie warto byłoby wracać, gdyby nie fakt, że w ostatnich czasach zyskują całkiem nową aktualność i że dotyczą najgłębszej istoty człowieczeństwa.

Odkrycie Lucy porządkowało wiele zagmatwanych spraw i pozwalało w nowy sposób spojrzeć na ewolucję człowieka. Było to nadzwyczaj kompletne znalezisko – opisano ok. 40 proc. wszystkich jej kości, co, przy całkowitej symetrii naszych szkieletów, oznacza możliwość pełnego odtworzenia 80 proc. jej kośćca.



W szczególności obecne były kości długie rąk i nóg, a także znaczna część kości czaszki, a to bez wątpienia zasadnicze elementy, na których od początku skupiały się dyskusje na temat naszego pochodzenia.

Mówiąc najogólniej: czaszka była mała, nie większa od szympansej (a więc „małpia”), za to nogi proste i wskazujące na pełną dwunożność (a więc „ludzkie”). To nie zgadzało się z panującym wśród znacznej części antropologów przekonaniem, że najważniejszym organem, który odróżnia nas od małp, jest mózg i to jego wzrost określał naszą ewolucję. Odzywała się tu echem trwająca przez kilka dziesięcioleci XX w. dyskusja związana z tzw. człowiekiem z Piltdown, odkrytym w Anglii w 1912 r. w towarzystwie kości wymarłych ssaków, o czaszce niemal równej wielkością ludziom współczesnym i dużych – a więc bardziej małpich – zębach. I choć w latach 70. XX w. sprawa tego osobnika była już przebrzmiała (okazał się fałszerstwem: czaszkę wykopano ze średniowiecznego cmentarza, a zęby, które pochodziły

od współczesnego szympansa, sztucznie postarzano), to przekonanie o kluczowym znaczeniu ewolucji mózgu pozostawało dla wielu niewzruszone.

Tyle że coraz częściej można spotkać się ze stwierdzeniem, że i małpy (człękoksztaltne) zaczynały od nóg. Inaczej mówiąc, kluczowy proces warunkujący naszą hominizację musiał dotyczyć też naszych małpich krewnych, ale później został przez nich w toku ewolucji porzucony. Nieco tylko wyostrzając sformułowanie, to „małpa pochodzi od człowieka, nie odwrotnie”!

Trud odróżnienia

Dziś wydaje się pewne, że wszystkie gatunki wczesnych homininów miały niewielkie mózgi i wyprostowane, przystosowane do dwunożności, kończyny dolne. Z czasem utarło się więc przekonanie, że dwunożność w połączeniu z wyprostowaną postawą pozwala odróżnić homininy od wszystkich innych naczelnych. W jakimś sensie to powrót po latach do XVIII-wiecznej koncepcji Bimana i Quadrumana (łac. dwu- i czwororęcznych), która człowieka od wszystkich innych naczelnych odgradzała.

Gdy paleontolodzy odkrywali kopalne kości i zęby, pokazujące odrębność homininów, biochemicy porównywali białka, a później geny ludzi i zwierząt dowodzące, że jesteśmy bliżej spokrewnieni z szympanсами i gorylami niż obie te małpy z orangutanami lub gibbonami. Innymi słowy, okazało się, że to nie małpy człękoksztaltne (pongidy) tworzą jedną grupę, a człowiek i jego przodkowie drugą, lecz homininy dołączają do afrykańskich pongidów, stając się ich integralną częścią.

Rozróżnienie ludzi i małp staje się niemożliwe. Są małpy afrykańskie (szympansa, goryl i człowiek) oraz małpy azjatyckie – i nie ma po prostu metody, by nas od tych wstrętnych małpisonów w jakikolwiek sposób oddzielić. Co więcej, zegary molekularne, gdy nauczyliśmy się je odczytywać, wykazały rzecz zdumiewającą: pokrewieństwo ludzi i szympansa jest tak bliskie, że rozejście się tych linii musiało nastąpić nie wcześniej niż 5–4 mln lat temu. Wszyscy, którzy żyli przed tymi datami, nie mogli więc być przodkami homininów, niezależnie od tego, jak wyglądali, czy chodzili na dwóch nogach, czy wyrabiali narzędzia, używali języka itd. Mogli robić wszystko, nawet pisać wiersze, ale nie mogli być naszymi przodkami.

Z jednej strony jesteśmy więc po prostu szympanсами (pierwszym lub trzecim, zależnie, jak patrzeć i kogo czytać – „Pierwszy szympansa” to książka Johna Gribbina i Jeremego Cherfasa, do której wkrótce dojdziemy, „Trzeci...” odnosi się do książki Jareda Diamonda). Z drugiej jednak jesteśmy zupełnie wyjątkowi i niepowtarzalni. Jak wybrnąć z tego paradoksu?

Próba ucłowieczenia

Zacznijmy od nie dla wszystkich oczywistego pojęcia „pierwszy hominin”. To gatunek, który wedle zegara molekularnego żył w momencie rozejścia się linii dwóch najbliższych krewniaków – *Homo* i *Pan*, i którego potomkowie byli przedstawicielami obu tych linii. Z tej prostej definicji wynikają dwa wnioski stwarzające poważne kłopoty interpretacyjne.

Po pierwsze, skoro już pierwszy hominin był dwunożny, a jest on zarazem protoplastą linii szympansej, znaczyłoby to, że „czwororęczne” szympansy pochodzą od dwunożnego przodka, więc – znów – „małpa pochodzi od człowieka”.

Po drugie, jeśli pierwszy hominin żył nie dalej niż 5 mln lat temu i tylko on był dwunożny, to znaczy, że wcześniej dwunożnych naczelnych nie było. Tyle że dziś wiemy, że były. A jeśli dwunożność była kluczem ucłowieczenia (tak twierdził już Darwin, a po nim rzesze antropologów – głównie dlatego, że dwunożność uwalniała rękę od funkcji lokomocyjnych i czyniła z nich idealne narzędzia ►

► do precyzyjnych prac), to znaczy, że „prób” ucłowieczenia mogło być wiele i mogły zacząć się znacznie wcześniej niż nasza.

Czy tak było? Zaczniemy od „prehomininów”. Przez znaczną część XX w. za najstarszego przodka człowieka uważano tzw. ramapiteka – znaną zrazu z Azji małpę człekokształtną żyjącą na otwartych przestrzeniach, której przypisywano dwunożność (choć bezpośrednich dowodów brakowało). Problem w tym, że ostatni przedstawiciele ramapiteków wymarli ok. 12 mln lat temu, a nowsze znaleziska pokazały, że bliżej im do orangutanów niż do nas, a najbliższej do innych kopalnych małp człekokształtnych zwanych siwapitekami. Dziś uważa się, że ramapiteki to po prostu samice siwapiteków, a ich potomkami są dzisiejsze orangutany. Czyżby miało to znaczyć, że orangutan – najbardziej nadrzewna z małp człekokształtnych – pochodzi od naziemnych, a może nawet dwunożnych form?

Pomińmy – z braku dowodów – odpowiedź na to pytanie, zwłaszcza że i tak lista domniemanych przedludzkich dwunożów jest długa. Na przykład oreopitek, żyjący między 9 a 7 mln lat temu na terenach dzisiejszej Toskanii i Sardynii, znany z kilku niemal kompletnych szkieletów. Niektóre jego cechy (na przykład użębie) są tak ludzkie, że uznano go za hominina, tym bardziej że budowa miednicy wskazuje, że na ziemi poruszał się na dwóch nogach, choć nie utracił zdolności do wspinięcia się na drzewa. Przypominał pod tym względem gibony, jedynie małpy człekokształtne, które tylko tak poruszają się po ziemi, gdy już – co rzadkie – zdecydują się zejść z drzewa. Dziś wiemy, że wszystkie wczesne homininy wiodły podwójny, nadrzewno-naziemny tryb życia, co zresztą zupełnie rozumiałe, bo nagle wyjście ze względnie bezpiecznej dżungli wprost na przepelnioną drapieżnikami sawannę byłoby równoznaczne z ewolucyjnym samobójstwem.

Innym przykładem jest sahelantrop, którego pięknie zachowana i niemal kompletna czaszka z Czadu została opisana w 2002 r. Już lokalizacja znaleziska dziwiła – wszystkie wczesne homininy znajdowano do tej pory na wschód od afrykańskiego ryftu i na południu kontynentu, ale nie na terenie Sahelu. Ale zadziwień było więcej. Po pierwsze, wiek czaszki, określany na podstawie otaczających osadów i fauny towarzyszącej na ok. 7 mln lat – a więc wcześniej niż żyć miał pierwszy hominin w Afryce. Po drugie, ewidentna dwunożność i wyprostowana postawa, wynikająca z ułożenia tzw. otworu wielkiego, przez który przechodzi rdzeń kręgowy z mózgu. Otóż u człowieka i innych homininów jest on umieszczony u podstawy czaszki, bo głowa wznosi się pionowo ponad tułowiem, a u szympanśów, goryli i innych małp jest z tyłu. Otwór wielki sahelantropa ma ściśle homininowe ułożenie, więc głowa nie tylko musiała być na szczycie pionowego ciała, ale miała też inne zaawansowane cechy, na przykład stosunkowo niewielkie zęby (w tym kły) czy niemal płaską twarz, a nie – jak u małp – silnie wystającą (prognatyczną). Istny hominin, ale żyjący 2 do 3 mln lat przed czasem!

Zdolność chodzenia

A teraz przenieśmy uwagę z głowy na stopy i zobaczymy, jak naprawdę chodziły wczesne homininy, a nie tylko jak nam się wydaje na podstawie pośrednich przesłanek. A najlepszym na to sposobem jest zbadanie śladów, jakie stopy pozostawiają w miękkim osadzie.

Ślady ludzkich stóp są natychmiast odróżnialne od małpich, bo mają cechy związane z bipedalizmem: pierwszy duży palec

(paluch) skierowany do przodu, obecność dużej pięty i wysklepienie amortyzujące ciężar ciała. W tym sensie małpy w ogóle nie mają stóp, ale raczej cztery dłonie – dwie z przodu, dwie z tyłu. Quadrumana!

Niezwykłego odkrycia takich praludzkich stóp dokonał polski tropiciel śladów Gerard Gierliński. Podczas wakacji na Krecie, w zachodniej części wyspy w pobliżu miasteczka Trachilos, zauważył na kamiennych płytach nad brzegiem morza liczne zagłębienia, które przy bliższym zbadaniu okazały się bardzo „homininowymi” tropami, z całą triadą ludzkich cech – paluchem, piętą i wysklepieniem. Tylko wiek był nietypowy – prawie 6 mln lat. I lokalizacja – w Europie, nie Afryce, gdzie żadnych homininów w tym czasie być nie powinno. Kto więc te ślady pozostawił? Czyżby ktoś, kto tylko „udawał” hominina, choć do homininów nie należał?

Najbardziej znane odciski homininowych stóp pochodzą jednak z Afryki, z miejscowości Laetoli w Tanzanii. Odcisnięte zostały przed 3,7 mln lat w miękkim wulkanicznym popiele (dziś skamieniałym) wraz z setkami tropów innych sawannowych zwierząt, takich jak słonie, żyrafy, pawiany, strusie i wiele innych. Należały więc zapewne do zwierzęcia w pełni sawannowego i w pełni dwunożnego zarazem. Są w zasadzie nieodróżnialne od ludzkich (choć mniejsze), zostawione zostały przez trzy idące razem osobniki (dwoje dorosłych i dziecko, stąd nazwano je Pierwszą Rodziną), no i brak tam jakichkolwiek śladów ich dłoni, nie mogły więc podpierać się rękami.

Szlak z Laetoli, odkryty w 1976 r., od razu połączono ze znalezioną dwa lata wcześniej w Etiopii Lucy. W jej niemal kompletnym szkielecie brakowało kości palców – zarówno stóp, jak i dłoni. Choć więc reszta wskazywała, że Lucy chodziła prawdopodobnie na dwóch nogach, pewności brakowało. Szlak z Laetoli rozwiewał wątpliwości – jego wiek, lokalizacja i przede wszystkim kształty kazały widzieć w Lucy i jej towarzyszach miniaturowe wersje dzisiejszych ludzi.

Dwoistość istnienia

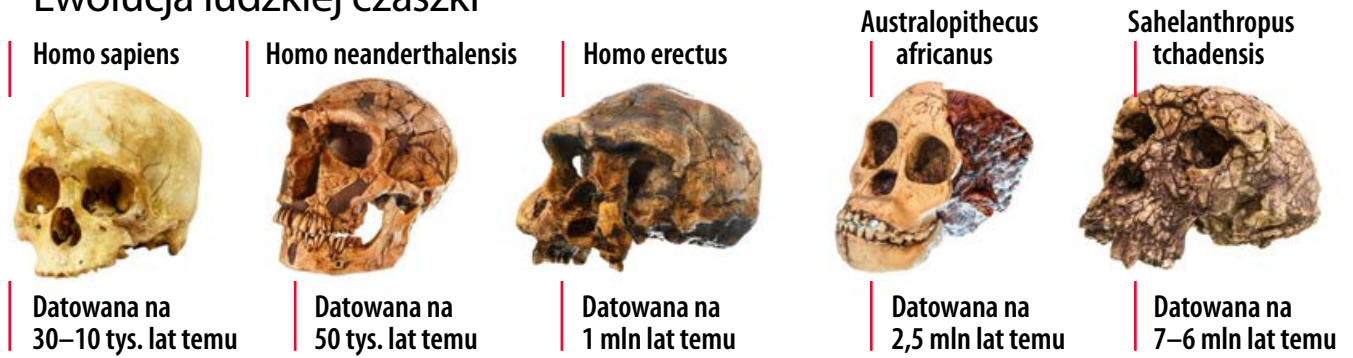
I wszystko byłoby świetnie, gdyby nie trzy nowe fakty, które sprawy gmatwają. Po pierwsze, późniejsze znaleziska wielu wczesnych homininów, równoczesnych i starszych od Lucy (*A. anamensis*, *orrerin*, *ardipitek*), pokazują, że były to formy tyleż nadrzewne, co i naziemne i zapewne o stopach, które nie utraciły jeszcze chwytności. Po drugie, Lucy doczekała się z czasem koleżanki lub kolegi w postaci pięknie zachowanego w jednej z jaskiń RPA szkieletu, w którym obecne są także kości stóp (zresztą najwcześniejszy odkrytych – stąd nazwa Little Foot). Otóż kości stopy tego okazu, zaliczonego ze względu na ogólne podobieństwo szkieletu do tego samego co Lucy gatunku (*A. aferensis*), nie wyglądają jak ludzkie, a ich paluch jest wyraźnie odstający i chwytny; odcisk ich stopy, gdyby został odkryty, wyglądałby zupełnie inaczej niż te z Laetoli. Czyżby ród Lucy nie był autorem tropów z Laetoli?

To niewykluczone, bo – i to po trzecie – w 2019 r. dokonano niezwykłego odkrycia i to na tym samym stanowisku Laetoli w Tanzanii. Otóż znaleziono tam odciski stóp jeszcze jednego hominina, całkiem odmiennego od tych z Pierwszej Rodziny. W istocie ślady te znane były od początku, bo odkryto je wraz z całą sawannową menażerią, lecz zrazu uznano je za dzieło niedźwiedzia. Ich słaby stan zachowania i odmienny kształt kazały myśleć o jakichś pozaludzkich jego autorach, a odciski stóp niedźwiedzi, gdy czasem chodzą na dwóch nogach i nie są zbyt wyraźne, można z ludzkimi pomylić.

Są małpy afrykańskie (szympanś, goryl) i człowiek oraz azjatyckie. Nie ma metody, by nas od tych małpisonów oddzielić.



Ewolucja ludzkiej czaszki



Postanowiono więc wrócić do Laetoli i raz jeszcze przebadać zachowane ślady. Z pomocą młodych niedźwiedzi, uczonych do chodzenia na dwóch łapach, wykonano serię świeżych odcisków i porównano je z kopalnymi. Wynik wykluczał, by autorami śladów były niedźwiedzie. Stwierdzono w ten sposób, że w Laetoli ponad wszelką wątpliwość współwystępowały dwa gatunki różnych homininów, przy czym te nowo zidentyfikowane miały stopy znacznie mniej zaawansowane, bardziej „małpie”, z wyraźnie odstającym paluchem. I to je raczej powiązać można z Lucy. Więc kto pozostawił po sobie te bardziej „ludzkie”? Czyżby Lucy miała obok siebie znacznie bardziej uczłowieczonych towarzyszy?

Warto powiedzieć o jeszcze jednym, całkiem świeżym odkryciu. Tym razem przyszło z Niemiec, więc też daleko od Afryki, i ze starych, bo liczących ponad 11 mln lat osadów. To tam, w Bawarii, u podnóża Alp, zespół antropolożki z Tybingi Madelaine Böhme odnalazł w 2019 r. dziesiątki kości tajemniczej małpy człekokształtnej, którą nazwano *Danuvius guggenmosi*. Znaleździło jest szokujące, bo – w największym skrócie – górna część ciała tego stworzenia jest „małpia” i przypomina gibona (długie ręce, delikatna budowa), ale dolna ma dziwnie ludzkie cechy, w tym masywną budowę nóg, ewidentnie przystosowanych do dwunożnego chodu w postawie wyprostowanej. *Danuvius*, inaczej niż gibony, najwyraźniej czuł się „u siebie” równie dobrze na ziemi, jak i na drzewach, a jego następcy – gdyby przeżyli – mogli pójść dalej w obu kierunkach: nadrzewnego brachiatora lub naziemnego dwunoga. Tyle że *Danuvius* nie doczekał się (chyba) potomków.

Dreszcz przypuszczenia

Jakie wnioski można wysnuć z tego korowodu nowych odkryć i dawnych przemyśleń? I co one mówią o fenomenie naszego gatunku?

Po pierwsze, dwunożność była niewątpliwie kluczową innowacją na drodze naszej ewolucji. Darwin miał rację, a Leroi-Gourhan niepotrzebnie się dziwił. Bez wolnych rąk nie byłoby cywilizacji. Duży mózg – na początku – nie był do niczego potrzebny.

Po drugie, wyprostowana dwunożność to biologiczna akrobacja i choć małpy nieraz eksperymentowały z dwunożnością, to nigdy, poza homininami, nie była ona ich głównym sposobem lokomocji.

A skoro tak, to – po trzecie – można oczekiwać, że te eksperymenty często kończyły się niepowodzeniem lub – co ciekawsze – że potomkowie tych eksperymentatorów z powrotem lądowali na drzewach.

Czy znane są takie przykłady? Bezpośrednich dowodów brak, pośrednie jednak są obecne i fascynują. O możliwości przejścia dawnych naziemnych przodków orangutana do dzisiejszej pełnej nadrzewności była już mowa, ale coś podobnego mogło też

przydarzyć się naszym własnym przodkom – australopitekowi. Z wczesnych australopiteków podobnych do Lucy zrodziły się dwie linie tych homininów – formy masywne (robustne), o czaszkach zbliżonych do goryli, i formy delikatne (gracylne), które kiedyś nazywano „dwunożnymi szympansami”. Obie te linie zniknęły z zapisu kopalnego (masywne dopiero ok. 1 mln lat temu).

A co z szympansami i gorylami? O ile homininy mają bogaty zestaw kopalnych przodków, o tyle żadna z tych afrykańskich małp nie ma ich w ogóle. Jakby spadły z nieba. A może – choć brzmi to jak czysta fantazja – mają ich w postaci tych właśnie dwóch linii australopiteków, które nie tyle wymarły, ile powróciły na drzewa?

Taka jest główna teza wspomnianej książki „Pierwszy szympans” Gribbina i Cherfasa, która dosłownie brzmi następująco: „Tajemnica [pochodzenia szympansa i goryla] spodobałaby się Sherlockowi Holmesowi. Z jednej strony mamy dwa bliskie sobie gatunki, większego i mniejszego, które rozeszły się od wspólnego przodka około 4 mln lat temu. Były owocożerne i żyły jeszcze około miliona lat temu. Z drugiej strony mamy dwie małpy człekokształtne, żyjące dziś w Afryce, większą i mniejszą, obie blisko spokrewnione z człowiekiem, od którego oddzieliły się ok. 4 mln lat temu. Oba gatunki są owocożerne i oba nie mają szczątków w materiale kopalnym. Mammy więc dwa żyjące gatunki bez znanych przodków i dwa gatunki kopalne bez znanych potomków. Wszystkie były (i są) owocożerne i wszystkie oddzieliły się od linii ludzkiej w tym samym czasie (...). Jak to Holmes tłumaczył dr. Watsonowi: Ile razy mówiłem ci, że kiedy wyeliminujesz wszystko, co możliwe, to, co pozostanie, jakkolwiek mało prawdopodobne, musi być prawdą”.

Książka, choć bardzo poczytna, nie zyskała uznania wśród antropologów. Zauważył ją dopiero Richard Dawkins w monumentalnym dziele „Opowieść przodków” (wyd. pol. 2018), gdzie wyraża się o niej życzliwie, a myśl, że wielkie małpy afrykańskie mogą pochodzić od praludzi, komentuje w ten sposób: „Jak na tak szokującą i radykalną propozycję jest ona nadspodziewanie dobrze umotywowana”.

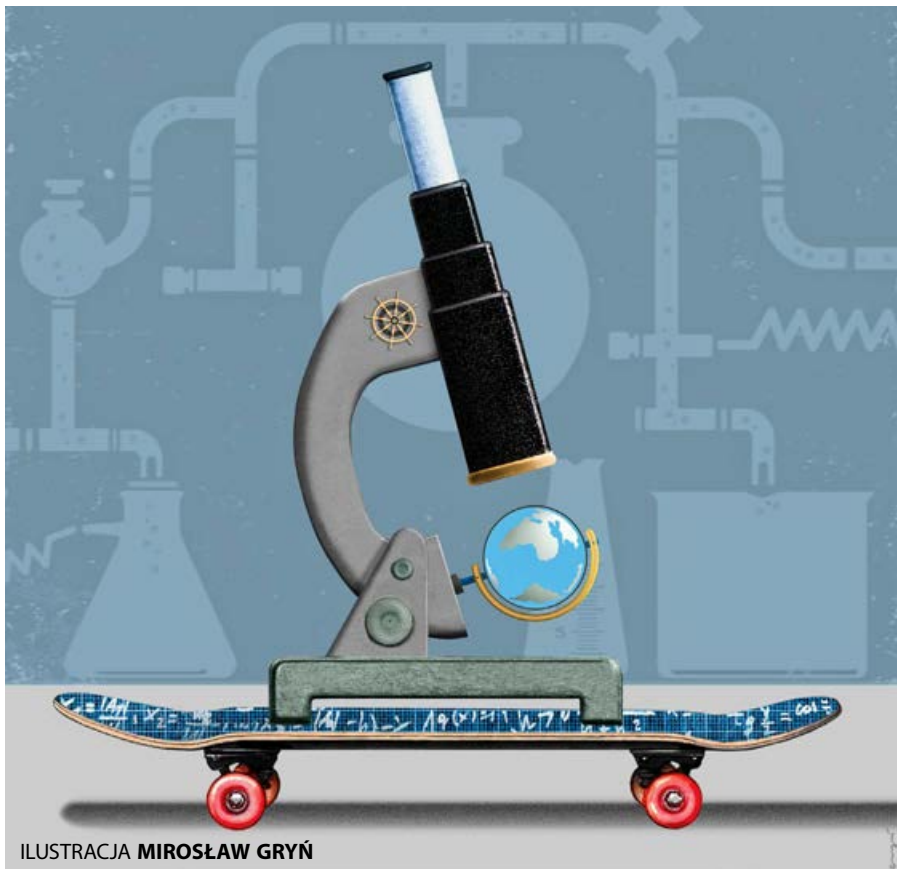
Wybitny amerykański ewolucjonista S.J. Gould napisał kiedyś, że innowacje ewolucyjne powstają zwykle w dwóch etapach: wczesnego eksperymentowania i późniejszej standaryzacji. Wybitne innowacje potrzebują wielu prób i błędów, a im trudniejsza innowacja, tym więcej też porażek. Powstanie tak zdumiewającego gatunku jak nasz wymagało szczególnie dużo eksperymentów, bo dwunożnym małpom znacznie łatwiej powrócić do życia na bezpiecznych drzewach niż wkraczać na groźną sawannę. Powstanie człowieka to była z pewnością prawdziwa *mission impossible*, naznaczona niezliczonymi porażkami. Udało się tylko raz.

MARCIN RYSZKIEWICZ

Młoda polska inteligencja

Obawy, że modele generatywne zagarną naukę dla siebie i uczynią ludzką rezolucję zbędną, okazują się przedwczesne. Przynajmniej w przypadku laureatów I etapu 23. edycji Nagród Naukowych POLITYKI.

KAROL JAŁOCHOWSKI



ILUSTRACJA MIROSLAW GRYN

Przywracanie mowy osobom dotkniętym udarem pnia mózgu lub stwardnieniem zanikowym boczny – wspaniałe! Dostrzeżenie w bezkresie kosmosu zimnych planet, bez końca przemierzających Galaktykę – poruszające! Zaprzęgnięcie nowych technik do przebadania materiału genetycznego Ołziego, Człowieka z Lodu, i stwierdzenie, w jak błędny sposób o nim myśleliśmy – zaskakujące! To tylko trzy fascynujące odkrycia ogłoszone przez naukowców w ciągu ostatnich paru tygodni.

Od chwili, kiedy przyznaliśmy Nagrody Naukowe po raz 22., podobnych impulsów zmieniających nasze wyobrażenia na temat świata były setki. Wydawać by się jednak mogło, że błędna one w świetle osiągnięcia, które zachwyciło/zelektryzowało/zatrwożyło (niepotrzebne skreślić) nas wiosną. Zyskaliśmy wtedy – za pośrednictwem ChatGPT – dostęp do prawdziwie wielkiego modelu językowego. Podobne narzędzia sztucznej inteligencji istniały już od lat. To jednak, wsparte ogromnym kapitałem Microsoftu, wykarmione na niezliczonych bibliotekach

tekstów. I stworzyło wrażenie, że obcujemy z istotą ludzką – tylko nieporównanie potężniejszą.

ChatGPT sprowokował lawinę pytań o przyszłość nauki. O naturę odkrycia, ideę teorii, istotę kreatywności i o łatwość automatycznego generowania treści na podstawie istniejących już publikacji. Lawina zeszała, po czym zapadła cisza, bo większość łęków okazała się bezpodstawna. Naukowcy zaś swoim dorobkiem dowodzą, że są niezastępowalni. Jest wśród nich piętnastka nominowanych do Nagród Naukowych POLITYKI.

Przykładem dr Paweł Nowakowski z Wydziału Historii Uniwersytetu Warszawskiego, skupiający uwagę na grupach społecznych dotąd pozbawionych głosu. Bada starożytne inskrypcje pozostawione przez niewolników, wyzwolenców, członków mniejszości wyznaniowych. Ich opowieść o świecie mija się z dominującą narracją elit, ale bez niej obraz przeszłości jest dramatycznie niepełny. Która z maszyn, wytworów wielkich korporacji, by się tym zainteresowała? Jak odtworzyłaby niuanse przeplętyw ludzkich wierzeń i przekonań?

Nie inaczej jest z przedmiotem zainteresowań dr Marii Ferenc z Działu Naukowego Żydowskiego Instytutu Historycznego im. Emanuela Ringelbluma. Prześledziła ona przepływy wieści docierających do Żydów uwięzionych w getcie warszawskim. Analizowała procesy podejmowania krytycznie istotnych decyzji bez dostępu do pełnych danych. Prof. Wiesław Władysław rekomentował jej kandydaturę z jeszcze jednego powodu: „Wyróżnienie dr Ferenc byłoby wyrazem solidarności z historykami zajmującymi się Zagładą”. Do takich aktów nie będzie zdolny żaden model generatywny.

Zamiast wpadać w egzystencjalne drżenie związane z narastającą obecnością AI, przygotujmy się na nieuniknioną kolaborację. Pomogą w tym wyniki badań prowadzonych przez dr. Kamila Mamaka z Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego. Stara się on przygotować ludzkości na intensywną obecność technologii cyfrowych, osadzając swoje propozycje w istniejącym systemie filozoficzno-prawnym. Brzmi to enigmatycznie? Zacytujmy więc prof. Pawła Łukowa, który streszcza tę problematykę następująco: „Czy można bezkarnie kopnąć robota?”.

Także na takie pytania nasi nominowani odpowiadają przekonująco. ■

Finaliści 23. edycji Nagród Naukowych POLITYKI

Nauki humanistyczne

dr Michał Koza – Wydział Polonistyki, Uniwersytet Jagielloński
 – LITERATUROZNAWSTWO
dr Paweł Nowakowski – Wydział Historii, Uniwersytet Warszawski – ARCHEOLOGIA
dr Kamil Mamak – Wydział Prawa i Administracji, Uniwersytet Jagielloński – FILOZOFIA/PRAWO
dr Maria Ferenc – Dział Naukowy, Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma – HISTORIA

Nauki społeczne

dr Marek Muszyński – Instytut Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk – SOCJOLOGIA
dr hab. Łukasz Okruszek – Instytut Psychologii Polskiej Akademii Nauk – PSYCHOLOGIA
dr Marta Sylla – Wydział Inżynierii Kształtowania Środowiska i Geodezji, Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu – GEOGRAFIA

Nauki o życiu

dr Maciej Cieśla – Międzynarodowy Instytut Mechanizmów i Maszyn Molekularnych PAN – BIOLOGIA
dr Damian Jacenik – Wydział Biologii i Ochrony Środowiska, Uniwersytet Łódzki – BIOLOGIA
dr hab. n. med. Paweł Rajwa – Wydział Nauk Medycznych w Zabrze, Śląski Uniwersytet Medyczny w Katowicach – MEDYCYNA

Nauki ścisłe

dr hab. Piotr Skowron – Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki, Uniwersytet Warszawski – INFORMATYKA
dr inż. Michał Dziadek – Wydział Inżynierii Materiałowej i Ceramiki, Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica w Krakowie – BIOTECHNOLOGIA
dr Marcin Lindner – Instytut Chemii Organicznej Polskiej Akademii Nauk – CHEMIA

Nauki techniczne

dr inż. Adam Okniński – Centrum Technologii Kosmicznych, Sieć Badawcza Łukasiewicz – Instytut Lotnictwa – NAUKI TECHNICZNE
dr inż. arch. Monika Szopińska-Mularz – Wydział Budownictwa, Inżynierii Środowiska i Architektury, Politechnika Rzeszowska im. I. Łukasiewicza – ARCHITEKTURA

Kapituła Profesorska (I etap)

Biologia **prof. dr hab. Ewa Bartnik** – Wydział Biologii UW (na emeryturze), **dr hab. Marcin Grynberg** – Instytut Biochemii i Biofizyki PAN, laureat Nagrody Naukowej POLITYKI w roku 2004
Filologie, Literaturoznawstwo, Językoznawstwo **prof. dr hab. Grażyna Borkowska** – Instytut Badań Literackich PAN
Kulturoznawstwo **red. Bartek Chaciński** POLITYKA
Fizyka **prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow** Wydział Fizyki UW, rektor UW w latach 2005–12
Socjologia **prof. dr hab. Henryk Domański** – Instytut Filozofii i Socjologii PAN
Nauki Prawne **prof. dr hab. Tomasz Giaro** – Wydział Prawa i Administracji UW
Nauki Techniczne **prof. dr hab. Michał Kleiber** – Instytut Podstawowych Problemów Techniki PAN, prezes PAN w latach 2007–15
Archeologia **red. Agnieszka Krzemińska** POLITYKA
Geografia **dr hab., prof. UW Sylwia Kulczyk** – Wydział Geografii i Studiów Regionalnych UW
Architektura, Urbanistyka **prof. dr hab. inż. arch. Ewa Kuryłowicz** – Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej, Kuryłowicz&Associates
Filozofia **prof. dr hab. Paweł Łuków** – Instytut Filozofii UW
Matematyka, Informatyka **prof. dr hab. Jan Madey** – Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki UW (na emeryturze)
Chemia, Biotechnologia **prof. dr hab. Marcin Pałys** – Wydział Chemii UW, rektor UW w latach 2012–20, **prof. dr hab. Artur Krężel** – Wydział Biotechnologii Uniwersytetu Wrocławskiego, laureat Nagrody Naukowej POLITYKI w roku 2010
Historia Sztuki **prof. dr hab. Maria Poprzeczka** – Wydział „Artes Liberales” UW
Medycyna **prof. dr hab. n. med. dr h.c. Aleksander Sieroń** – Uniwersytet Jana Długosza w Częstochowie, prorektor ds. medycznych i nauk o zdrowiu
Psychologia, Pedagogika **prof. dr hab. Krystyna Skarżyńska** – Wydział Psychologii Uniwersytetu SWPS w Warszawie
Ekonomia, Zarządzanie **prof. dr hab. Tomasz Szapiro** – Kolegium Analiz Ekonomicznych SGH w Warszawie, rektor SGH w latach 2012–16, przewodniczący Kapituły
Religioznawstwo, Teologia **red. Adam Szostkiewicz** POLITYKA
Muzykologia **red. Dorota Szwarcman** POLITYKA
Historia, Nauki Polityczne, Medioznawstwo **prof. dr hab. Wiesław Władyka** – Wydział Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii UW, POLITYKA

Kapituła Społeczna (II etap)

Marek Belka

Były premier, wicepremier i minister finansów, prezes NBP w latach 2010–16, poseł do Parlamentu Europejskiego

Andrzej Jacek Blikle

Profesor matematyki i informatyki, członek Europejskiej Akademii Nauk, przedsiębiorca i trener biznesu, udziałowiec firmy A. Blikle

Henryka Bochniarz

Założycielka i prezydent Konfederacji Lewiatan (w latach 1999–2019), obecnie przewodnicząca Rady Głównej tej organizacji, ekonomistka, była minister przemysłu, jedna z animatorek Kongresu Kobiet

Sylvia Chutnik

Kulturoznawczyni, feministka, działaczka społeczna, pisarka, laureatka Paszportu POLITYKI w kategorii Literatura za 2008 r.

Irena Eris

Doktor farmacji, współwłaścicielka i dyrektor ds. badań firmy Dr Irena Eris SA, laureatka wielu nagród dla przedsiębiorców, menedżerów i społeczników

Robert Firmhofer

Historyk filozofii, współtwórca i dyrektor Centrum Nauki Kopernik w Warszawie, uznany popularyzator nauki

Michał Komar

Scenarzysta, wydawca, publicysta, pisarz; zastępca przewodniczącego Stowarzyszenia Autorów ZAiKS, profesor Collegium Civitas

Tomasz Nałęcz

Historyk, publicysta, polityk, w latach 2010–15 doradca prezydenta RP ds. historii i dziedzictwa narodowego

Sławomir S. Sikora

Bankowiec, ekonomista, przewodniczący Rady Nadzorczej Citi Handlowy w Warszawie, w latach 2003–21 prezes zarządu tego banku

Cezary Szczylik

Ordynator Oddziału Onkologii Europejskiego Centrum Zdrowia Otwock, prezydent Fundacji Onkologii Doświadczalnej i Klinicznej, w latach 1993–2017 szef Kliniki Onkologii Centralnego Szpitala Klinicznego MON

Krzysztof Zanussi

Reżyser, scenarzysta filmowy, publicysta, felietonista

W pracach Kapituły II stopnia uczestniczył również przedstawiciel Kapituły Profesorskiej oraz redaktor naczelny POLITYKI **Jerzy Baczyński**.

Nie wstydzić się wolności

Liberalizm stał się gorącym kartoflem w polskiej przestrzeni publicznej. Bronią liberalizmu już tylko politycy o najgrubszej skórze. Ze stratą i dla słabszych, i dla rozwoju kraju.

Nie musi być też antytezą lewicy. Może radzić sobie ze współczesnymi wyzwaniami, z nierównościami społecznymi, migracjami i innymi zagrożeniami dla demokracji.

Wędrujące idee

Wszystkim krytykom liberalizmu warto przypomnieć, że nurt ten rodził się jako idea oświeceniowa – progresywny ruch walki z feudalizmem i przywilejami stanowymi. Promował wolny rynek i demokrację konstytucyjną, opartą na trójpodziale władz, opowiadał się za równością ludzi wobec prawa. Walczył o wolności obywatelskie, ochronę mniejszości, tolerancję oraz pluralizm.

Wiara i entuzjazm liberałów powodowały, że ich idee zmieniały świat. Transformowały społeczeństwa i gospodarki, przekształcały kulturę. Wsparty przez demokrację święcił triumfy. I nawet jeśli co jakiś czas cykliczność gospodarki kapitalistycznej wywoływała kryzys i trzeba było, jak radził John Maynard Keynes, ratować się poprzez większe wydatki państwowe, nie naruszało to zasadniczych reguł gospodarki rynkowej, nie negowało potrzeby istnienia mechanizmu konkurencji.

To paradoks, że atrakcyjność idei liberalnych stała się problemem dla współczesnego liberalizmu, odleglejszego od wzorca sprzed wieków. Część jego postulatów została zawłaszczona przez jego ideologicznych konkurentów. Socjaliści i konserwatyści zrozumieli, że wolny rynek ma znaczenie centralne dla budowania dobrobytu, co bynajmniej nie oznacza konieczności jego bezkrytycznego akceptowania. Tak rudymenarne dla liberalizmu idee, jak wolności jednostki, swoboda wyrażania poglądów czy pluralizm, znalazły również uznanie u konkurencyjnych ideologii, szczególnie lewicowych. W konkurencji konkurujące kiedyś z liberalizmem idee mają na sztandarach wartości, o które walczyli dawni liberałowie.

Neo nic nie dało

Od końca lat 70. XX w. dominującą pozycję w rodzinie rozlicznych nurtów liberalizmu zaczął zajmować neoliberalizm. Grunt dla jego rozkwitu stworzył kryzys gospodarczy i wynikająca z niego stagflacja. Ronald Reagan i Margaret Thatcher zmarginalizowali znaczenie bardziej społecznie zorientowanych nurtów liberalizmu. I stali się twarzami „neo”. Tak jak nieco później w Polsce Leszek Balcerowicz.



ILUSTRACJA PATRYK SROCZYŃSKI

STANISŁAW MAZUR

Mija 40 lat od ukazania się książki „Idee gdańskiego liberalizmu” Donalda Tuska. To jedna z bardziej wartościowych podstaw polskiej reformy ustrojowej po 1989 r. Idee te przez lata ewoluowały, różne były ich moc i zasięg. A czym są dziś?

W ostatnich latach transfery socjalne, jak choćby 500 plus, stały się symbolem skutecznego rządzenia, sprawczości i godności, zapędzając w kąć podstawy ekonomii, polityki fiskalnej i monetarnej. I rodząc pytania. Skąd pieniądze na te transfery? Jaki jest ich koszt? Jaki jest faktyczny dług publiczny? Ile przyszłe pokolenia za to zapłacą? Dlaczego rozdajemy pieniądze zamiast wzmacniać usługi publiczne? Wreszcie – jak do tego doszło, że te pytania spadły z kanonów

ekonomicznego mainstreamu i stały się niewygodne?

Jedyny publiczny strażnik żelaznego liberalizmu w Polsce Leszek Balcerowicz, którego w przestrzeni publicznej rozumie tylko Witold Gadomski z „Gazety Wyborczej”, w większości środowisk jest uznawany za epigona dzikiej liberalnej transformacji. Dzikiej, ale tej, która pośród krajów tzw. demokracji ludowej doprowadziła Polskę najbliższej rozwiniętego Zachodu.

Ile więc pozostało z intelektualnego dorobku liberałów? Czy dziś liberalizm jest skazany na przegraną z populizmem? Dlaczego liberalne gospodarcze hasła przejmują środowiska opresyjne światopoglądowo?

Sporo pytań. Choć trzeba je zadać publicznie, nawet jeśli nie będzie na nie jednej odpowiedzi. Przy wszystkich niedoskonałościach, ryzyku elitarności i doktrynerstwa liberalizmu nie powinien być bezrefleksyjnie zastąpiony populizmem.

Wiele spraw potoczyło się inaczej, niż zakładali neoliberalowi. Gloryfikowana przez nich niewidzialna ręka rynku, pozostawiona sama sobie, nierzadko zawiodła – najmocniejszy i najbardziej świeży przykład to kryzys zapoczątkowany upadkiem Lehman Brothers w 2008 r. Aksjomat równowagi popytu i podaży w warunkach doskonałej konkurencji nie sprawdził się. Nawarstwianie się kryzysów gospodarczych rodziło powątpiewanie w moc liberalizmu, a czas postpandemiczny i aktywność państwa w walce z groźbą recesji dodatkowo nadwyrężyły wiarę w siłę neoliberalizmu.

Niwelowanie dysproporcji rozwojowych między krajami biednymi a państwami bogatymi też mocno odbiegało od założeń. Dysproporcje rozwojowe między nimi wręcz się pogłębiły. I wiele jest dziś racji w stwierdzeniu, że liberalizm w jego neoliberalnej postaci nie służy dobrze idei spójności społecznej.

Inaczej niż zakładano, przebiegają różne społeczne procesy. Bogacenie się również nabrało innego wymiaru. Wzrost gospodarczy, będący w dużym stopniu zasługą liberalizmu, nie przełożył się na sprawiedliwy podział wynikającego z niego bogactwa. Polaryzacja dochodowa, zróżnicowanie płacowe i wykluczenie społeczne stały się niezamierzonymi konsekwencjami neoliberalnej polityki. Ale też PKB przestał być uniwersalną miarą dobrobytu, do opisu rzeczywistości weszły bardziej emocjonalne wskaźniki: ekonomiczna szczęścia, miara dobrostanu.

Po drodze gdzieś okazało się, że historia wcale się nie skończyła i nadzieje Francisa Fukuyamy zderzyły się z niespodziewanym tryumfem nieracjonalnych nacjonalizmów, autorytaryzmów, mediów społecznościowych. A za chwilę sztuczna inteligencja nie tylko nie pozwoli się skończyć historii, ale odkopie z niej armię zombie.

Pole dla populistów

Gospodarka nie jest jedynym polem, na którym krytykowany jest dziś neoliberalizm. Zarzuca mu się także marginalizowanie roli wspólnoty. W czasach społecznych zawirowań obywatele potrzebują poczucia przynależności do grupy. Wielu utrzymuje, że liberalizm tego nie zapewnia, promując darwinizm społeczny i indywidualizm, które niszczą więzi. W Polsce krytycy liberalizmu, obok przywoływanych wyżej zarzutów, podnoszą te związane z doświadczeniami czasu transformacji, w tym z wdrażaniem planu Balcerowicza i „terapią szokową” z początku lat 90. XX w. Eksponują jej negatywne skutki, takie jak bezrobocie, pauperyzacja,



Stanisław Mazur, politolog, dr hab. nauk humanistycznych, profesor uczelni na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie, a od 2020 r. również rektor tej uczelni. Redaktor naczelny kwartalnika „Zarządzanie Publiczne” oraz współorganizator seminariów naukowych „Dobre zarządzanie”.

nierówności, wykluczenie, pomijając zarazem sukces polskiej transformacji.

Ideologie lewicowe obarczają liberalizm odpowiedzialnością za nierówności społeczne i wykluczenie wynikające z fascynacji wolnym rynkiem. Faworyzujący ideologii prawicowych zarzucają mu demontaż wspólnoty, osłabianie państwa narodowego i moralny relatywizm.

Politycy uznali, że afiszowanie się z liberalizmem nie przysporzy im popularności. Wielu z nich doszło nawet do przekonania, że atakowanie liberalizmu przynosi korzyści. Ci, którzy kiedyś deklarowali się jako liberałowie, porzucili politykę albo odrzucili liberalne poglądy, nie wierząc w możliwość ich realizacji.

Trudno takiemu zachowaniu, z pragmatycznego i doraźnego punktu widzenia, odmówić racjonalności. Zarazem jednak nie sposób nie dostrzec, że ich wycofanie otworzyło drogę do władzy siłom politycznym podważającym reguły demokracji liberalnej (PiS). Ponadto otworzyło to przestrzeń do wykorzystania skrajnie neoliberalnych postulatów przez rosnącą w siłę narodową formację polityczną (Konfederacja). Licytowanie się na populizm staje się nie tylko szkodliwe dla państwa, ale i stopniowo okazuje się także nieskuteczne, patrząc przez pryzmat partyjnej skuteczności mierzonej sondażami wyborczymi. Porzucenie idei liberalnych wiele nas kosztuje i będzie w przyszłości kosztować jeszcze więcej.

Pozostała wyludniona przestrzeń, którą szybko zasiedlają radykałowie i populiści, także ci, którzy odwołują się do skłigaconych z liberalizmem doktryn, jak np. libertarianizm. Nie sposób oprzeć się pytaniom o to, kto będzie bronił praw mniejszości, reguł konstytucji, pluralizmu i wolności słowa. I w imię czego?

Liberalizm ma wiele na sumieniu i wymaga korekty – tym bardziej że w ostatnich latach nikt o jego rozwój i dostosowanie do momentu w dziejach nie dbał. Bezkrzytyczna gloryfikacja wolnego rynku, intensywne promowanie indywidualizmu i wolności negatywnej, minimalizowanie znaczenia wspólnoty oraz kwestionowanie roli państwa i marginalizowanie problemu wykluczenia to kwestie wymagające nowych definicji w nowych kontekstach. Zarazem nie sposób nie dostrzec znaczenia idei promowanych na gruncie liberalizmu. Są one nieodzownym elementem współczesnej demokracji, stanowiąc o sile

immunologicznej liberalno-demokratycznego porządku politycznego w zderzeniu z radykalizmem i populizmem.

Czy warto bronić liberalizmu?

Liberalna demokracja stworzyła podwaliny sukcesu gospodarczego i politycznego świata Zachodu. W świecie tak popękanym, zróżnicowanym, pełnym sprzeczności i konfliktów konieczne jest odwołanie się do zasad praw i wolności obywatelskich, ochrony mniejszości, pluralizmu, dialogu, kompromisu.

Niedawne badania CBOS pokazują, że rośnie akceptacja dla rozwiązań liberalnych szczególnie wśród ludzi młodych i wśród wykształconych. Jestem ciekawy badań przepływów głosów z KO do Konfederacji po socjalnym skręcie Donalda Tuska. Część komentatorów politycznych chwali lidera KO za „babciowe” i szybkie zaszachowanie Jarosława Kaczyńskiego „800+ subito!”. Ale inni wskazują, że Tusk oddaje w ten sposób swoich liberalnych gospodarczo wyborców Konfederacji. Jeszcze bardziej ciekawi mnie obraz polskiej sceny politycznej z liberalizmem pamiętającym o swojej genezie, ale rozwiniętym i rozumiejącym wyzwania czasu i miejsca.

Inflacja socjalnych obietnic jest skorelowana z inflacją prezesa NBP, a język obietnic stał się językiem całej klasy politycznej. Zmiana znaczenia języka i odwrócenie pojęć to również cecha ostatniej dekady. Potrzeba energii i odwagi, żeby liberalizm postawił na nogi oraz wykonać podstawowe zadania:

- Wysokiej jakości usługi publiczne, sprawna służba zdrowia, dostępne żłobki i przedszkola, brak białych plam na mapie komunikacji będą już nie tylko impulsem rozwojowym, ale również realną korzyścią mieszkańców mniejszych miast i wsi.

- Helikopterowe pieniądze z tarcz antykatastroficznych nie zasypią niepewności prawno-podatkowej przedsiębiorców.

- Mniejszości potrzebują ustawowych rozwiązań, dających im prawa nie rewolucyjne, ale równające je z europejską średnią.

Polski liberalizm jest mocno poturbowany i przyszło mu się mierzyć z trudnymi przeciwnikami. Chciałbym, żeby to wstydliwe słowo odzyskało swoje prawdziwe znaczenie. Wolności, która respektuje prawa innych, daje swobodę rozwoju i dba o słabszych, nie wypada się wstydzić. ■



Andriy Sacharow z żoną Jeleną Bonner po powrocie z zesłania do Moskwy, 1986 r.



Fizyk w 1948 r.

Dusza w atomie

Film „Oppenheimer” przybliży początki ery atomowej i zimnej wojny. Tym, którzy pamiętają PRL, przy tej okazji wyświetla się w głowach inny obraz – z **Andriejem Sacharowem**, radzieckim Oppenheimerem w roli głównej.

ADAM KRZEMIŃSKI

N

ie ma szans na to, by w Rosji Putina nakręcono trzygodzinny film o meandrach biografii Andrieja Sacharowa, ojca radzieckiej bomby wodorowej z 1958 r. i laureata Pokojowej Nagrody Nobla z 1975 r. Choć w latach 90. ukazały się jego „Wspomnienia” i świetna – niestety na polski nieprzetłumaczona – biografia

pióra Gennady’ego Gorelika, fizyka urodzonego we Lwowie, mieszkającego w USA. W najnowszym putinowskim podręczniku

o powojennej historii Rosji Sacharow jest wspomniany zaledwie w przypisie – bez uwagi, że zbudował bombę wodorową, był zesłany pod policyjnym nadzorem do Gorki (dziś Niżny Nowogród), a w czasach pierestrojki tuż przed śmiercią został posłem do Dumy.

Fizyk odludek

Całe życie (1921–89) spędził w ZSRR. Był typowym rosyjskim inteligentem. Ojciec fizyk, dziadek prawnik, pradziadek duchowny prawosławny. Andriy miał rodzinne parantele greckie, a po „duszy rodziny”, babce Marii Domuchowskiej, polskie. Sam przypisywał sobie „mongolskie oczy”. Uważał się za „człowieka



„Car bomba”, czyli radziecka bomba wodorowa, przetestowana w 1961 r.

radzieckiego”, ale zarazem czuł się „obywatelem świata”. Choć na Zachód – do USA, Francji – po raz pierwszy wyjechał dopiero na krótko przed śmiercią.

Niezwykle zdolnego chłopca rodzice początkowo uczyli w domu, egzaminy zdawał eksternistycznie. Potrafił się wprawdzie wpisać w „kolektyw”, ale uchodził za odludka.

„Wielki terror” 1937 r. nie uderzył bezpośrednio w jego najbliższą rodzinę. Wspominał, że wrażenie wywarły na nim świętowane wtedy stalinowskie obchody stulecia śmierci Puszkina oraz przerażająca transmisja radiowa mowy Hitlera. Rok później 17-latek rozpoczął na uniwersytecie moskiewskim studia fizyki teoretycznej.

Rosyjska fizyka nie miała takiej światowej pozycji, jaką ugruntowały sobie matematyka z geometrią nieeuklidesową Nikołaja Łobaczewskiego czy chemia z Dmitrijem Mendelejewem. Radziecka atomistyka po 1917 r. powstawała niemal od zera, z tym że elita radzieckich fizyków miała jeszcze sprzed pierwszej wojny świetne kontakty ze światowymi badaczami – a także znakomitych organizatorów instytutów badawczych i studiów teoretycznych, jak choćby Lew Landau, Abram Joffe, Leonid Mandelsztam. W czasie „wielkiego terroru” to środowisko także przeżyło polowanie na czarownice – donosy, czystki i wyroki śmierci za rzekome szpiegostwo. W dodatku teoria względności – w III Rzeszy uważana za żydowski wymysł – była przez propagandę ZSRR traktowana równie podejrzliwie, jako „burżuazyjna” i sprzeczna z „naukowym” materializmem.

W środowisku fizyków nie brakowało oportunistów, ale jednak nie zostało ono podporządkowane ideologicznemu

doktrynerstwu. Gdy w 1938 r. Ottonowi Hahnowi udało się rozbić jądro atomu uranu, co otworzyło drogę do sztucznego wywołania reakcji łańcuchowej, w ZSRR nie brakowało fizyków, którzy dobrze wiedzieli, o co chodzi. Dowodem choćby przytoczone przez Gorelika zapiski Władimira Wiernadskiego z 1938 r., w których ten wybitny geochemik zestawiał hitleryzm ze stalinizmem, przewidując wybuch wojny. W sierpniu 1940 r., po decyzji KC w sprawie gromadzenia uranu, Wiernadski przypuszczał, że na zaoferowaną Stalinowi i Mołotowowi przez Hitlera wymianę informacji naukowych Ławrientij Beria albo sam pojechał do Berlina, albo wysłał tam komisję, która na szczęście wróciła z niczym. „Najwyraźniej tym razem nie starczyło na tragedię”. Poglądy Wiernadskiego były władzom znane. W 1905 r. zakładał liberalną Partię Konstytucyjno-Demokratyczną, w 1917 r. należał do rządu Kiereńskiego. Ale jako wybitny znawca surowców i zwolennik badań atomowych był zbyt cenny dla władz, toteż uhonorowany przez Wielką Radziecką Encyklopedię zmarł w 1945 r. śmiercią naturalną w wieku 82 lat.

Ojciec „car bomby”

O takich zapiskach bezpartyjny student Sacharow nie miał pojęcia. W czasie Wielkiego Terroru był nastolatkiem z głową w chmurach. We „Wspomnieniach” nie ukrywał, że pakt Ribbentrop-Mołotow w 1939 r., najazd na Polskę, kraje bałtyckie, Besarabię i Finlandię nie bardzo nim wstrząsnął, choć zajęcia z marksizmu-leninizmu odczuwał jako zakłamane. W 1941 r. zgłosił się do wojska, bo „nasza sprawa jest słuszna”, ale nie został przyjęty. W 1942 r. celująco skończył studia. I zaczął ►

► pracę jako technik i „racjonalizator” w zakładach zbrojeniowych. Po wojnie w ciągu dwóch lat zrobił doktorat z fizyki cząstek elementarnych. I w 1948 r., gdy w ZSRR narastała kolejna walka z „kosmopolityzmem”, wszedł do zespołu Igora Tamma, pracującego nad radziecką bombą wodorową.

I w marcu 1950 r. przeniósł się z Moskwy na 18 lat do zamkniętego miasta „Arzamas 16” niedaleko Gorki. Tuż po śmierci Stalina uzyskał habilitację i otrzymał Nagrodę Stalinowską, a trzy lata później Nagrodę Leninowską. Gdy w 1954 r. w USA Oppenheimer stracił dostęp do tajnych informacji za kontakty z komunistami, w ZSRR Sacharow w pełni korzystał z danych radzieckiego wywiadu. Niemniej jego klucz do bomby wodorowej nie jest podróbką. Wspólnie z Igorem Tammem opracowali rewolucyjną koncepcję taniej kontrolowanej reakcji termojądrowej: tzw. układ tokamakowy, który otworzył ZSRR drogę do „car bomby” o energii dziesięciokrotnie większej niż siła wszystkich bomb zrzuconych w czasie drugiej wojny światowej.

W 1956 r. Sacharow miał 35 lat i głowę już nie w chmurach. W „Arzamas 16” brał udział nie tylko w rozmowach z Berią, ale też widział „zeków”, więźniów z Gułagu. W 1955 r. był świadkiem aroganckiej decyzji jednego z generałów, w wyniku której w czasie nieudanej próby spłonęło 190 osób, w tym także generał. W 1956 r. przeczytał „tajną mowę” Chruszczowa o zbrodniach Stalina i ostrożnie wypytywał Tamma, co sądzi o nowym szefie partii. Zgniecenie węgierskiego powstania spowodowało lekkie zawirowanie w „atomowym miasteczku”. Matematyk Mikołaj Dmitriew nie krył się z krytyką i wyleciał z partii i z „projektu”. Bezpartyjny Sacharow został. W październiku 1961 r. przeprowadzono test „car bomby” – fala uderzeniowa po eksplozji trzykrotnie okrążyła kulę ziemską, co wywołało ogromne wrażenie po obu stronach żelaznej kurtyny.

Wcześniej, w kwietniu tego roku, Jurij Gagarin poleciał w kosmos, w sierpniu, po ucieczce trzech milionów ludzi z NRD, rozpoczęto budowę muru berlińskiego. Sacharow w tej fazie zimnej wojny nie był „wewnętrzny emigrantem” – radziecką bombę wodorową uważał za niezbędny wkład do równowagi sił i strachu. Jako fizyka pociągały go dalsze pomysły – w tym konstrukcja atomowej „car torpedy” zdolnej wywołać gigantyczne tsunami, które zniszczyłyby Nowy Jork. Jednak – jak sam przyznał we „Wspomnieniach” – akurat oficer marynarki, kontradmirał Piotr Fomin, z oburzeniem zareagował na taki „ludożerczy” pomysł...

Aktywista

Czterdziestoletni Sacharow stał się przeciwnikiem Edwarda Tellera, który w 1952 r. skonstruował amerykańską bombę wodorową, w 1954 r. zeznawał przeciwko Oppenheimerowi, a w 1958 r. w głośnej książce „Nasza nuklearna przyszłość” bronił moralnej zasadności wykorzystania broni jądrowej, bagatelizując jej skutki uboczne. Sacharow naiwnie uważał, że jego „car bomba” zatrzyma dalsze próby nuklearne. Tymczasem przeciwnie – na dobre rozkręciła wyścig. W 1962 r. w ZSRR i USA przeprowadzono ok. 200 podziemnych eksplozji atomowych, powodując bezprzykładne radioaktywne zanieczyszczenia. Wiedząc, że Chruszczow liczy się z jego zdaniem jako „ojca” radzieckiej superbomby, Sacharow nie tylko zasypał go memoriałami na rzecz ograniczenia zbrojeń, ale także publikował je w radzieckiej i zagranicznej prasie. Gorelik sugeruje, że Sacharow miał swój udział w zawarcu przez ZSRR i USA w sierpniu 1963 r. zakazu prób broni nuklearnej w powietrzu, kosmosie i pod wodą. Zakaz zadziałał, choć ulokowanie przez Chruszczowa jeszcze w październiku 1962 r. na Kubie rakiet atomowych postawiło świat na krawędzi wojny nuklearnej.

W ciągu następnego pięciolecia – końcówki ery Chruszczowa i początków breżniewowskiej stagnacji – Sacharow musiał wymyśleć siebie na nowo, twierdzi Gorelik. Kim być i czym się zająć. Kolejnymi bombami? Wrócić do fizyki teoretycznej? Zająć się jak Einstein kosmologią – pochodzeniem i kształtem wszechświata? Zagroženiami i szansami energii atomowej na tym świecie?

Lata 60. to czas konfrontacji Wschód–Zachód i zarazem początków odprężenia, a w ZSRR ożywienia rozbudzonego przez kilka zjawisk: „odwilż” po śmierci Stalina, destalinizację na XX Zjeździe KPZR, zwolnienie milionów więźniów Gułagu i rehabilitację pomordowanych. W 1962 r. ukazało się opowiadanie Aleksandra Solżenicyna o więźniu łagru „Jeden dzień Iwana Denisowicza”, ale od 1965 r. autor już był pod nadzorem KGB.

Eskalowała wojna wietnamska, rósł ruch antyatomowy na Zachodzie, a w Niemczech zachodnich kształtowała się nowa Ostpolitik. Szef węgierskiej partii z października 1956 r. Imre Nagy został wprawdzie skazany na śmierć i powieszony, ale jego następcą János Kádár zaczął reformy rynkowe i zarówno na Zachodzie, jak w krajach bloku toczyła się podskórna dyskusja o tym, na ile możliwa jest konwergencja przeciwstawnych ustrojów.

Zarazem wraz z upadkiem Chruszczowa w 1964 r. zaostrzyła się w ZSRR cenzura, co doprowadziło do powstania pierwszego samizdatu, a to z kolei do represji – w 1966 r. skazanie pisarzy Julija Daniela i Andrieja Sinjawskiego za „antyradziecką agitację” wywołało przejawy solidarności ze skazanymi.

Sacharow słał poufne listy do Biura Politycznego KC KPZR, ale jego artykuł napisany w 1967 r. na zamówienie „Litieraturnoj Gaziety”, popierający amerykańską inicjatywę wzajemnej rezygnacji z budowy drogiej i nieskutecznej tarczy antyrakietowej, nie ukazał się. Światy nie były symetryczne. Na Zachodzie fizycy publicznie uczestniczyli w sporach dotyczących strategii militarnej. W ZSRR fizycy mogli uczestniczyć najwyżej w propagandzie oficjalnego kursu kierownictwa.

Noblista

Sacharow się z tego wylał. W grudniu 1966 r. wziął po raz pierwszy udział w dorocznej opozycyjnej demonstracji pod pomnikiem Puszkina. A latem 1968 r., na miesiąc przed zgnieceniem Praskiej Wiosny przez czolgi Układu Warszawskiego, w „New York Timesie” ukazały się jego nawiązujące do drugiej części „Fausta” Goethego „Rozmyślenia o postępie, pokojowym współistnieniu i wolności intelektualnej”. Przekroczył Rubikon w momencie, gdy ikoną dysydentów był Solżenicyn. W samizdacie właśnie ukazał się jego „Krąg pierwszy” i „Odział chorych na raka”. A w 1970 r. otrzymał literacką Nagrodę Nobla. Gdy w 1973 r. na Zachodzie wydano „Archipelag Gułag” i „List do przywódców ZSRR”, pisarz został pozbawiony radzieckiego obywatelstwa i wywieziony do Republiki Federalnej. Przedtem poznali się osobiście i wzajemnie skomplementowali, co można uznać za swoiste przekazanie duchowego przywództwa w niezbyt licznym ruchu obywatelskiej opozycji, które w 1975 r. przypieczętowało przyznanie Sacharowowi Pokojowej Nagrody Nobla.

Gorelik wskazuje na istotne podobieństwa i różnice obu rosyjskich noblistów. Obaj mieli wykształcenie ściśle – Solżenicyn był matematykiem – ale przeciwstawne spojrzenie na świat i Rosję. Spotkali się w sierpniu 1968 r., kilka dni po wejściu radzieckich czołgów do Pragi, na dyspucie w prywatnym mieszkaniu. Solżenicyn skrytykował opublikowany na Zachodzie apel Sacharowa za to, że stawiał na konwergencję obu ustrojów i nazbyt przejmował się światowymi

– a więc „obcymi”, a nie rosyjskimi – problemami. Wytknął też fizykowi niedocenianie kwestii Gułagu i rozmiaru stalinowskich zbrodni.

To spotkanie odmieniło Sacharowa. W 1970 r. pojechał do Kaługi na proces dysydentów, poznał perfidię radzieckiego wymiaru sprawiedliwości. W 1974 r. opublikował na Zachodzie swoją odpowiedź na list Sołżenicyna do przywódców ZSRR, składając hołd dorobkowi pisarza. I niebawem przyznał też, że nie ma symetrii ustrojowej Wschód–Zachód, bo państwo radzieckie, „ze względu na swe poczucie misji i pęd do ekspansji, totalitarne represje wobec myślących inaczej oraz autorytarne struktury wykluczające jakąkolwiek publiczną kontrolę decyzji podejmowanych w polityce wewnętrznej i zewnętrznej”, przypomina „komórkę rakową”. Mimo to część radzieckich opozycjonistów z niechęcią przyjęła wiadomość, że budowniczy bomby wodorowej otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla. Dostał ją jednak nie za bombę, a za przestrzeganie przed nią – podobnie zresztą jak i w końcu Edward Teller w 1991 r. za „zmianę myślenia o pokoju na świecie”.

Dysydent

Sacharow za swą „zmianę myślenia” zapłacił utratą pracy, po proteście wobec radzieckiej wojny w Afganistanie zesłaniem w 1981 r. do Gorki, kilkakrotną konfiskatą przez KGB wspomnień spisywanych przez drugą żonę Jelenę Bonner. Do Moskwy wrócił w grudniu 1986 r. na fali pierestrojki, a rok później katastrofa w Czarnobylu potwierdziła jego nuklearne przestrogi.

Zapytany w 1988 r. przez rosyjskiego pisarza Aleksandra Adamowicza o radziecki „kompleks Oppenheimera” odpowie-

dział, że w ZSRR niczego podobnego nie odczuwano. Ale też nie zgodził się z kolportowanym w USA wizerunkiem Oppenheimera i Tellera, których naukowe ambicje popchnęły ku odmiennym obozom politycznym – Oppenheimera ku liberalnej lewicy, co uczyniło zeń poplecznika stalinowców, a Tellera ku prawicowym jastrzębiom. Obu cenili, uważając, że mieli rację. Oto teoria moralnej względności. Tragedią Oppenheimera był współudział w decyzji o rzuceniu bomby na Hiroszimę. Natomiast Tellera, który trafnie ocenił Stalina i niewiarygodność porozumień z ZSRR – dostarczenie amerykańskiej administracji argumentów do oskarżenia Oppenheimera.

Na krótko przed śmiercią w grudniu 1989 r. Sacharow stał się „niepraktykującym politykiem”. Był wiceprzewodniczącym Stowarzyszenia Memoriał, a od kwietnia 1989 r. – posłem do ostatniego radzieckiego parlamentu, gdzie zresztą odczuł granice głośności. W czasie jego krytycznych wystąpień Michaił Gorbaczow kilka razy z reprimendą wyłączał mikrofon.

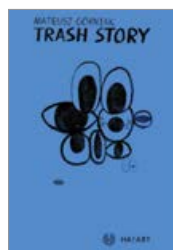
W co wierzył ten prawnik prawosławnego duchownego, wnuk prawnika i syn fizyka? Podobnie jak Einstein miał własny stosunek do metafizyki, łącząc ateizm ze swoistą religijnością. „Według mnie – zapisał odręcznie – Bóg ani nie stworzył świata, ani nim nie kieruje. Niemniej nie mogę sobie wyobrazić wszechświata bez jakiejś nadającej sensy zasady, bez źródła tego »ciepła duszy« poza materią i jej prawidłami”. Jelena Bonner, zdecydowana ateistka, zapytana przez Gorelika o głębsze rozumienie tego „ciepła duszy” przez Sacharowa, odpowiedziała: „Jakaż ja głupia, że go wtedy o to nie spytałam, przecież sama mu je wystukałam na maszynie”.

ADAM KRZEMIŃSKI

REKLAMA

Nike
Gazeta Wyborcza & Fundacja Agory
Nagroda Literacka

PLEBISCYT Nike Czytelników



Zagłosuj →

www.wyborcza.pl/nike

Na Wasze głosy i recenzje czekamy do niedzieli, 24 września

Do zdobycia voucher na wycieczkę o wartości 5 tys. zł

Laurka dla swoich

Jak wygląda jedynie słuszna wizja współczesnej historii Polski w podręczniku nie tylko dla młodzieży.



Żołnierze nadzorujący wysiedlanie wsi w Bieszczadach w 1947 r. O przymusowym przesiedlaniu Ukraińców w akcji „Wisła” autor podręcznika milczy.

GRZEGORZ MOTYKA

Po książkę Grzegorza Kucharczyka „Historia Polski 1914–2022. Nie tylko dla młodzieży” (Poznań 2022, s. 456) sięgnąłem przypadkiem, zwyczajowo przeglądając półki w księgarni. Gdy jednak nie znalazłem w niej nawet słowa o akcji „Wisła”, największej akcji represyjnej wymierzonej w ludność cywilną w powojennej Polsce, postanowiłem zapoznać się z nią bliżej. Autor jest utytułowanym pracownikiem nauki, więc tym bardziej dziwi, że spod jego pióra wyszło egzotyczne opracowanie, pełne uproszczeń, pominięć i pomyłek.

Podręcznikowi postawiłbym trzy istotne zarzuty. Pierwsze, co zwraca w nim uwagę, to dystans wobec mniejszości narodowych. Choć autor przyznaje, że Rzeczpospolita była od wieków państwem wielonarodowym, a w II RP członkowie mniejszości stanowili jedną trzecią wszystkich obywateli państwa, to od razu dodaje: „Nie wszyscy w obrębie tych społeczności witali z radością odrodzenie polskiej państwowości i nie wszyscy życzyli jej długiego trwania” (s. 91).

Potem właściwie jest już tylko gorzej: przedstawiciele mniejszości, jeśli się już pojawiają, to raczej w mało korzystnym świetle. Autor sporo pisze o zbrodni wołyńskiej, ulegając przy tym bezkrytycznie kresowej narracji i powiększając

rejestr zabitych przez UPA, lecz już polskich akcji zemsty czy powojennych przymusowych wysiedleń Ukraińców nie uważa za temat godny wzmianki. O wkładzie mniejszości narodowych do polskiej kultury i historii nie dowiadujemy się faktycznie niczego.

Stanowisko Kucharczyka może najlepiej można dostrzec w partiach tekstu dotyczących mniejszości żydowskiej. Zagłada trzech milionów polskich Żydów została pokazana w rozdziale „Heroizm czasu bestialstwa. Polska pomoc dla żydowskich ofiar niemieckiego ludobójstwa”. Już z samego tytułu widać, że Holokaust stanowi dla autora ledwo tło dla pokazania poświęcenia nielicznych Sprawiedliwych niosących ratunek Żydom. Spośród

około tysiąca osób, które, jak się szacuje, poniosły śmierć za udzielanie pomocy żydowskiemu zbiegom, Kucharczyk przedstawia aż sześć rodzin (36 osób) z nazwiska. To oczywiście dobrze, że możemy poznać tożsamość tych bohaterkich ludzi. Ale dlaczego nie wymieniono nazwiska żadnej z trzech milionów zamordowanych osób? Choćby Janusza Korczaka czy Mordechaja Anielewicza, przywódcy powstania w getcie... W rozdziale pojawia się nazwisko tylko jednego żydowskiego działacza – posła Bundu Szmula Zygielbojma. Kucharczyk instrumentalnie wspomina o nim, ponieważ ten popełnił w Londynie samobójstwo w proteście przeciwko bierności aliantów wobec Zagłady.

W tym kontekście nie jest zaskoczeniem, że kiedy mowa o wsparciu udzielonym przez część Żydów władzom komunistycznym, sytuacja wygląda zgoła odwrotnie. Autor mocno podkreśla, iż w „aparacie terroru i w Ludowym Wojsku Polskim” stanowiska kierownicze przejęli ludzie pochodzenia żydowskiego oraz Sowieci. Inaczej niż w wypadku ofiar Holokaustu oficerów UB chętnie przedstawia. Poznajemy więc pochodzenie etniczne Józefa Różańskiego, Józefa Świątły i Julii Brystygierowej. Kucharczyk tak się przy tym zapędził, iż „zdemaskował” jako Żyda ministra bezpieczeństwa publicznego Stanisława Radkiewicza, choć w rzeczywistości pochodził on z katolickiej chłopskiej rodziny. By się o tym dowiedzieć, wystarczy chwilę poszperać w internecie.

Tu dotykamy drugiej charakterystycznej cechy książki – co chwila znajdujemy w niej błędy. I tak, Petlura miał na imię Symon, a nie Semen. Większość ofiar zamordowanych przez NKWD w więzieniu we Lwowie w czerwcu 1941 r. to nie polska inteligencja, lecz ukraińscy nacjonaliści (grupę polskich profesorów rozstrzelało dopiero parę dni później komando SS). Gen. Mosze Dajan nie był sierżantem w armii Andersa (s. 267). Autor najwyraźniej myli go z Menachemem Beginem.

Na 145. stronie książki nieoczekiwanie czytamy, iż profesorowie UJ i innych uczelni „systematycznie wywożeni byli do obozów zagłady”. Tam też rzekomo trafili niemieccy komuniści wydani przez Stalina. Z tych słów można odnieść wrażenie, że Kucharczyk nie dostrzega różnicy między obozami zagłady a koncentracyjnymi (lub przynajmniej tak o nich pisze, że nierozeznany czytelnik nie będzie potrafił ich rozróżnić). Przypomnijmy, w obozach zagłady, funkcjonujących



Wisława Szymborska pojawia się w książce jako „autor peanów na cześć ludobójcy” Stalina.



Szmula Zygielbojm jest jedynym żydowskim działaczem wymienionym z nazwiska w kontekście Zagłady. Kucharczyk instrumentalnie wspomina o nim, ponieważ ten popełnił w Londynie samobójstwo w proteście przeciwko bierności aliantów.

od jesieni 1941 r. (np. w Chełmnie nad Nerem), ludzie byli zabijani natychmiast po przyjeździe w komorach gazowych. Sprawcy przy życiu utrzymywali tylko przez krótki czas personel pomocniczy. Natomiast obozy koncentracyjne służyły do izolowania i wykorzystywania więźniów do niewolniczej pracy. Choć śmierć także w nich zbierała obfite żniwo, to jednak istniała szansa na przeżycie.

Licznym błędem rzecowym towarzyszącą wręcz brawurowe interpretacje wydarzeń. Moja ulubiona została ujęta w formie otwartego pytania zadanego na stronie 312: „Czy gen. Jaruzelski odważyłby się wprowadzić stan wojenny, gdyby żył Prymas Tysiąclecia?”. Podejmując żartobliwą konwencję Kucharczyka, pozwolę

sobie zwrócić uwagę, że po antywojtyliańskim przedstawieniu mniejszości narodowych to już kolejny afront autora wobec papieża Jana Pawła II – bo przecież jego Jaruzelski się nie przestraszył...

Jeden z rozdziałów nosi tytuł „Zapomniana insurekcja. Powojenne powstanie niezłomnych”. Jednak do tego rzekomo „najmniej poznanego” powstańczego zrywu nigdy nie doszło. Po wojnie mieliśmy do czynienia z żywiołowym ruchem partyzanckim o różnych odcieniach politycznych, lecz nie przybrał on charakteru insurekcji. Tego typu interpretacje nie mają oparcia w faktach, wystarczy przejrzeć bogatą literaturę przedmiotu. Co ciekawe, Kucharczyk opisując walkę żołnierzy wykłębnych, chętnie uderza w patriotyczne nuty, jednak milczy o zamordowaniu przez Sowieców w lipcu 1945 r. prawie 600 Polaków w trakcie oblawy augustowskiej. Tymczasem była to największa w Europie egzekucja pomiędzy końcem drugiej wojny światowej a wojną na Bałkanach w latach 90. XX w., nie możemy więc o wydarzeniu o charakterze lokalnym. Na milczeniu o nim korzysta dziś tylko putinowska Rosja.

Jak łatwo się domyślić, w książce nie znajdziemy też nic o zbrodniach podziemia narodowego wobec mniejszości narodowych. Takie akty przemocy narodowych partyzantów, jak zabicie prawie 200 cywilnych Ukraińców przez Narodowe Siły Zbrojne w Wierchowinach, zostają zamknięte w gładkim sformułowaniu, iż „nie byli oni legionem świętych”. Na podobną moralną amnestię nie zasłużyła już jednak „przyszła noblistka” Wisława Szymborska, która dwukrotnie pojawia się w książce jako „autor peanów na cześć ludobójcy” Stalina (s. 227).

Takie stosowanie odmiennych standardów dla „swoich” i „onych” jest trzecią widoczną wadą pracy Kucharczyka. Im bliżej współczesności, tym bardziej w książce widać bezkrytyczny zachwyty nad jedynie słuszną wizją świata rządzonego przez Prawo i Sprawiedliwość. „Pro PiS” autora jest tak daleko idący, że jakkolwiek merytoryczna polemika z nim traci w tym miejscu sens. Można tylko zadumać się nad ponadczasowością cytowanej w podręczniku refleksji kardynała Stefana Wyszyńskiego, w której przestrzegał on przed „przygotowującym grunt pod relatywizm” oportunistycznym wobec rządzącej partii.

Autor jest historykiem i politologiem, wybranym przez Senat RP członkiem Kolegium IPN. Ostatnio wydał książkę „Akcja »Wisła« 47”.



na ekranie

To, co niepojęte 5/6

Saint Omer, reż. Alice Diop,
prod. Francja, 122 min

Wtym pozornie typowym dramacie sądowym przedstawiającym proces niespełna trzydziestoletniej kobiety pochodzącej z Senegalu, przyznającej się do porzucenia swojej 15-miesięcznej córki na plaży, co przyczyniło się do jej śmierci, nic nie jest oczywiste. A już na pewno nie to, co od samego początku wydaje się bezdyskusyjne, godne

potępienia i moralnej odrazy, czyli akt dzieciobójstwa. Wychodząc od hańby i skrajnego upokorzenia czarnoskórej bohaterki, autorka filmu krok po kroku odsłania okoliczności tragedii, za którą nikt personalnie nie chce wziąć odpowiedzialności. Matka dziewczynki przyznaje, że zabiła, ale nie rozumie swojego zachowania i ma nadzieję, że sąd je wyjaśni. Alice Diop w wyjątkowy sposób, łącząc paradoksalną obserwację z mitem o Medei i anatomią alienacji opisaną przez Camusa w „Obcym”, przeciwstawia wizję morderstwa popełnionego w afekcie zbrodni kulturowej. Zabija jednostka, konkretny człowiek, lecz winą należałoby obarczyć w równym, a nawet większym stopniu obojętne społeczeństwo skazujące takich imigrantów jak ona na bycie niewidocznym, na życie na marginesie, w pustce, bez szans na psychologiczną pomoc i empatię.

To nie jest film z polityczną tezą. Francuzka wykorzystuje siłę filmowej narracji do sublimacji rzeczywistości. Szok przemocy zamienia w liryczną, polifoniczną pieśń o powtarzalności losu kobiet szukających w Europie bezpieczeństwa i azylu, w których narasta poczucie wykorzenienia, izolacji, opuszczenia, niedopasowania (proces śledzimy oczami pisarki Ramy – w tej roli **Kayije Kagame**). Żeby jednak przybliżyć się do zrozumienia tego, co niepojęte, trzeba wyłuskać między słowami to, czego nie potrafią wyraźnie wyartykułować wszystkie strony dramatu. I to być może wydaje się najcenniejsze w tym dojrzałym, głębokim, wstrząsającym i niejednoznacznym dziele wybitnej dokumentalistki (miała niedawno przegład swojej twórczości na Nowych Horyzontach), spektakularnie debiutującej w pełnometrażowej fabule.

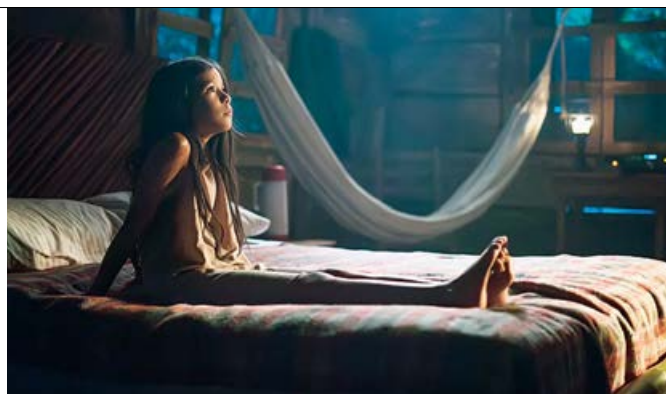
JANUSZ WRÓBLEWSKI

na ekranie

Oreż krucjaty 3/6

Sound of Freedom. Dźwięk wolności, reż. Alejandro Monteverde,
prod. USA, Meksyk, Kolumbia, 122 min

WAmerycie film „Sound of Freedom” zarobił w kinach więcej niż nowe odsłony przygód Indiany Jonesa i Ethana Hunta, zwracając koszty produkcji przeszło dziesięciokrotnie. I choć wszedł na ekrany z pięcioletnim poślizgiem (powstał w 2018 r.), wywołał polityczną burzę. Film stał się oreżem w krucjacie amerykańskiej altprawicy walczącej z „lewicową kliką”, oskarżaną o pedofilsko-satanistyczny spisek polegający na handlu i wykorzystywaniu seksualnym dzieci. Historię opartą na biografii Timothy’ego Ballarda, mormona z Utah, agenta Departamentu Bezpieczeństwa Kraju zajmującego się faktycznie rozpracowywaniem siatek pedofilów, zrealizowali żarliwi konserwatyści. Jim Caviezel, który zagrał Jezusa w „Pasji”, a tu ewangelistę ścigającego międzynarodowy gang, Mira Sorvino, jego filmowa żona, Mel Gibson, współproducent, oraz reżyser Meksykanin Alejandro



Monteverde – wszyscy ochoczo wzięli udział w akcji marketingowej sugerującej, że elity oraz Hollywood, uniemożliwiając wcześniejszą premierę, starają się coś ukryć („to historia, której lewica nie chce, żebyście słyszeli”). Chociaż film był gotowy, zanim świat dowiedział się o szaleństwach ekstremistycznego ruchu QAnon, i nie zawiera teorii spiskowych, to właśnie ta otoczka sprawia, że choć zrealizowany w słusznej sprawie („dzieci bożych się nie sprzedaje”), teraz musi się mierzyć z zarzutami siania skrajnie prawicowej propagandy. JW

w telewizji

Duch mangi 5/6

One Piece, twórcy serii: Matt Owens i Steven Maeda, 8 odc., Netflix



Komiksowy oryginał „One Piece” należy (obok „Naruto” i „Bleach”) do „wielkiej trójcy shonen manga”, gatunku kierowanego do dorastających chłopaków, a co za tym idzie – pełnego przygód, fantazji i nauczek życiowych o sile przyjaźni, wytrwałości i zwycięstwie. Jest więc wątek awanturniczy – poszukiwanie tytułowego pirackiego skarbu, który jest obsesją młodzieńca zwanego Monkey D. Luffy. Postanawia on zebrać załogę (przyjaźni!), odnaleźć skarb (wytrwałość!) i dzięki temu zostać królem piratów (zwycięstwo!). Świata z mangi daleko do „Piratów z Karaibów”, to fantastyczna kraina, w której mieszają się style i epoki. Twórcy adaptacji nie próbowali na siłę jej urealnaczyć, wręcz przeciwnie, zachowali wszelkie

dziwactwa (telefony-ślimaki czy szermierz z kataną w zębach to najmniejsze z nich), a także mieszankę humoru i melodramatu. Prace nad produkcją były nadzorowane przez Eiichirō Ode, autora oryginalnej mangi. Serial jest doskonałą okazją, żeby poznać fascynujący świat „One Piece” – wychodząca od 1997 r. manga może przerażać liczbą tomów (106), anime dawno przekroczyło tysiąc odcinków. Zręczne skompresowanie wątków i pozbycie się mniej ważnych postaci sprawiło, że osiem odcinków odpowiada 95 rozdziałom oryginału i 44 epizodom anime. Siłą serialu jest idealny casting – wrażeńie robi zwłaszcza **Iñaki Godoy**, który urodził się dla roli Luffy’ego. Pozostaje mieć nadzieję, że wnioski z sukcesu „One Piece” wyciągną inni twórcy innych serialowych adaptacji, nie tylko mangi i anime.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

Szeryf powraca 4/6

Justified: Miasto strachu, twórcy serii: Dave Andron i Michael Dinner, 8 odc., Disney+

Od finału sześciosezonowej serii „Justified: Bez przebaczenia” minęło osiem lat, a w ramach serialowej akcji – aż 15. Szeryf federalny Rylan Givens (**Timothy Olyphant**) zamienił prowincjonalne, rodzinne Kentucky na metropolitarne Miami, stara się być ojcem dla 15-letniej córki (granej przez córkę Olyphanta), a na swój widok zdarza mu się usłyszeć żarty o „Yellowstone”. Poza tym



jednak niewiele się zmieniło: wraca kowbojska stylówka, moralny kompas i staromodne maniery szeryfa. Wraca też morderczy psychopata w roli wroga – tym razem to grasujący po Detroit Dzikus z Oklahomy (Boyd Holbrook), morderca, złodziej i meloman. Seria „Justified” cieszy się uznaniem jako świetna (w najlepszych sezonach) rozrywka: z dobrym tempem, interesująco skonstruowanymi bohaterami i błyskotliwymi dialogami. Kontynuacja nie dorównuje oryginałowi – w ekipie nie ma showrunnera oryginału Grahama Yosta, za nowe odcinki odpowiadają ówczesni scenarzyści – ale też nie ustępuje wielu serialom ze średniej półki w dziale sensacja i kryminał. Eksplorowany dziś w wielu filmach i serialach wątek relacji ojców i nastoletnich córek jest tu prowadzony sztywno i na szczęście szybko zarzucony. Pozostaje amerykański schemat: prawy i dość anachroniczny szeryf kontra zdeprawowany przestępca w równie zdeprawowanym mieście, plus kilka ciekawszych postaci obok, jak prawniczka Carolyn Wilder (Aunjanue Ellis) i właściciel baru Marcus „Sweetie” Sweeton (Vondie Curtis-Hall).

ANETA KYZIOŁ

w galerii

Nie tylko Gapiszon 4/6

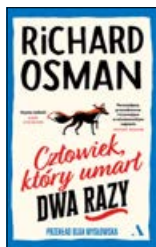
Butenko dla małych i dużych, Muzeum Karykatury, Warszawa, do 29 października

Zgodnie z zapowiedziami Muzeum Karykatury od września wymieniło część prezentowanych prac Bohdana Butenki i ruszyła jesienna odsłona retrospektywnej wystawy zmarłego cztery lata temu rysownika. Zmiana to na pozór kosmetyczna – układ ekspozycji pozostał taki sam – a jednak oznacza szansę obejrzenia kolejnych kilku dziesiątek prac. I być może odkrycia go na nowo: choć wystawie patronuje komiksowy Gapiszon, spora część grafik powstawała z myślą o dojrzałych odbiorcach. Stąd zresztą ukryty już w tytule pomysł wystawienniczy: rysunki pokazywane są w dwóch



równoległych rzędach, „dorosłe” na poziomie wzroku starszych odbiorców, te dziecięce – nieco niżej, tak, by kilkulatkowie mogli im się swobodnie przyglądać. Butenko daje się więc poznać nie tylko jako twórca niezapomnianych komiksów publikowanych na łamach „Misia”, lecz również jako błyskotliwy satyryk, nieco frywolny, rzadziej zaskakująco poważny. Jego rysunki tworzone m.in. do „Szpilek” cechuje ta sama empatia i ciepło, co prace dla dzieci. Najciekawsza wydaje się jednak część ekspozycji, która w telegraficznym skrócie podsumowuje pracę Butenki jako ilustratora, scenografa, projektanta książek. Część pokazanych na wystawie propozycji wydawniczych niestety nigdy nie trafiła do druku, a wiele z nich pokazuje zupełnie inne, także realistyczne, oblicza twórczości artysty. Twórcza „Gucia i Cezara” publikował dużo i często, wystawa w Muzeum Karykatury nie jest więc w stanie wyczerpać tematu, może wydawać się powierzchowna, bo każdy z widzów (przynajmniej tych starszych) przyjdzie na nią z własnym zestawem wspomnień i wyobrażeń. Jednocześnie nostalgia pozwala podnieść ostateczną ocenę przynajmniej o jedno oczko do góry.

JAKUB DEMIAŃCZUK

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Przy ciasteczkach o diamentach 4/6

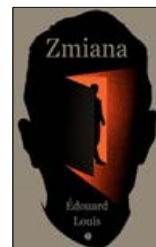
Richard Osman, **Człowiek, który umarł dwa razy**, przeł. Olga Mysłowska, Agora, Warszawa 2023, s. 456

Popularność nurtu *cosy crime* na świecie to w dużej mierze sukces trylogii Richarda Osmana, brytyjskiego prezentera telewizyjnego i komika. Sprzedano już osiem milionów egzemplarzy serii, którą zapoczątkował „Czwartkowy Klub Zbrodni”. Teraz w Polsce ukazał się tom drugi, czyli „Człowiek, który umarł dwa razy”. Skąd ten sukces? Być może jego źródło tkwi w dobrze bohaterów i umiejętnym zrównoważeniu cienia zbrodni sporą dawką humoru. Bohaterami jest bowiem czwórka emerytów z luksusowego osiedla dla seniorów. To oni zakładają sobie Czwartkowy Klub Zbrodni, żeby się trochę rozerwać. Podstawową sprawą jest dedukcja. Znakomicie radzi sobie z tym Elizabeth, emerytowana agentka wywiadu brytyjskiego, ale i inni dają radę.



A jednocześnie chrupią ciasteczka, zapadają w drzemki, a niektórzy walczą z demencją. Ciastem można wiele zdziałać, jak w scenie, kiedy policjant wciśnięty w kanapę daje się wciągnąć w rozmowę niby o ciasteczkach, a w rzeczywistości o zbrodni. Tom drugi zaczyna się spektakularnie – Elizabeth dostaje list od trupa, a cała sprawa toczy się wokół diamentów. Miło się czyta o takiej starości, żywej intelektualnie, spędzanej w gronie przyjaciół, no i przede wszystkim wolnej od trosk finansowych. Staruszkowie wsiadają w samolot i tropią podejrzanych, a to na Cyprze, a to w Holandii. Cóż, zupełnie inaczej wygląda (w większości) emerytura w Polsce, nie mówiąc o ośrodkach dla seniorów. Trudno też o tym nie myśleć w trakcie lektury.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Wejście do burżuazji 5/6

Édouard Louis, **Zmiana**, przeł. Joanna Polachowska, Pauza, Warszawa 2023, s. 282

W swojej najnowszej powieści, podobnie jak we wszystkich poprzednich, Louis rozlicza się z przeszłością. Tym razem jednak to sam siebie bierze na cel. Podobny jest też tu poziom okrucieństwa i precyzja zbliżenia: tak samo jak traktował rodziców, tak teraz opisuje własną przemianę, wyjście z nizin społecznych, szkoły w Amiens, wyjazd do Paryża. W jego przypadku nie były to jednak naturalne fazy młodości, ale precyzyjnie wyreżyserowany proces, napędzany skrajnym gniewem. Louis jest tu ambitny, wyrachowany, zdeteminowany, żeby zmienić nie tylko wygląd (uzębienie, wagę, linię włosów, strój), ale też obycie – uczy się jeść nożem i widelcem, zmienia akcent. Gdyby ta książka nie była przerażająca, byłaby śmieszna: koszty, jakie ponosi Louis, są olbrzymie, stawka, o którą gra – jeszcze wyższa. Ucieczka z nizin społecznych napędzana pragnieniem zemsty nie ma bowiem końca. Najpierw wydaje mu się, że szkoła średnia w Amiens to koniec drogi. Gdy jednak tam dociera, szybko okazuje się, że można pójść jeszcze dalej, że klasa średnia z Amiens nie umywa się do środowiska intelektualnych Paryża. Śmieszna jest fascynacja klasą średnią, zachłyśnięcie jej bogactwem. Louis zresztą ustawia swoją perspektywę tak, byśmy nie zobaczyli w bogaczach, z którymi się spotyka, ludzi, ale tylko reprezentantów pozycji społecznej. Zindywidualizowanie przysługuje wyłącznie jego najbliższemu przyjacielom. To jednak jedyny jego dowód sympatii, wykorzystuje bowiem wszystkich: i swoich kochanków, i przyjaciół, i Didiera Eribona, swojego pierwszego mistrza. „Zmiana” pokazuje awans społeczny w robocie – ślepe przywiązanie do tej klasy, do której chce się wejść. Zza niego widać jednak absolutną pustkę tej grupy i na połączeniu obu tych sprzecznych wektorów polega mistrzostwo Louisa.

PAULINA MAŁOCHLEB



Upiory przemocy 5/6

Sebastian Barry, **Tysiąc księżyków**, przeł. Krzysztof Cieślík, ArtRage, Warszawa 2023, s. 224

Ta powieść wybitnego irlandzkiego pisarza jest kontynuacją znanych w Polsce „Dni bez końca”, ale zarazem książką bardzo autonomiczną. Obie dają sporo satysfakcji. Thomas McNulty, który był przewodnikiem pierwszej części cyklu, tutaj oddaje głos Winonie, przysposobionej przez niego i Johna Cole’a młodziutkiej

członkini plemienia Lakotów. Jej krewini zostali zamordowani, jej pewnie groziło to samo. I grozi nadal – „obcych” zdradza akcent, kolor skóry, w Paris (w stanie Tennessee), gdzie mieszkają, wciąż można oberwać. Zresztą „zabicie Indianina nie było przestępstwem, bo Indianin nie był niczym szczególnym”. Winona doświadcza i okrucieństwa, i miłości. Historia opowiedziana jej językiem – dziecięcym, niewinnym, czasem koślawym i beznamietnym – w pełni oddaje groźbę ludobójczych wspomnień i traum, żal za utraconym dzieciństwem, w końcu żądę zemsty. Sebastian Barry znakomicie portretuje Amerykę czasów wojny secesyjnej. Powieść przypomina zaś momentami pełnokrwisty kryminał. Autor nie ulega konwencji, bywa tu nawet nienachalnie zabawny. Ale to w gruncie rzeczy książka o przemocy, rozliczeniach, rasizmie, które mają tę samą naturę niezależnie od dziejowego kontekstu. I o miłości, która nie przynosi może odkupienia, ale nie zostawia bez nadziei. Skromny format, wielka powieść.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Gwiazdne atrakcje 5/6

Starfield, Bethesda Game Studios, Bethesda Softworks, Windows, Xbox Series X/S

Jest XXIV w. Ludzkość, po opuszczeniu umierającej Ziemi, rozproszyła się po kosmicznych koloniach. Członkowie elitarniej organizacji odkrywców zwanej Konstelacją – w tym gracz – przemierzają Drogę Mleczną, szukając cechujących się niezwyklejmi właściwościami artefaktów obcej cywilizacji. Wszystko wskazuje na to, że są to pasujące do siebie części urządzenia o nieznanym przeznaczeniu. „Starfield” to pierwsza od niemal trzech dekad całkowicie nowa gra autorstwa Bethesdy, niebędąca kontynuacją przygody w już zdefiniowanym świecie. A mimo to była oczekiwana przez miłośników twórczości tego studia jako „Skyrim” w kosmosie. Owszem, podobieństw do „Skyrima”, jak i wcześniejszej gry z cyklu „The Elder Scrolls” – „Morrowind” – jest sporo. Czeka na nas wielki świat, który możemy przemierzać stosunkowo swobodnie. Nawet gdybyśmy



zignorowali główny wątek fabularny, atrakcji nie brakuje. Czeka na nas na Drodze Mlecznej kilkadziesiąt układów gwiazdnych z ponad tysiącem planet, nie licząc ich księżyców i innych obiektów w kosmicznej próżni, które można odwiedzić. Bethesda z dumą podkreśla, że to największe uniwersum, jakie dotąd stworzyła, i największa gra fabularna SF w historii. Nawet jeśli to tylko marketingowa hiperbola, faktem jest, że w „Starfield” co chwila odkrywamy nowe możliwości prowadzenia rozgrywki, których dotąd nie byliśmy świadomi. Po wielu kosmicznych

bitwach zauważyłem, że można podjąć próbę przejścia wrogiego okrętu abordażem, zamiast go po prostu rozstrzelać z laserów, działek i wyrzutni rakiet. Zdobyta przypadkiem, zdawałoby się błaha wskazówka, którą łatwo zignorować, może się okazać początkiem wielkiej przygody, z angażującą fabułą i cenną nagrodą na końcu. „Starfield” ma typowe dla produkcji tego studia wady: bywa niekiedy uderzająco szpetny – choć są i scenerie przyprawiające swym pięknem o zachwyt – toporny, a nawet archaiczny na poziomie niektórych mechanik rozgrywki, ale i tak jest bodaj najlepszą grą Bethesda.

OLAF SZEWCZYK



festiwale

Koncerty i niekoncerty

66. Warszawska Jesień, Warszawa, 15–23 września

Temat tegorocznej Warszawskiej Jesieni to szeroko rozumiane „rzeczy brzmiące”. Koncerty nie całkiem typowe, nawet inauguracja będzie wędrówką po Filharmonii Narodowej od wydarzenia do wydarzenia. Nowymi miejscami, gdzie pojawią się muzyczne instalacje, będzie Pałac Czapskich (gmach ASP) i Fort Sokolnickiego na Żoliborzu. Ale będą i tradycyjne koncerty, ze szczególnym naciskiem na kilkoro kompozytorów: Bernharda Langa (m.in. utwór zamówiony przez festiwal i IAM na 80. rocznicę powstania w getcie warszawskim), Chayi Czernowin, Sky Mackay, Yannis Kyriakidesa, Hansa van Koolwijk i muzykę irańską z kompozytorką Fozié Majd na czele (w sumie 35 kompozytorów i 46 kompozytorek). Wśród zespołów Filharmonia Narodowa, Sinfonia Varsovia, AUKSO, Klangforum Wien, Hashtag Ensemble, Spółdzielnia Muzyczna i European Workshop for Contemporary Music, obchodzący 20-lecie. Będzie też Warszawska Jesień Klubowo oraz Mała Warszawska Jesień, w której ramach m.in. premiery paraopery hologramowej „Uśmiech bez kota” Agaty Zubel i spektaklu muzycznego „Tajemniczy ogród” z muzyką Wojciecha Błajczyka. DS



Szczegóły: warszawska-jesien.art.pl

Mali spotyka Portugalię

Skrzyżowanie Kultur, Warszawa, Teatr Dramatyczny, 15–17 września

To już 19. edycja stołecznego festiwalu muzyki świata i przyciągać będzie w pierwszej kolejności gitarową siłą afrykańskiego bluesa. Vieux Farka Touré to kontynuator tradycji zapoczątkowanej przez legendarnego ojca – Ali Farka Touré był zdobywcą Grammy i jednym z bohaterów dokumentu Martina Scorsese o historii bluesa „Feels Like Going Home”. Syn nie boi się muzyki malijskiej unowocześniać. W Warszawie wystąpi podczas jednego wieczoru z tuareską formacją Tamikrest, której korzenie są podobne, ale ukształtowana na północy Mali estetyka nieco mocniejsza, bardziej rockowa, choć ciągle stricte saharyjska. Program imprezy uzupełnią anatolijsko-kaukaskie A.G.A Trio, gruziński chór Iberi, a całość zamknie w niedzielę wieczór portugalski. Owszem, Emilio Moret to ważna postać współczesnej sceny kubańskiej, wokalista słynnego Sexteto Habanero, ale w solowej twórczości potrafi łączyć son cubano właśnie z inspiracjami muzyką z Portugalii (gdzie występował regularnie). A 30-letnia Sara Correia to gwiazda nowej generacji fado z Lizbony. Dołączą do 250 wykonawców z sześciu kontynentów, których można było dotąd na Skrzyżowaniu Kultur usłyszeć. BCH



Szczegóły: estrada.com.pl/skrzyzowanie_kultur



J Memy problem

Memy zawracają już dawnych na powrót do kin. Myśl, że

BARTEK CHACIŃSKI

Jednym z bohaterów festiwalowego lata był Rick Astley ¹. 57-latek po raz pierwszy w życiu wyszedł na scenę Glastonbury, największej muzycznej imprezy w Wielkiej Brytanii, spełniając swoje marzenie i gromadząc tłum jak na skwarne warunki wręcz absurdalny. To była zabawa trochę w stylu karaoke. Starsi i młodzi śpiewali największy przebój Anglika „Never Gonna Give You Up” (nomen omen: „Nigdy cię nie porzucę”), a ochroniarze tańczyli układ choreograficzny. Jakby tego było mało, kilka godzin później ten sam Astley wykonał z zespołem cały koncert przebojów The Smiths – grupy od dawna nieaktywnej, a dla Brytyjczyków mającej status świętości narodowej. Przyjęcie było dobre, a gwiazdora utożsamianego w czasach The Smiths z plastikowym rynkiem popu i w tej roli publiczność kupiła bez zastrzeżeń.

Pytanie, co się stało, ciśnie się na usta tym wszystkim, którzy nigdy nie zostali „zrobieni w Ricka”, czyli nie dostali wiadomości z linkiem – dajmy na to: „zobaczcie film, który zmieni oblicze kampanii wyborczej” – a po kliknięciu nie zostali przeniesieni





na stronę z wideoklipem „Never Gonna Give You Up”. Mem z tą niewinną formą oszustwa, zwany od imienia Astleya „Rickrolled”, krąży w sieci od kilkunastu lat, a wśród milionów osób, które dały się nań nabrać, był oczywiście i sam bohater. Został „zrickrollowany” przez znajomego. Sam nie wiedział, co jest grane, tym bardziej że przez kilkanaście lat trzymał się z dala od sceny. Bo Astley to jeden z rzadkich przypadków, gdy gwiazda po wielkich sukcesach wycofała się na łono rodziny, a wróciła niemal dokładnie w momencie, gdy stała się memem. Efekt był taki, że w 2008 r., gdy MTV Europe ogłosiła plebiscyt na Najlepszego Wykonawcę Wszech Czasów, internauci oddali na niego 100 mln głosów, dzięki czemu z gigantyczną przewagą wygrał m.in. z The Beatles czy U2. Droga do wielkiego come backu i tegorocznego występu na Glastonbury usłana była memami.

Mem był w kulturze obecny od zawsze. Zanim jeszcze się dowiedzieliśmy, że Richard Dawkins go nazwał i opisał (jako replikator informacji kulturowych, na wzór genu, replikatora informacji biologicznych), zanim internet wypełniły śmieszne obrazki z podpisami, pół Polski odtwarzało już sceny z filmów Stanisława Barei. Choćby cytowane w rozmowach dialogi z „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz” (tylko o dwa lata młodszego niż książka „Samolubny gen” Dawkinsa, wydana w 1976 r.). „Pan tu nie stał...” i „Śniadanie jem na kolację...”, gdyby nie były scenami z polskiej komedii, mogłyby być gotowymi internetowymi pastami, memami tekstowymi. I tak jak molierowski pan Jourdain nie wiedział, że mówi prozą, tak my nie wiedzieliśmy, że posługujemy się memami. Czyli odnośnikami do jakichś rozpoznawalnych myśli, symboli, obrazów. Bo Dawkins ujmował rzecz szeroko: „Przykładami memów są melodie, idee, obiegowe zwroty, fasony ubrań, sposoby lepienia garnków lub budowania łuków”.

W masowym, internetowym wydaniu zetknęliśmy się z tym zjawiskiem na początku wieku, kiedy to – jak opisuje Michał R. Wiśniewski w książce „Wszyscy jesteśmy cyborgami” – „jak grzyby po deszczu wyrastały strony zbierające memy, śmieszne obrazki czy animacje”. Pół internetu przysyłało więc sobie „lolcaty” (zdjęcia kotów z zabawnymi podpisami), a drugie pół zajmowało się kolportowaniem fantastycznych doniesień na temat aktora B-klasowego kina Chucka Norrisa i jego potężnego kopniaka z półobrotu. Stąd w okolicach zimy 2006 r. z dość absurdalnych powodów Norris był sławniejszy od dowolnego chodzącego po ziemi aktora – co potwierdzają statystyki Google z tego okresu.

Dzisiaj jest oczywiste, że są aktorzy mniej i bardziej memiczni, a obecność w memach pomaga. Kadr z Leonardem Di Caprio wznoszącym toast jest bardziej znany niż film „Wielki Gatsby” Baza Luhrmanna, bynajmniej nie najważniejszy w dorobku aktora. A animacja z rozglądającym się niepewnie Johnem Travoltą z „Pulp Fiction” przyciąga do filmu Tarantino (skądinąd reżysera o niezwykłym potencjale w memosferze) kolejne pokolenie.

Podobnie oczywiste wydaje się to, że szaleństwo wokół „Rickroll” przyniosło zwrot w popularności samej piosenki. „Never Gonna Give You Up” ma na YouTube 1,4 mld odsłon, a na Spotify przesłuchano ten utwór – niegdysiejszy numer 1 na brytyjskiej liście bestsellerów z 1987 r. – aż 725 mln razy. Dla porównania „I Should Be So Lucky” Kylie Minogue, brytyjski nr 1 w 1988 r., ma dziś na koncie relatywnie skromne 23 mln odsłon. I w tej różnicy widać prawdziwą wartość wiralowej promocji.

Dużo więcej, bo 66 mln odsłon, zgromadził tegoroczny singiel Kylie, niepozorne „Padam, Padam”. Choć na listach przebojów miał początkowo słabe notowania, poprawił je dzięki tanecznym memom na TikToku – tytułowa fraza oznaczająca bicie serca i prosta choreografia z teledysku okazały się dobrze skrojone pod realia dzisiejszego marketingu. Bo przyszłość promocji muzyki ►

idoli z bocznic, a filmy sprowadzają mogą zmieniać kariery, rozgrzewa emocje.



Memy niekulturalne

Memy kulturalne

1

3

► pop to memy. Tak przynajmniej twierdzi czołowy krytyk muzyczny świata internetu Anthony Fantano (sam dbający o memiczność swoich wideorecenzji płyt na YouTube) na spotkaniu zorganizowanym pięć lat temu przez Georgetown University Lecture Fund. „Muzyka i memy mają podobny aspekt wiralowości” – mówił Fantano. „Muzyką, inaczej niż filmem, rzeźbą czy obrazem, bardzo łatwo się z kimś podzielić, zupełnie jak memem”.

„Forbes” donosił kilka lat temu, że statystyczny przedstawiciel mileniów (urodzonych w latach 80. i 90.) ogląda 20–30 memów dziennie, a korzystanie z tej formy w mediach społecznościowych zwiększa nam pole rażenia nawet dziesięciokrotnie. Nie brakuje więc porad: że istotne jest hasło, choćby i dziwne, ale charakterystyczne, że przydaje się wyraźna mimika czy jakaś prosta choreografia, nowy symbol, może nawet słowo. I tak sukcesy zaczyna się budować od końca. Ogon zaczyna merdać psem – już nie tyle memy czerpią z kultury, co raczej twórcy kultury z pełną premedytacją próbują je wywołać, dopłacając tysiące dolarów popularnym tiktokerom, żeby z ich pomysłu spróbowali zrobić trend.

Najlepiej przetestowali ten rodzaj promocji raperzy. Weźmy „Hotline Bling” Drake’a – utwór pojawił się w lipcu 2015 r., odzew był niezły, ale dopiero jesienią, gdy do sieci trafił wideoklip, z którego łatwo dało się wyciąć ekspresyjne gesty rapera na „tak” i na „nie” ③, internet oszalał, tworząc na ich bazie memowy schemat (zwany Drakeposting) i podkładając wszystko, co tylko się dało ująć w ramy dualizmu lubię/nie lubię. U nas próbowali to odtwarzać w realu bariści w jednej z warszawskich kawiarni – ustawili przy pojemnikach na napiwki dwa zdjęcia Beaty Kozidrak (zadowolonej i nie) oraz hasło „Jak ci mija dzień?” i dwie sugerowane odpowiedzi, jak w tekście przeboju Beaty: „mówię tak” nad jednym i „mówię nie” nad drugim. Już bez globalnego efektu, ale tipów było sporo.

Muzycznym memem ubiegłego roku był Lil Yachty. Opublikował trwającą nieco ponad minutę miniaturę „Poland”, w której powtarza, że przewiózł do Polski wock, syrop na kaszel na bazie kodeiny, popularny środek odurzający. Przy okazji rozpowszechniono na Twitterze plotkę, że premier Morawiecki miałby wystosować oficjalne zaproszenie dla rapera, zagrano więc reputacją naszego kraju trochę jak Borat stereotypem Kazachstanu. Niemniej Nikodem Rachoń, rzecznik prasowy ambasady RP w USA (i brat znanego z TVP dziennikarza Michała), skomentował na łamach „Wired”, że jeśli do wizyty dojdzie, ambasada z pewnością pomoże. Ostatecznie przyjechał i przywiózł swoje „Poland” na Open’era – ale bez rządowego wsparcia. A polscy raperzy Bedoes i White 2115 z reflekssem nagrali swoją wersję: „Odbieram wock w Gdańsku, ochroniarz mówi, że mam brak wjazdu/ Ja dostałem rozkaz od pana premiera, to mój obowiązek, dać wock państwu”.

Trudniej wypromować lokalnego mema, więc Polacy mają pod górkę. Choć pomysły są. W masowym głosowaniu próbowano np. z nazwy rapowej formacji Chillwagon uczynić Młodzieżowe Słowo Roku. Całkiem zręcznie gra konwencją Dawid Podsiadło – także na ostatnim koncercie na Stadionie Narodowym wizualizacje wykorzystywały styl memów. A kiedy w internecie zaczął krążyć kadr pokazujący wymyśloną scenę z Podsiadłą w programie „Milionerzy” (na pytanie, czego nie ma, wokalista dostał w niej cztery odpowiedzi: A. fal, B. fal, C. fal, D. fal), artysta rzeczywiście taką scenę w studiu TVN ⑤ odegrał, promując siebie, a przy okazji program.

Z memicznością kontrolowaną nie idzie nam w Polsce dobrze. – *Są memy z Zenkiem Martyniukiem, Krawczykiem czy Kazikiem, ale to rzeczy powstające w reakcji na ich utwory* – komentuje dr Stanisław Trzciniński, autor opublikowanej właśnie książki „Zarażeni dźwiękiem. Rynek muzyczny w czasach sztucznej



inteligencji”, opowiadającej o tym, jak dziś wygląda rynek muzyczny. Sam nadziei szukałby w młodych artystach zaczynających na TikToku. – *Taką postacią jest np. Anita Dudczak, nagrywająca jako Nita: zdolna, naturalna i świetnie radzi sobie z krótkimi formami wideo, kręci „making of” swoich utworów, bawi się coverami, oddolnie zdobyła popularność [pół miliona śledzących na Instagramie, ponad 300 tys. na TikToku – red.] i właśnie podpisała kontrakt płytowy z Kayaxem.*

Mamy za to w tej dziedzinie wymierne osiągnięcia na rynku filmowym – słynną internetową pastę o wędkarzu, zaczynającą się od słów: „Mój stary to fanatyk wędkarstwa”, w 2017 r. zekranizowano jako „Fanatyk”, a jej autor Malcolm XD to dziś anonimowy, ale stały bohater polskiego życia literackiego.

Niekoronowanym królem memów na polskiej scenie muzycznej jest Cyprian Racicki, czyli Cypis. Wykonawca rzadko widywany w mediach, bo kojarzy się z wulgarnymi i mało wybrednymi treściami – od przeróbki piosenki „Call On Me” z hasłem „jechać PiS”, która towarzyszyła Strajkowi Kobiet, aż po „Gdzie jest biały węgorz? (Zejście)” o kokainowym odurzeniu. Ten ostatni utwór ma na Spotify więcej odsłonek (aktualnie 65 mln) niż „Patointeligencja” Maty i stał się kanwą rzadkiego polskiego mema o zasięgu globalnym. Utwór z tekstem: „Tylko jedno w głowie mam/ Koksu pięć gram, odlecieć sam/ W krainę zapomnienia”, zaczęto bowiem podkładać masowo pod różne filmy ze znanymi postaciami (m.in. prezydent Duda), urywki bajek dla dzieci i układy taneczne (najpopularniejszy okazał się ten z tańczącą krową, nazywaną Polish Cow), wykorzystując kontrast skocznej melodii i ponurego tekstu o uzależnieniu. Rozgłos poza Polską zagwarantowała Cypisowi nieoczekiwana afeta: dwa lata temu klientka kanadyjskiego Walmarta kupiła tam odtwarzającego różne piosenki i tańczącego kaktusa ②, edukacyjną zabawkę produkowaną na Tajwanie. Kaktus miał wgrane również utwory polskojęzyczne, a ponieważ klientka pochodziła z polskiej rodziny, zidentyfikowała tekst jednego z nich jako „Tylko jedno w głowie mam...”. Zabawkę zdjęto z półek w atmosferze skandalu, ale w wypadku tego mema zła sława to ciągle sława.

Bo wprawdzie tego mema zła sława to ciągle sława. Bo wprawdzie memy zmieniają świat, to jednak potwierdzają aktualność starej zasady: nieważne, czy piszą dobrze, czy źle, byle nie mylili nazwiska. Przekonaliśmy się o tym przy okazji eurowizyjnej piosenki „Solo” Blanki – mimo że najpierw krytykowana przez publiczność, a później umiarkowanie przyjęta przez samą widownię konkursu, osiągnęła dużo lepsze wyniki w serwisach streamingowych niż zeszłoroczne i notowane wyżej w samym



konkursie „River” Ochmana. Ma dwukrotnie więcej odtworzeń na Spotify i pięciokrotnie więcej odsłon na YouTube, na co z pewnością wpłynęły liczne memy z Blanką.

Cały mechanizm działania memów przestaje być oczywisty, gdy oddaliśmy się od kulturalnego mainstreamu i od aktualnych hitów. Rick Astley teoretycznie wraca z niebytu, ale przecież w latach 80. był tak popularny, że nie można go było wtedy nie znać. Nieco ponad dwa lata temu „Dreams” Fleetwood Mac wróciło na listy bestsellerów po serii filmików na TikToku, ale utwór ten był już jedynką na liście „Billboardu” w 1977 r. i ma pewną pozycję w historii muzyki.

Ciekawszy jest przykład „Free Bird” grupy Lynyrd Skynyrd. Zespół – założony niemal 60 lat temu na Florydzie – powinien mieć w czasach rapu i K-popu status gitarowej skamieliny. Tyle że 18 lat temu trafił na ścieżkę dźwiękową popularnej gry wideo „Grand Theft Auto: San Andreas”, stając się wkrótce tłem niezliczonych memów związanych z tą grą. A gdy już trafił do internetowego obiegu, jego utrzymaną w wysokim tempie solówką gitarową zaczęto ilustrować przeróżne sceny z gier – im bardziej szalone i brutalne, tym lepiej. Jeszcze dziwniejszy jest przypadek The Caretaker – wykonawcy znanego z festiwali z muzyką alternatywną, którego ambientowy cykl „Everywhere At The End of Time” ze starymi dancinowymi szlagierami, przetworzonymi przez efekty i zniekształconymi, jest poważną opowieścią o demencji i utracie pamięci. Ale ostatnio zaskakująco popularnymi, odkąd jeden z fragmentów cyklu młodzi internauci wykorzystują do zilustrowania fenomenu popularnych na TikToku „the backrooms” – dziwnych filmów z labiryntami niekończących się korytarzy, nawiązujących do kina grozy i opowieści o zjawiskach paranormalnych.

Na historię popkultury dzisiejsza młodzież patrzy przez pryzmat memów. To dlatego tak dużą wartość ma oryginalny „Predator”, film z Arnoldem Schwarzeneggerem z 1987 r. Wtedy zarobił miliony dolarów, ale zebrał fatalne recenzje. Oskarżany był o nudę, scenariuszową pustkę, wtórność i militarystykę. Z czasem jednak recepcja mediów się poprawiła, a dziś liczne serwisy internetowe i magazyny umieszczają „Predatora” na listach wszech czasów najlepszych filmów akcji – lub nawet filmów

w ogóle. Zbiegło się to w czasie z odniesieniami do filmu w internetowych memach. Najpopularniejszy z nich – „epic handshake”, czyli „mocarny uścisk dłoni” – prezentuje kadr, w którym Dutch (grany przez Schwarzeneggera) wita się z również dobrze zbudowanym starym kumplem Dillonem (w tej roli Carl Weathers, były futbolista). Obraz napiętych bicepsów od kilkunastu lat oznacza alians, wspólną sprawę – albo przynajmniej część wspólną.

Na tej samej zasadzie popularny obrazek dwóch Spider-Manów ⁴ wskazujących wzajemnie na siebie – wzięty ze stareńkiego komiksu – ogrywiają najnowsze produkcje o Człowieku-Pająku. W „Spider-Man: Uniwersum” (2018 r.) autorzy zabawili się nim w miniaturze po napisach, a w „Spider-Man: Poprzez multiwersum” (2023 r.) scena wskazujących na siebie palcami Ludzi-Pajaków z różnych światów pojawia się w kulminacji filmu.

Kultura tworzy więc memy, ale memy – zwrótnie – zmieniają odbiór kultury. Bo choć z jednej strony, jak to opisali naukowcy z University of Westminster, memy służą jako medialny fast food – pociągają, ale mają niewielką wartość odżywczą i nie zastąpią pełnej, dłuższej formy – to zmieniają życie tej dłuższej formy. Drugorzędnej ekranizacji komiksowej „Asterix i Obelix: Misja Kleopatry” memy dały w Polsce drugie życie. Przywróciły też popularność „Shreka” po latach. A „Morbiusa”, bardzo źle przyjęty superbohaterski film z Jaredem Leto, firma Sony wprowadziła do kin ponownie, gdy świat zasypały memy z frazą „It’s morbin’ time” („Czas morbować” – od imienia bohatera). Pisano przy tej okazji o wpływie memów na Hollywood.

Co będzie dalej? Politycy promujący się memami? Zaraz... ale przecież na liście Konfederacji w nadchodzących wyborach znalazł się już Stanisław Derehajtło ⁶, wicemarszałek województwa podlaskiego i... bohater memów z serii „Panie Areczku”. Jeszcze niedawno skarżył się, że cała Polska powiela jego wizerunek i że nad Bałtykiem sprzedaje się pamiątkowe magnesy z jego podobizną. Teraz w mediach społecznościowych świadomie wciela się w figurę „janusza biznesu”: „Panie Areczku, ale tak na poważnie. Może pan więcej zarobić, ale 15 października głosuje pan na Konfederację”. Można się do memów dystansować, trudniej je porzucić.

BARTEK CHACIŃSKI



Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna
Kuby Wojewódzkiego

Wydarzeniem tygodnia była druga walka Sebastiana Fabijańskiego w formule Fame MMA. Aktor poprawił swój dotychczasowy wynik o 12 sekund, czyli wytrzymał ich na ringu 47. To dobry czas. Naloty na Drezno trwały dwa dni, a zniszczenia były podobne.

Skoro już jesteśmy przy biciu. Jak doniósł Onet, Michał Adamczyk, szef Telewizyjnej Agencji Informacyjnej oraz gwiazda „Wiadomości”, w przeszłości dopuścił się pobicia, maltretowania, zastraszania i prześladowania swej byłej kochanki. Aktualnie podobne praktyki przeniósł na widzów.

Ula Chincz wyprowadziła się z Polski, informują media. Po przyjrzeniu się drodze zawodowej Uli trzeba przyznać, że to jeden z największych sukcesów w jej karierze.

PolSAT pokazał pierwszy odcinek programu „Doda. Dream Show”, w którym artystka wyznała, że planuje trasę po Warszawie. Reszta to smutny obraz tego, że Doda nikogo nie szanuje, a odbiorcy nie szanują Dody. Jak na 20 lat kariery to są dobrze zapracowane proporcje.

Filip Chajzer rozstał się z TVN. Wyznał: „Stajesz się zakładnikiem toksycznego związku, niszczącej relacji z pseudoprzyjacielem, pracy, w której cię nie szanują i robią w ...”. Całkiem niedawno mówił: „Już nie muszę być wesołym chłopakiem z mikrofonem”. I słowa dotrzymał.

Po ośmiu latach z anteny Radia Zet znikną program Szymona Majewskiego „Nie mam pytań”. Szkoda. Problem tego programu nie polegał na tym, że autor nie miał pytań. Raczej nie miał zainteresowania odpowiedziami.

Paweł Deląg wyznał w podkaście Onetu, że o ślubie swego syna Pawła Deląga juniora dowiedział się na trzy dni przed ceremonią. To jest mój ideał. Ja bym chciał z podobnym wyprzedzeniem dowiedzieć się, że w ogóle mam syna.

Detektyw Krzysztof Rutkowski zawiózł swego synka na inaugurację roku szkolnego luksusowym Mercedesem, w obstawie ochrony i wozu opancerzonego. Przy podstawie programowej ministra Czarnka to może być jedyna szansa na przetrwanie.

„Tak szybkie i całkowite zawłaszczanie organów państwa jest charakterystyczne dla partii totalitarnych i bolszewickich”. Tak niedawno mówił Paweł Kukiz o działaniach PiS. Dziś – wiadomo. Chyba jedyny tekst, w którym Paweł nie ściemniał, to refren utworu „Skóra”: „Tam, tam, tam, ta ra, ta ra, tam”.



© PIOTR FOTEK/REPORTER

Wszystko wskazuje na to, że nadszedł kres internetowej wersji programu „Drugie śniadanie mistrzów” Marcina Mellera. Autor ma coraz mniejszą ochotę i coraz mniej pieniędzy. Typowy symetrysta. Ani to, ani to.

W nowej kampanii reklamującej parówki Tarczyński wystąpił raper Smolasty. Akcja promująca wysoki procent szynki w środku realizowana jest pod hasłem „Wszyscy są parówkożercy”. Miejsmy nadzieję, że jest jej więcej niż gramatyki w tym zdaniu.

„W III Rzeszy Niemcy produkowali propagandowe filmy pokazujące Polaków jako bandytów i morderców. Dziś mają od tego Agnieszkę Holland” – tak Zbigniew Ziobro skomentował entuzjastycznie przyjęty w Wenecji film „Zielona granica”. Nie tylko po tym łatwo poznać, że lata 30. Zbyszek odrobił wnikliwie.

Kontrowersyjna polsko-amerykańska celebrytka Caroline Derpienski wystąpiła w TVN, zaskakując między innymi wyznaniem, że myśli o przyszłej prezydenturze naszego kraju. To byłaby ciekawa kontynuacja. Ona też ma partnera, o którym nikt nie słyszał.

Syn Edyty Górniak, Allan, rozstał się z dziewczyną o imieniu Angelika. Młody raper wyznał, że mama często rozmawiała z Angeliką. Innych powodów rozstania nie wymienił.

Dramat w rodzinie Jacka Kurskiego. Po 15 latach odszedł na finansowej emigracji ich ukochany kot o jakże znamiennej imieniu Iwan. Zwierzę zostało skremowane w USA, a rodzina byłego prezesa planuje prochy przetransportować na Wawel.

Nową komentatorką w „Szkle kontaktowym” została Kamila Kalińczak. Dziennikarka radiowa, telewizyjna, trenerka oraz nauczycielka wystąpień publicznych. Na Instagramie przedstawia się jako „Odkrycie roku 2022”. Na miejscu Piotra Jacońa spałbym spokojnie.

Jessica Ziółek, była narzeczona Arkadiusza Milika, napisała powieść „WAGS. Cała prawda o kobietach piłkarzy”.

To podobno jest fikcja, choć większość opisanych sytuacji ma odbicie w rzeczywistości. To samo zdanie można odnieść do gry naszej reprezentacji.

TU KUPISZ BILET



 Zamek
Królewski
na Wawelu



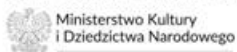
PRZENIEŚ SIĘ
NA DWÓR
OSTATNICH
JAGIELLONÓW

B

**RAZ
ZŁOTEGO
WIEKU**

/15 IX - 14 XII/ 2023

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTERIA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO



PARTNERZY ZAMKU I WYSTAWY



Partner strategiczny
Zamku Królewskiego na Wawelu



TOTALIZATOR
SPORTOWY

Partner
Zamku Królewskiego na Wawelu



Polska Grupa
Energetyczna

Mecenas Edukacji i Partner wystawy
Obraz Złotego Wieku

ams

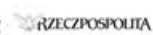
Partner promocji



IPCC
INTEKSTY

Partner wystawy
Obraz Złotego Wieku

PATRONI MEDIALNI WYSTAWY



PARTNERZY WYSTAWY



W Y S T A W A K I N O P O L O N I A

NCKF
NARODOWE CENTRUM
KULTURY FILMOWEJ

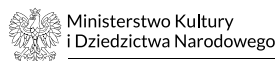
EC1
ŁÓDŹ

www.kinopolonia.nckf.pl

ODKRYJ MAGIĘ POLSKIEGO KINA W EC1!

OTWARCIE PAŹDZIERNIK 2023

NÓŻ W WODZIE



Projekt „Narodowe Centrum Kultury Filmowej – rozwój funkcji i usług oferowanych przez „EC1 Łódź – Miasto Kultury” w Łodzi”
dofinansowano ze środków Unii Europejskiej w ramach Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko 2014 – 2020.



Ma w sobie luz

© PEACOCK TV LLC

Natasha Lyonne podbiła małe ekrany burzą rudych włosów i surrealistycznymi monologami wypowiedzianymi przepalonym głosem. W serialu „**Poker Face**” staje się własną, niepowtarzalną wersją porucznika Columbo.

ANETA KYZIOŁ

Natashę Biankę Lyonne Braunstein wychowały filmy i plany filmowe. W pierwszym, „Zgadze” w reż. Mike’a Nicholasa i ze scenariuszem Nory Ephron, zagrała jako siedmiolatka, partnerując Meryl Streep, Jackowi Nicholsonowi i Milošowi Formanowi. Na planie jednego z kolejnych korepetytorka pokazała jej „Czas Apokalipsy” Coppoli, pożyczyla „Jądro ciemności” Josepha Conrada i opowiedziała o André Bretonie i surrealistach – to ukształtowało młody mózg. Po latach, z typowym dla siebie mrocznym poczuciem humoru, zdiagnozując swoją dysfunkcyjną rodzinę, nawiązując do pochodzenia matki, urodzonej w Paryżu w rodzinie węgierskich Żydów ocalałych z Holokaustu: „Ze strony ojca to Flatbush (część Brooklynu – red.), ze strony matki – Auschwitz”.

Nie przestawała grać nawet wtedy, gdy rodzina przeprowadziła się z Nowego Jorku do Izraela – zmieniała po prostu kinematografię na izraelską. Ani wtedy, gdy niedługo później rodzice się rozwiedli, a ona

i brat wrócili z matką najpierw do Nowego Jorku, a potem wyjechali do Miami. Jako 16-latką wystąpiła we „Wszyscy mówią: Kocham cię” Woody’ego Allena, co otworzyło jej drogę do kolejnych komediowych filmów, lepszych (jak „Slumsy Beverly Hills”, za który otrzymała dwie nominacje do Teen Choice Award) i gorszych (jak zenująca, ale i hitowa seria „American Pie”). Za zarobione u Allena pieniądze postanowiła się usamodzielnic, wynajęła mieszkanie i odcięła się od bliskich. Dziś za swoich właściwych rodziców uważa Norę Ephron, scenarzystkę, reżyserkę i pisarkę, oraz wokalistę i autora Lou Reeda. To ich śmierć oplakiwała.

Ukryta za włosami

Z prywatnej żydowskiej szkoły na Manhattanie wyleciała za handlowanie ziołem. Naukę filmu i filozofii w prestiżowej Tisch School of Arts na uniwersytecie nowojorskim rzuciła sama, uznając, że „60 tys. dol. rocznie to za wysoka cena za oglądanie filmów”. Taniej wychodziło oglądanie na własną rękę, na nocnych seansach w Film Forum, co zresztą robi do dziś. Kocha amerykańskie klasyki, aktorskim

wzorem są dla niej Jack Nicholson, Peter Falk, Joe Pesci czy Jimmy Cagney. I Michael Sheen w „Czasie Apokalipsy”, leżący i gapiący się w kręcący się wentylator, gdy w tle leci „The End” Doorsów.

Na przełomie wieków prasa kolorowa dokumentuje „upadek nastoletniej gwiazdki”, zdjęcia Lyonne pojawiają się już nie w kontekście filmowym, tylko zatrzymania za jazdę pod wpływem, sąsiedzkich burd i kolejnych odwyków. Heroina kosztowała ją straconą dekadę życia i poważne problemy ze zdrowiem, z operacją na otwartym sercu włącznie. „Nie umknęło mojej uwadze, że jestem czarnym koniem, jeśli chodzi o przetrwanie tego wszystkiego i to z zachowaniem zdrowego rozsądku i chęci do dalszego uczestniczenia w życiu” – podsumowała ten okres kilka lat temu w „Vanity Fair”. Zdrowa, trzeźwa i płynąca na nowej, tym razem serialowej fali.

„Nie miałam 28-dniowego problemu z narkotykami; musiałam dokonać całkowitego przemeblowania” – mówi o swoim mozolnym powrocie do życia i do pracy. Zaczęło się od sceny. Pomocną dłoń wyciągnęli do niej w 2008 r. twórcy ▶



© NETFLIX

Kadr z serialu „Russian Doll” (sezon 2) z Natashą Lyonne w roli Nadii.

► off-Broadwayowego teatru The New Group. Jej scenicznym debiutem była sztuka według „Two Thousand Years” Mike’a Leigh, o rodzinie londyńskich zasymlowanych Żydów, której życie wywraca do góry nogami religijne nawrócenie syna.

Potem mocno wspierały ją kobiety. Nora Ephron, pamiętająca ją z dziecięcej roli w „Zgadze”. Jenji Kohan, showrunnerka netflixiowego „Orange Is the New Black” (2013–19), komediodramatu osadzonego w świecie kobiecego więzienia, z jego zróżnicowaniem etnicznym i tożsamościowym, osobistymi historiami i systemowymi problemami. A wreszcie Amy Poehler, gwiazda telewizyjnej komedii. Ephron zaferowała Lyonne szansę stworzenia krótkometrażowego filmu, Poehler – wspólne pisanie scenariusza komediowego serialu dla NBC. Kohan zaś – rolę Nicky Nichols, wychodzącej z narkotykowego nałogu i mierzącej się z rodzinnymi traumami sympatycznej dziewczyny.

Dla Lyonne „OITNB” był nie tylko okazją do przyjrzenia się z boku własnej historii, ale też substytutem rodziny. Tam też odkryła, że jej filmowe doświadczenie z młodości może być cenne dla innych. A powierzenie jej reżyserii jednego z odcinków finałowego sezonu było czymś więcej niż spełnieniem artystycznym.

„Nie skończyłam szkoły średniej, nie skończyłam studiów, nie zamknęłam poprawnie związków miłosnych czy rodzinnych. W żadnej ze śmierci w mojej rodzinie nie ma scen przy szpitalnym łóżku, w których ludzie przepraszają. Wszystkie te przypadki były raczej nagłe, z traumatycznymi rozmowami telefonicznymi. W rzeczywistości nigdy więc nie

doświadczylałam pożegnania się z czymkolwiek w zdrowy sposób. Aż do teraz. Myślę też, że nie rozumiałam koncepcji bezwarunkowej miłości, aż do »Orange Is the New Black« – zwierzała się w „Guardianie”.

Zaś pisany wspólnie z Poehler serial nie wyszedł co prawda poza etap pilota, ale wątki z tego scenariusza w zmienionej formie stały się podstawą produkcji, która z Lyonne uczyniła w 2019 r. gwiazdę: „Russian Doll”. Gra w nim główną rolę, jest współscenarzystką (razem z Poehler i Leslye Headland), a od drugiego sezonu – showrunnerką i reżyserką. A także produkuje całość, bo w 2018 r. założyła, z koleżną bliźką kobietą, aktorką komediową Mayą Rudolph, firmę producencką Animal Pictures.

Dziś w brytyjskim „Evening Standard” podaje swój przepis na sukces: „bullshit radar” – wykrywacz bzdur. „Nie zadaję się ze ściemniaczami. Ukrywam się przed nimi za moim dziwactwem, włosami lub czymś innym. Jestem pewna, że to dlatego, że jestem starą ćpunką, od razu potrafię wykryć, kto jest godzien zaufania, a kto nie. Jeśli spędzasz życie, będąc taką trochę dziką istotą, włócząc się po ulicach, podchwytujesz jedną lub dwie rzeczy”.

Wykrywacz ściemy

Praca nad doprowadzeniem „Russian Doll” do premiery w Netflixie zajęła pięć lat, ale opłaciło się cierpliwie drażyć skałę. Surrealistyczny serial o nowojorskiej programistce Nadii Vulvokov, która próbuje rozwikłać zagadkę swoich rozlicznych śmierci i zmartwychwstań (zawsze w łazience, na imprezie z okazji swoich

36. urodzin), z miejsca stał się hitem i zebrał 13 nominacji do nagród Emmy w kategoriach komediowych. A Nadia – z burzą rudych loków, okularami przeciwsłonecznymi noszonymi w nocy, nieodłącznym papierosem i butelką, zamiatająca nowojorskie trotuary czarnym płaszczem i rzucająca abstrakcyjne komentarze zachrypniętym głosem – stała się ikoną.

W warstwie fabularnej to podkreślona, osadzona w środowisku artystów wersja „Dnia świstaka”. Na kolejnych poziomach to opowieść psychoterapeutyczna, o trudzie i potrzebie konfrontacji z przeszłością, by nie powtórzyć rodzinnych (autodestrukcyjnych) schematów. O relacji z matką. O przenoszeniu traum przez pokolenia, z Holocaustem włącznie. „Nawet najzabawniejsze momenty są zabarwione melancholijnym pragnieniem znalezienia swojego miejsca we wszechświecie obojętności” – pisali amerykańscy krytycy. Odkrywając przy okazji wpływ żydowskich komików i kina spod znaku Bortsch Belt na twórczość Lyonne.

Pytana o procent autobiografii w tej historii Lyonne tłumaczyła w „Variety”, że uniwersalizuje i fabularyzuje rzeczywistość. Ale postać Nadii towarzyszy jej od lat. „Charles Bukowski zawsze miał Henry’ego Chinaskiego, a ja zawsze miałam Nadię we wszystkim, co pisałam, i było to oparte na Nadii Comăneci, która była moją ulubioną gimnastyczką z lat 80.”. A w „Guardianie” dodawała: „Jako szesnastolatka zapisałam się na NYU z myślą, że chcę zrobić komedię typu »Przy drzwiach zamkniętych« Sartre’a czy »Człowiek w poszukiwaniu sensu« Viktora Frankla. Komedię o dramacie i dziedziczeniu traumy, to będzie zabawne pół godziny. »Russian Doll« pochodzi z tego naturalnego, wewnętrznego świata. I nikt nie jest bardziej zaskoczony niż ja, że wszystko potoczyło się tak dobrze”.

Nadia to też manifestacja podejścia Lyonne do aktorstwa. Jej bohaterki nie są definiowane z zewnątrz, nie wpisują się w społeczne oczekiwania, mają wewnętrzny napęd. „Nadia ma w sobie taki luz, Elliott Gould – Philip Marlowe – Altman – fuckin – whatever” – tłumaczyła obrazowo w „Indiewire”. – „Ma w sobie coś z prawdziwego luzaka, takie bełkotliwe leniwość”. Inspirowane amerykańskim kinem i telewizją lat 70. To ostatnie poświęciło ją z Rianem Johnsonem, a efektem jest najnowsze dzieło – wchodzący właśnie w Polsce na platformę SkyShowtime serial „Poker Face”.

Twórca widowisk kinowych „Na noże” i „Glass Onion” obejrzał w pandemii kryminalny tasemiec „Columbo” i zachwycił

się tym, jak poprawia nastrój. A potem poznał Lyonne – poprzez żonę, Karinę Longworth, krytyczkę filmową – obejrzał „Russian Doll” i uznał, że ma swojego Petera Falka.

Charlie Cale to była kelnerka uciekająca przed zemstą właściciela kasyna w Las Vegas. Pije, pali i nadużywa wyrazów „fuck” i „shit”, ale posiada też supermoc – wewnętrzny radar wykrywający, kiedy ludzie oparcie posady policjanta, za to z tą samą co u Columbo naturalną potrzebą odkrycia prawdy, zdemaskowania kłamców i pomocy skrzywdzonym. „Myślę, że w innym życiu byłabyś kimś na wzór rycerza” – mówi jej przyjaciółka Natalie. „Lady Galahad!” – śmieją się. Uciekając, przemierza swoją błękitną Plymouth Barracuda, rocznik 1969, prowincjonalną Amerykę, dorabiając w różnych miejscach, poznając ludzi i w każdym odcinku demaskując mordercę. Całość jest hołdem złożonym dawnej telewizji, z jej zaletami i wadami.

Teraz stań tam

Sama Lyonne, mimo że powrót na ekranie zawdzięcza serialom, chce się teraz skupić na ukochanym kinie. Napędza ją praca, której po tym, jak w ubiegłym

roku po przyjacielsku zakończyli z komikiem i aktorem Fredem Armisenem siedmioletni związek, może się poświęcić w całości, nadrabiając zmarnowaną przez nałóg dekadę. Dziennikarka brytyjskiego „Evening Standard” opisała terminarz Lyonne w dzień wywiadu, wiosną ubiegłego roku: „Na przykład dziś rano, przed spotkaniem ze mną, poprawiała scenariusz filmu fabularnego, który pisze, a następnie spotkała się z inną scenarzystką, reżyserką i aktorką Marielle Heller. Po naszej rozmowie idzie nagrywać »The Hospital«, serial animowany (z udziałem Kierana Culkina), który produkuje. Następnie spotka się z komiczką Jacqueline Novak, by pracować nad scenariuszem, który wspólnie piszą”.

Bycie w ciągłym ruchu i praca z ludźmi ją relaksuje. „Wcześniej było tak wiele męczących, ciemnych nocy duszy, z pytaniami: Co to wszystko znaczy? Jakie jest moje miejsce tutaj? Odeszłam i nikt nie chciał mnie z powrotem. To nie było tak, jak z Robertem Downeyem Jr., że wszyscy się przejmowali. Nie, nikogo to nie obchodziło. Wspaniałą rzeczą w byciu nowojorską aktorką czy aktorem charakterystyczne jest to, że było dla mnie miejsce, gdy włożyłam w to pracę” – wspominała w „Variety”.

Na swoje 40. urodziny w 2019 r. zaprosiła przyjaciół do kina. Wynajęła dwa. W Nowym Jorku puściła „Króla komedii” Martina Scorsese’go z 1983 r., z Robertem De Niro w roli pozbawionego talentu, ale zdeterminowanego, by zrobić karierę w show biznesie Ruperta Pupkina. Złożona głównie ze środowiska artystycznego publika bawiła się świetnie. Za to goście seansu w Los Angeles wyszli mocno skonsternowani, co nie dziwi, bo wybór trzygodzinnej, oscarowej tragikomedii osadzonej w realiach Neapolu epoki Mussoliniego „Siedem piękności Pasqualino” z 1975 r., o włoskim everymanie walczącym o przetrwanie – nie był oczywisty. Przynajmniej dla wszystkich poza Lyonne, która jest wielką admirałką jej autorki – scenarzystki i reżyserki Liny Wertmüller, przez lata najbliższej współpracownicy Felliniego i pierwszej kobiety nominowanej do Oscara za reżyserię.

Plan Natashy Lyonne na resztę życia to zostanie współczesną Wertmüller: pomarszczoną, w białych okularach przeciwsłonecznych, na planach filmowych, mówiącą: „Tak, teraz stań tam”. Może nawet po włosku.

ANETA KYZIOŁ

REKLAMA

66 Warszawska Jesień

Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej

15-23
września
2023


Patronat Honorowy

Minister Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
Piotr Gliński
Prezydent miasta
stołecznego Warszawy
Rafał Trzaskowski

Organizator


ZKP
związek kompozytorów polskich

Współorganizatorzy

 Filharmonia
Narodowa

 **dwójka**
POLSKIE RADIO

Projekt współfinansują

 Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

 Narodowy
Instytut Muzyki
i Tańca

 Warszawa

 **FUNDACJA**

Mecenas Festiwalu

 **PGE**
Polska Grupa
Energetyczna

Partnerzy Festiwalu

zo'ks
sprawy muzyczne

UMFC
Uniwersytet Muzyczny
Fryderyka Chopina

 GLOBE


 Instytut Sztuki
Muzycznej

PWM
EDITION

ZOLBORSKI
DOM
KULTURY

Partnerzy medialni Festiwalu

 **POLSKIE**
RADIO

 **wyborcza.pl**

POLITYKA

Pręsto

Glissando

 **ruch**
muzyczny

15-23
September
2023

66  **Warsaw Autumn**
International Festival of Contemporary Music



Kino niezgody i ugody

Wygrał Lanthimos, Holland odebrała ważną nagrodę, pozakonkursowy Polański przepadł. Weneckie jury próbowało pogodzić ważne gesty i szukanie kinowych hitów. A aktorzy – strajk z promocją festiwalowych filmów.

ADRIANA PRODEUS **Z WENECJI**

Odkąd wenecki Złoty Lew stał się przeglądem pretendentów do Oscara (począwszy od „Kształtu wody” w 2017 r., przez „Romę”, „Jokera” i „Nomadland” w latach kolejnych), nie wyobrażano sobie festiwalu na Lido bez amerykańskich gwiazd. Wystarczyło jednak kilka ugód podpisanych ze związkami zawodowymi przez poszczególne studia, by strajk aktorów i scenarzystów nie zaszkodził tegorocznej imprezie – może bardziej europocentrycznej, niż to ostatnio bywało, ale głośniejszej jak zawsze.

Na jubileuszowej 80. edycji festiwalu wiele mówiono o *interimach*, czyli tych tymczasowych umowach, które pozwoliły

aktorom promować ich filmy w Wenecji. To samo angielskie słowo *interim* padało również w „Zielonej granicy” Agnieszki Holland, tym razem jednak w kontekście życia lub śmierci – oznacza tymczasowe, lokalne przepisy zezwalające w praktyce na push-back, czyli wywózkę za granicę osób proszących o azyl na terenie Unii Europejskiej.

Dlatego nagroda specjalna jury dla filmu Agnieszki Holland – od razu typowanej przez obserwatorów na pierwszego lub drugiego zwycięzcę konkursu – to znak, że polityka Europy dopuszczającej zgody na łamanie praw człowieka staje się znów przedmiotem słyszalnej krytyki. Nie na tyle jednak, by odebrać Wenecji funkcję utartej drogi po Oscarze. Jury tegorocznego konkursu zasygnalizowało: rozmawiajmy, jak zmienić politykę względem migrantów,

pamiętając o wymogach przemysłu kinematografii, który potrzebuje hitów, na które ludzie pójną do kina.

Nieustraszona Stone

Pretendenta do tych głównych statuetek w tegorocznym sezonie nagród wyznaczono jednogłośnie – „Biedne istoty” („Poor Things”) Yorgosa Lanthimosa, laureata Oscarów za „Faworytę”, prowadził przez cały czas trwania festiwalu w prognozach krytyki oraz w zestawieniach typów bukmacherów. To film przesycony humorem, erotyką i brakiem prudencji, co nie zdarza się dzisiaj często w wysokobudżetowym kinie, skorym do pokazywania obrazów przemocy, ale cenzurującym seks. Śledzimy przebudzenie zmysłowe głównej bohaterki (w tej roli Emma Stone), wskrzeszonej po śmierci kobiety z epoki wiktoriańskiej,



- ❶ Złoty Lew – „Biedne istoty” Yorgosa Lanthimosa z Emmą Stone.
- ❷ Nagroda specjalna jury – „Zielona granica” Agnieszki Holland.
- ❸ „Kobieta z...” Małgorzaty Szumowskiej i Michała Englerta.
- ❹ „The Palace” Romana Polańskiego, pokazany poza konkursem.

która początkowo zamienia się w groteskową ludzką lalkę. „Poor Things” otwiera się przy tym na dyskusję o feminizmie, dzięki temu, że aktorka stojąca w centrum filmu jest także jego producentką. Tyle tylko, że Lanthimos sam musiał na Lido zająć się jego promocją. Zespół aktorski (prócz Emmy Stone jeszcze Mark Ruffalo, Willem Dafoe) nie otrzymał zgód tymczasowych. Obejrzelibyśmy więcej hollywoodzkich tytułów, gdyby warunki strajkujących zostały przyjęte.

Wśród 23 pozycji konkursowych znalazła się tylko jedna z Azji – „Evil Does Not Exist” Ryusuke Hamaguchiego, zdobywcy Oscara za „Drive My Car”. Stonowana opowieść o relacji człowieka z przyrodą osnuta jest wokół budowy luksusowego campingu, która grozi zanieczyszczeniem źródlanej wody. Mityczne przeobrażenie w finale i wspaniała muzyka Eiko Ishibashi zaowocowały wielką nagrodą jury.

Przeważały włoskie filmy – aż sześć rodzimych produkcji o budżetach większych niż dotychczasowe. Zdecydowanie najlepszy z nich to „Io capitano” reżysera „Gomorry” Matteo Garrone. Okazał się również najtańszy, gdyż zdjęcia nakręcono w Afryce z aktorami nieprofesjonalnymi. Opowieść o dwóch nastolatkach z Senegalu, którzy bez pytania rodziców o zgodę wyruszają na podróż za lepszym życiem

do Europy, została też słusznie nagrodzona za najlepszy debiut odtwórcy głównej roli Seydou Sarra. Malownicze zdjęcia oraz epickie ujęcie wędrowki bohaterów porwanych najpierw przez libijską mafię, a potem przepływających przez Morze Śródziemne, uzupełniały perspektywę uchodzącą o granicę południowej Europy. Przy filmie Holland wypadły jednak jak kolorowanka – nieco baśniowo i sentymentalnie.

Przeciw przemocy

Zaskakująco często oglądaliśmy w tym roku czarno-białe zdjęcia. Oczywiście motywacją było nawiązanie do historii. Tylko w przypadku „Zielonej granicy” ten wybór pełni funkcję porównawczą wobec totalitaryzmów XX w. (oraz budżetową – jak przekonywała reżyserka, zmuszona, by ten film nakręcić szybko i tanio). Holland odnosi się tym samym do swoich poprzednich filmów. Wracają skojarzenia z lwowskimi kanałami, przez które przeprawiali się bohaterowie „W ciemności” (2011 r.), obraz jest kontynuacją rozważań rozpoczętych w „Europie, Europie” (1990 r.) i niedawnym „Obywatelu Jonesie” (2019 r.). Schronienie, które uchodźcy odnajdują na Podlasiu, przypomina z kolei sudecki dom Janiny Duszejko z „Pokoju” (2017 r.). Nowy film Holland nie jest li

tylko interwencją, został nakręcony z takim nerwem, że nie sposób się oderwać.

Przemoc – lub powstrzymanie się od niej – to wątek, który był w tym roku często obecny na Lido. Najbardziej wstrząsający u Holland, ale refleksję nad jej naturą przedstawiła też Ava DuVernay w „Origin”, ekranizacji przełomowego eseju o rasizmie „Caste: The Origins of Our Discontents”. Oglądamy proces pracy nad nim autorki Isabel Wilkerson (mocna rola Aunjanue Ellis-Taylor) i poznajemy jego główną tezę: wyznaczenie grupy nie-ludzi, których wyklucza się ze społeczeństwa. Film łączy nazizm, niewolnictwo w Stanach Zjednoczonych, niedotykalnych dalitów w Indiach i inne współczesne formy faszyzmu. Kończy go postulat, aby przebudować system kastowy oparty na okrucieństwie.

Przemocą wobec publiczności był z kolei seans „Aggro Dr1ft” Harmony’ego Korine’a, puszczony tak głośno, że większość z nas oglądała go, zatykając uszy przez 80 minut. Eksperyment z kamerą termowizyjną i narzędziami gamingu miał zdobyć serca kinomanów nowatorską estetyką i jeszcze rolą gwiazdy rapu Trvisa Scotta, nie przyniósł jednak refleksji na poziomie najlepszych filmów tego reżysera.

Dowcipnie temat przemocy potraktowali za to twórcy filmów o mordercach: ►

► David Fincher w autoironicznym „Killerze” z Michaellem Fassbenderem oraz Richard Linklater w komediowym „Hit Manie” z Garym Johnsonem. Prócz nich niewiele było okazji do śmiechu. Dał ją jeszcze Quentin Dupieux („Mordercza opona”, „Deerskin”) w absurdalnym filmie „Daaaaaali!” o sławnym surrealiście.

Niewybredny Polański

Seans otwarcia „Comandante” Edoardo de Angelisa wywołał zjadliwe komentarze, aby odtwórcę głównej roli Pierfrancesco Favino przymusowo wysłać na urlop, bo pojawia się niemal w każdym włoskim filmie. Przebił w tym nawet Willema Dafoe, którego twarz wyglądała aż z trzech, nieporównanie lepszych produkcji. Nie przyjechał on jednak na Lido, zaś obecny tu Adam Driver zagrał tylko w „Ferrari” Michaela Manna, a zebrał krytykę za wszystkich trzech. Łącznie ze złośliwymi sugestiami, jakoby rolę w spektaklu Formuły 1 dostał wyłącznie dzięki nazwisku dosłownie oznaczającemu kierowcę.

Pod nieobecność celebrytów o dużej rozpoznawalności najwięcej selfie z fanami zyskał przewodniczący jury Damien Chazelle (reżyser „Babilonu” i „La La Land”), zapraszając przechadzając się co wieczór wokół festiwalowego pałacu. Tego rodzaju zjadliwe komentarze ubiegają się corocznie o nagrodę przyznawaną widzom za najbardziej dotkliwy tekst na temat pokazywanych filmów lub organizacji imprezy. Puchar Codacons „Ridateci i soldi” (czyli: „Oddajcie nam pieniądze”) prowokuje widzów do sporządzenia notatek, którymi wyklejana jest ścianka festiwalu. Prawo do recenzji ma każdy, a zwycięzca otrzymuje drewnianą rzeźbę Ferdinando Codognotto. Dzięki istnieniu festiwalowej agory można odreagować niezadowolenie, które podczas 80. edycji dało się odczuć nieco częściej niż zwykle.

Największe protesty wzbudził udział negatywnych symboli #MeToo, czyli Woody’ego Allena i Romana Polańskiego. A przed festiwalem jeszcze Luca Besson, którego ostatecznie oczyszczono z zarzutów, a i tak na pokaz jego „Dogmana” jedna z miejscowych gazet zareagowała nagłówkiem „Czy Złoty Lew trafi do gwałciciela?”. Filmy pozostałych dwóch reżyserów pokazano poza konkursem, a mimo to towarzyszyły im protesty, zarówno w mediach społecznościowych, jak i przed czerwonym dywanem, gdzie przy tej okazji postawiono wyższą przegrodę, by chronić ekipę. Zarazem słyhać było pojedyncze okrzyki aplauzu i wybuchy oklasków, gdy na ekranie pojawiało się nazwisko reżysera. Z tej konfrontacji w miarę obronną

ręką wyszedł Allen, którego kryminalna komedia „Coup de chance” (Łut szczęścia) nakręcona w Paryżu utrzymała ciężar suspense. Nie dało się jednak uwierzyć choćby w cień prawdopodobieństwa istnienia postaci, zagranych z oddaniem przez Lou de Laâge, Valérie Lemercier i Melvina Poupauda.

„The Palace” wyznacza najniższy punkt w całej filmografii Romana Polańskiego. Nie wiadomo, dlaczego niesmaczny humor, z jakim przedstawiono sylwester przełomu mileniów w szwajcarskim kurorcie, ma dać widzom do myślenia na temat putinowskiej Rosji. Wydmuszka oparta na scenariuszu, napisanym wspólnie z Jerzym Skolimowskim, okraszona jest niewybrednym żartem typu seks pingwina z psem, wszechobecną skatologią, perwersją, z której nic nie wynika. Od głośnych ostatnio satyr na burżuazję Rubena Östlunda dzieli ten film przepaść.

Ostrze ironii zadziało za to w rękę Pablo Lorraina, który w „El Conde” (nagroda za scenariusz) uczynił z chilijskiego dyktatora Pinocheta wampira. Żądę krwi utożsamiał z odradzającym się terrorem, a wyestetyzowane zdjęcia Eda Lachmana posłużyły za słodką ostonkę dla gorzkiego lekarstwa. Gdyby jeszcze użył brzytwy montażu, skracając swój dłużący się metraż, miałby szansę, że widzownia obejrzy film do końca, gdy już pojawi się na Netflixie.

Kobieta z Polski

Licznie reprezentowani w tym roku byli bohaterowie filmów biograficznych: Priscilla Presley oraz dzieci nieżyjących Enzo Ferrariego i Leonarda Bernsteina. Promowali tytuły, które nie ujawniają zbyt wielu nieznanych faktów z głośnych życiorysów. Sofia Coppola w „Priscilli” zekranizowała – dusząco słodko – autobiografię swojej bohaterki opowiadając o dziewczęcym zauroczeniu. Udało się rzecz uniwersalizować, Coppola mówi bowiem, że każda z nas na jakimś etapie spotyka swojego Elvisa. Zabrakło jednak zniuansowania perspektywy Priscilli, pokazania przebudzenia zaczarowanej miłości kobiety, a Jacob Elordi w roli słynnego piosenkarza przyćmił Cailee Spaeny, która mimo to otrzymała nagrodę za najlepszą rolę żeńską.

Tę ostatnią powinna otrzymać Carey Mulligan za subtelne, pełne konfliktów wewnętrznych odmalowanie sytuacji życiowej Felicii Montealegre Cohn – partnerki Leonarda Bernsteina, czyli tytułowego Maestra. A Bradley Cooper, odtwórca tytułowej roli, powinien był zrezygnować z reżyserowania filmu z samym sobą w roli

głównej. Zabiegi mające zachwycić – sceny musicalowe czy mastershoty w teatralnych dekoracjach – sprawiają wrażenie jedynie naśladownictwa wielkiego kina. Rzucone niby mimochodem cytaty z klasycznych filmów pokazują skalę ambicji, do których biograficzny obraz Leonarda Bernsteina nie dorasta. Niepotrzebną karykaturą jest sztuczny nos, przesadnie haczykowany, o który toczono spory na miesiąc przed premierą. Na ekranie oceniające spojrzenie obejmuje też homoseksualne przygody głównego bohatera. Gdy tylko braknie przy nim małżonki, pozbawionej własnych potrzeb i świadomej podwójnego życia partnera, mężczyzna staje się satyrem, zakochanym w sobie i pożerającym ofiary jak drapieżnik. Zale tą historią pozostaje jednak ukazanie okoliczności powstania „West Side Story” i innych kompozycji Bernsteina.

Nagrodę za główną rolę męską zastrzeżenie otrzymał Peter Sarsgaard, grający mężczyznę z demencją w „Memory” meksykańskiego reżysera Michela Franco („Nowy porządek”). Nowojorska historia opowiada o miłości w stanie utraty pamięci, tkając bliskie związki między ludźmi z tego, co uświadomione i nie. Melancholijny romans dał też Jessice Chastain nietypową w dorobku rolę.

A co z „Kobietą z...” Małgorzaty Szumowskiej i Michała Englerta? Typowano dla tego filmu Queerowego Lwa. Autorzy pokazali w końcu losy transkobiety Aliny Wesoły (znakomite role Małgorzaty Hajewskiej-Krzysztofik i Mateusza Więclawka) na tle przemian w papieskiej Polsce. Melodramat nawiązuje do „Trędowatej” czy „Nocy i dni” wyraźniej niż do tradycji Wajdy o bohaterze z żelaza lub marmuru. Życiorys tej postaci wyznacza walka o płeć i orientację, dlatego w obsadzie pojawiają się nawiązania do „Łaźni” Katarzyny Koziry oraz autentyczne osoby artystyczne i aktywistyczne ze środowisk LGBTQIA.

Jednak nagrodę za najciekawszy film queer otrzymał Goran Stolevski za „Housekeeping for Beginners” – koprodukcję północnomacedońsko-polsko-chorwacko-serbsko-kosowską o stworzonej z potrzeby okoliczności rodzinie lesbijki i geja z gromadą romskich dzieci, których żadne nie jest biologicznym rodzicem. Film odpowiada na zapotrzebowanie na rubaszny humor i gorycz wykluczenia „barbarzyńskiej” Europy spoza granic Unii. Choć Polska się w granicach Unii mieści, to niestety wciąż nie pod względem równości. „Kobieta z...” Małgorzaty Szumowskiej ulepiona jest z naszych oporów, wstydu i zapóźnień.

ADRIANA PRODEUS

Talia żółtych kartek

Bilans dwuletnich rządów **Cezarego Kuleszy** w PZPN to rekordowy budżet załatwiony dzięki politycznym dojsćiom, ale też katastrofy wizerunkowe i słaba gra reprezentacji. Podzielonej i skłóconej, do czego prezes również się przyczynił.

MARCIN PIĄTEK

W

czwercu reprezentacja przegrała z Mołdawią, a teraz z Albanią i udział w przyszłorocznych mistrzostwach Europy stoi pod dużym znakiem zapytania. Brak awansu byłby nie tylko katastrofą sportową, ale również oznaczałby pożegnanie z premią

od UEFA w wysokości ponad 9 mln euro. Już sezon ogórkowy był w PZPN wyjątkowo gorący. Trzeba było ugłaskiwać sponsorów, których sam PZPN wskazał jako odpowiedzialnych za zorganizowanie wycieczki na mecz z Mołdawią skazanego za korupcję działacza. A także dementować pogłoski, że selekcjoner Fernando Santos czmychnął z posady do Arabii Saudyjskiej.

Na dodatek w stół uderzył niedawno Robert Lewandowski. Udzielił głośnego wywiadu, w którym mówił m.in. o żenującym zachowaniu „pewnych osób” wchodzących w skład delegacji towarzyszących ostatnio wyjazdowym meczom kadry. W kuluarach huczy od opowieści, że podczas tych wycieczek alkohol leje się strumieniami, a podpici goście stawiają sobie za punkt honoru zrobić selfie z piłkarzami. Lewandowski dał do zrozumienia, że przyzwolenie na takie ekscesy daje obecne kierownictwo PZPN, z Cezarym Kuleszą na czele. I enigmatycznie dodał, że od osób „na pewnych stanowiskach trzeba oczekiwać klasy oraz umiejętności zarządzania”. W środowisku krąży opowieść o tym, że relacje między prezesem a kapitanem popsuł fakt, że Kulesza, będąc w łoży na meczu Barcelony, pozwolił sobie w wulgarny sposób skomentować słabą grę Roberta. Na dodatek komentarz skierowany był do Anny Lewandowskiej, która była w towarzystwie znajomych.

Na wyborcze zwycięstwo Kuleszy przed dwoma laty złożyło się kilka czynników. Obecny w klubowej piłce od ponad dekad – jako współwłaściciel i prezes Jagiellonii Białystok – mógł liczyć na głosy elektorów z klubów. Działaczy wojewódzkich związków skaptował mu Henryk Kula, prezes Śląskiego Związku Piłki Nożnej. – *Heniek to typ leśnego dziadka. Nigdy nie wybijał się do pierwszego szeregu, ale miał żal do Bońka, który go lekcewał. Poparł Kuleszę, który obiecywał usłuchiwać* ▶

© ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

► się w głosy terenu, no i w odróżnieniu od kosmopolity Zibięgo jest swojski: rubaszny, rozkręcił u nas disco polo, nie wywyższa się z powodu swego majątku, no i z każdym się napije. A jeśli chodzi o alkoholowe możliwości Kuleszy, to ekstraklasa – śmieje się jeden z działaczy.

O sukcesie zdecydowało też schowanie kandydata przed światem, co było pomysłem Piotra Szefera, swego czasu spikera na meczach reprezentacji i szeregowego pracownika PZPN, który ni stąd, ni zowąd został spin doktorem Kuleszy. – To było dobre posunięcie, zważywszy na to, że Czarek ma kłopoty z formułowaniem składnych wypowiedzi, zwłaszcza publicznie – uważa osoba ze środowiska. Ubiegający się również o prezesurę Marek Koźmiński (były piłkarz, z ładną kartą reprezentacyjną), na próżno wzywał rywala do debaty. – Koźmiński zmagał się z atakami „Gazety Polskiej”, piszącej, że jest nieudolnym biznesmenem, któremu w interesach pomaga też z esbecką przeszłością.

W środowisku słychać, że do dyskredytowania Koźmińskiego przyczynili się internetowi trolle.

Za ich aktywnością mieli stać specjaliści z firm kontrolowanych przez biznesmena Radosława Tadajewskiego, przedstawianego w mediach jako członek tzw. układu wrocławskiego, skupionego m.in. wokół byłych prominentnych polityków PiS: Adama Hofmana i Dawida Jackiewicza. Za obecnej władzy Tadajewski rozwinął biznes dzięki 40-milionowej dotacji z NCBiR. Jego spółki były zaangażowane w ostatnią kampanię prezydencką Andrzeja Dudy, a wcześniej wykonywały zlecenia dla PiS. Chodziło o tzw. psychotargetowanie. Tadajewski chwalił się, że jego firmy wpłynęły na przełom w notowaniach PiS.

W rozmowie z POLITYKĄ prezes Kulesza twierdzi, że o kampanijnym zaangażowaniu na jego rzecz trolli nic nie wie, a nawet gdyby to faktycznie miało miejsce, w wyborach nie miało żadnego znaczenia. – Decydujące były osobiste spotkania. Przekonałem do siebie delegatów wizją i pomysłem. Pracownik PZPN: – Program nie miał w tej kampanii znaczenia. Nieliczne wywiady z Kuleszą odbywały się na podstawie pytań wysłanych mailowo, na które odpowiadał Szefer i jego pomocnicy. Czarek obiecywał pieniądze, bo Publicicon, kolejna spółka Tadajewskiego, odpowiada za obsługę komunikacyjną i marketingową Orleń. Obiecali, że załatwią PZPN rekordowy kontrakt sponsorski. I załatwili.

Umowę podpisano na początku tego roku. W ramach 4-letniej współpracy Orleń przelewa na konto PZPN 35 mln zł rocznie, z opcją bonusów w razie awansu reprezentacji na najważniejsze turnieje. Członkiem zarządu paliwowego koncernu, odpowiadającym za komunikację i marketing, jest inny członek układu wrocławskiego, Adam Burak.

Dojście do Orleń sprawiło, że Tadajewski mógł wysoko licytować. Powołano do życia spółkę Publicicon Sport, która z roli pośrednika od sponsorów wygrzyła firmę Sportfive, za którą stoi Andrzej Placzyński, w czasach PRL wysoko postawiony oficer wywiadu. Kręcił się przy PZPN przez ponad 20 lat, niektórzy działacze byli już zmęczeni powtarzaniem, że robią interesy z esbekiem. – Na zarządzie usłyszeliśmy, że korzystniejszą ofertę złożył Publicicon Sport. Tak było, więc w ostatniej chwili Sportfive obniżył swoje oczekiwania. Ale karty już były rozdane – opowiada jeden z członków zarządu.

Umowa z Publiciconem ma w PZPN klauzulę najwyższej tajności. – Znają ją trzy osoby: Kulesza, Kula i sekretarz generalny

Lukasz Wachowski. Jeśli ktoś z zarządu chciałby się z nią zapoznać, musi poświadczyć to na piśmie. To zabezpieczenie na wypadek przecieku, więc odważnych trudno znaleźć. Takie praktyki zdarzały się też za Bońka, ale Kulesza obiecywał demokratyzację i transparentność. A skończyło się tak, że tkwimy w obłądzonej twierdzy – uważa działacz. Co ciekawe, z ramienia PZPN pod umową podpisali się tylko Kula i Wachowski.

W prowizorium budżetowym PZPN dla pośrednika zarezerwowano 13,5 mln zł. – To maksymalna stawka, wyliczana jako prowizja od załatwionych kontraktów sponsorskich. Jeśli chodzi o ten rok, szacowałbym dołę Publiciconu raczej na 7–8 mln, co i tak jest olbrzymią kwotą. Dlaczego? Po pierwsze to firma bez żadnego portfolio, zbudowana na dealu z Orleń. Poza tym pośrednik to strata pieniędzy. Dzięki Robertowi Lewandowskiemu reprezentacja ma taką markę, że do ściągnięcia sponsorów wystarczyłby nasz dział marketingu. Na jego czele stał do niedawna Grzesiek Stańczuk, który załatwił umowę z InPostem, wartą ponad 10 mln rocznie. Ale rzucił papierami, bo ludzie Publiciconu wtrącali mu się w pracę – opowiada pracownik PZPN.

Coraz głośniejsze mówi się, że umowa z Publiciconem jest dla federacji niekorzystna, bo znajduje się w niej zapis o należnej prowizji od każdej nowej umowy sponsorskiej, niezależnie od roli, jaką firma faktycznie odegrała w negocjacjach.

– Z moich informacji wynika, że Publicicon wystawił fakturę zarówno za kontrakt z InPostem, który był dziełem Stańczuka i jego ludzi, jak również za przedłużenie umowy z Fakro, co nastąpiło właściwie z automatu. Czy to nie jest dojenie PZPN? I czy nie może być odebrane jako działanie na niekorzyść stowarzyszenia? – zastanawia się jeden z wysoko dziś postawionych działaczy centrali.

Prezes Kulesza jest z usług Publiciconu bardzo zadowolony. – W końcu załatwili nam rekordowy kontrakt sponsorski oraz inne umowy, dzięki którym budżet PZPN zwiększył się do 400 mln zł. Uczestniczyli w rozmowach z niektórymi sponsorami, ale akurat nie z Orleń, więc nie otrzymali prowizji. Co nie brzmi wiarygodnie, zważywszy na pozycję firmy (dojścia w Orleń) i to, jak łakomym kąskiem byłaby „działka” od umowy tej skali.

Z ramienia Publicicon Sport do relacji z PZPN został oddelegowany Marcin Śmigieński. Nie figuruje we władzach firmy, nie zajmuje oficjalnie żadnego stanowiska. Kilka lat temu POLITYKA opisywała jego działalność w Polskim Związku Tenisowym. Pojawił się znikąd z obietnicą przyciągnięcia sponsorów. Powierzono mu rolę dyrektora operacyjnego PZT oraz szefa spółki Tenis Polski. Wkrótce jednak do biura PZT zaczęły służyć pisma od komorników ścigających Śmigieńskiego za stare długi, a działacze tenisowi uznali, że wypłacił sobie nienależne prowizje i zawiadomili prokuraturę. Ale w pierwszej instancji Śmigieński został niedawno uniewinniony od zarzutu przywłaszczenia.

Śmigieńskiego kojarzy menedżer działający od lat w sporcie: – Jeszcze kilka lat temu klepał biedę w Siedlcach, potem próbował robić jakieś interesy, powołując się na swojego brata Roberta, znanego ortopedę. Pamiętam, że mimo mikrej postury zawsze starał się patrzeć rozmówcy prosto w oczy, snując opowieści o swoich wpływach. Miał opinię człowieka, za którym ciągnęły się problemy i długi. Wydawało się, że po tym, jak wywalili go z tenisa, jest skreślony w poważnym sporcie, ale niespodziewanie

Ludzie pracujący od lat w PZPN zastanawiają się poważnie nad odejściem, bo mówią, że nie chcą dawać twarzy temu bajzlowi.



wypłynął na samym topie. Ponoć dzięki temu, że poznał Kuleszę z Tadajewskim.

Wpływ Śmigielskiego w PZPN są zadziwiająco duże. Mający na rynku sportowych marketingowców dobrą renomę Grzegorz Stańczuk uważał go za dyletanta, ale Stańczuka już w PZPN nie ma, budowany przez niego dział marketingu jest atrapą, a kontakty ze sponsorami to domena Publiconu. Śmigielski podkopał również zaufanie prezesa do jego niedawnej prawej ręki oraz dyrektora biura PZPN Piotra Szefera (odszedł na własną prośbę). Od Publiconu wyszła sugestia, by departament komunikacji powierzyć Aleksandrze Rosiak, która dała się poznać jako najbardziej milcząca, niekomunikatywna i niezorientowana w futbolu szef działu komunikacji w historii PZPN. Niedawno zastąpił ją inny nominat Publiconu Tomasz Kozłowski, były dziennikarz działu politycznego „Faktu”.

POLITYKA w kilku źródłach potwierdziła, że choć Publicon nie odpowiada za komunikację zewnętrzną piłkarskiej centrali, to właśnie tam tkwi źródło katastrofalnego oświadczenia sygnowanego przez PZPN, że za obecność na wyjazdowym meczu z Mołdawią skazanego za futbolową korupcję Mirosława Stasiaka odpowiadają „partnerzy PZPN”. Podejrzanie padło od razu na sponsorów, którzy na wyścigi musieli wydawać komunikaty, że Stasiak nie był ich gościem. Kilku zagroziło nawet zerwaniem umów. Prezes Kulesza przyznaje, że to oświadczenie było ogromnym błędem. Początkowo pracownicy PZPN podsunęli mu inne, uderzające w przepaszającą nutę, ale nie skorzystał. – *Ktoś mówi mi: jak prezes Stasiaka nie zapraszał, to za co przeproszać? Ludzie, którzy znają się na takich komunikatach lepiej ode mnie, napisali więc od nowa. I poszło, najgorsza wersja poszła – przyznaje. Ale odmawia potwierdzenia, że to dzieło ludzi Publiconu.*

Punkt widzenia Publiconu jest prosty: zadowolić sponsorów. A ci oczekują udziału się piłkarzy w kampaniach reklamowych, najlepiej Roberta Lewandowskiego. Spór o to, kto, w jakim wymiarze, dla kogo i za ile ma użyć swojego wizerunku, toczy się od lat. Ale ostatnio przybrał na sile. – *Publicon nie respektuje obowiązków w tej kwestii ustaleń i naciska na prezesa. On zaś traktuje reprezentację jak swój folwark, a piłkarzy jak parobków, którym można wydawać rozkazy. Rada drużyny prosiła prezesa o spotkanie, żeby przedyskutować sporne kwestie, ale bez rezultatu – opowiada M., człowiek działający od lat na styku futbolu i biznesu, świetnie zorientowany w sytuacji. Z tego powodu Lewandowski odmówił udziału w spocie InPostu, co doprowadziło do wściekłości szefa firmy Rafała Brzuskę. Prezes Kulesza tradycyjnie zaprzecza: – Nie ma żadnego konfliktu w tej kwestii. Warunki kręcenia reklam zostały ustalone z drużyną.*

Reprezentacja zatruta jest też w dalszym ciągu konsekwencjami tzw. afery premiowej, której zarzewiem była rzucana przez premiera Morawieckiego obietnica wypłaty piłkarzom 30-milionowej premii za wyjście z grupy na ostatnich mistrzostwach świata. Co się udało, choć w żenującym stylu, i na dodatek wyszło na jaw, że przed meczem jednej ósmej finału z Francją zawodnicy zajęci byli dzieleniem mających już na horyzoncie milionów. Pod naciskiem opinii publicznej Morawiecki wycofał się z deklaracji, ale wcześniej ophywający w dostatki piłkarze nie zdobyli się na oświadczenie, że jednak pieniędzy nie chcą. Grupa podzieliła się na tych, którzy wspaniałomyślnie zrezygnowali

z bonusu, i tych, którzy twardo obstawali przy tym, że skoro był awans, to kasa się należy. A kapitan Robert Lewandowski nie zdobył się, by wyjść przed szereg i w imieniu drużyny zrezygnować z pieniędzy.

M. mówi dalej: – *Reprezentacja jest podzielona jak chyba nigdy wcześniej. Piłkarze nie potrafili się z tego wypłatać – to jedno. Ale mają też pretensje do Kuleszy, że schował głowę w piasek. Nie brał udziału w obiedzie, na którym padła propozycja premii, i nie zapobiegł aferze, choć wiedział, że lada moment temat wypłynie. Krąży teoria, że zrobił to celowo, by mieć pretekst do zwolnienia selekcjonera Michniewicza, który za plecami prezesa zabiegał o premię, choć potem twierdził, że ucale jej nie chciał.*

Efekt jest taki, że na zgrupowania reprezentacji piłkarze przyjeżdżają jak za karę. Prezes Kulesza uważa za swój wielki sukces zatrudnienie na stanowisku selekcjonera Fernando Santosa, który w 2016 r. doprowadził Portugalię do mistrzostwa Europy, ale w kuluarach można usłyszeć, że trener jest już wypalony, ma słaby kontakt z drużyną (kiepski angielski) i nic nie robi, aby przełamać lody. Mało kto zdziwił się więc, gdy niedawno gruchną plotka, że selekcjoner porzuca reprezentację, by pracować w Arabii Saudyjskiej, zwłaszcza że tamtejszych szejków stać na każde odszkodowanie.

Nie ma klimatu, więc nie ma wyników – reprezentacja gra tak fatalnie, że całkiem uprawnione stały się obawy, czy w ewentualnych barażach na Euro będzie w stanie pokonać rywala pokroju

Estonii. – *Ludzie pracujący od lat w PZPN zastanawiają się poważnie nad odejściem, bo mówią, że nie chcą dawać twarzy temu bajzłowi. Ale najgorsze, że dość ma Lewandowski. Reprezentacja sprowadziła się dla niego ostatnio do afery premiowej, konfliktu o reklamy, kolportowania w mediach zdjęcia w towarzystwie ochroniarza Gruchy [który swego czasu był zatrudniony w jednej z dyskotek Kuleszy, był aktywnym członkiem kibolskiej bojówki Jagiellonii i miał zarzut udziału w zorganizowanej grupie przestępczej, red.] – opowiada M.*

Uderza bezrefleksyjność Kuleszy, brak kompetencji menedżerskich, brak umiejętności przewidywania konsekwencji działań.

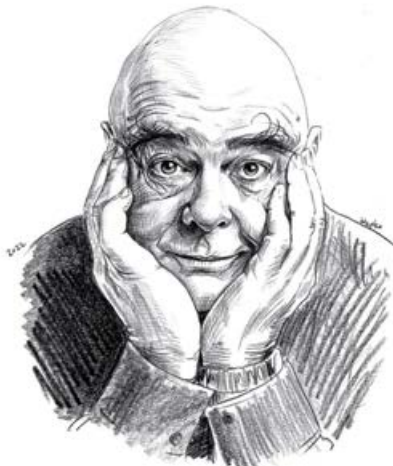


Kulesza nie zaprzecza, że ostatnio kierowany przez niego PZPN nie ma dobrej passy, ale uważa, iż niesłusznie przesłania to sukcesy. Wylicza: – *Rekordowy budżet, skuteczny nacisk na FIFA, by wykluczyć z baraży o mundial Rosję, awans trzech naszych reprezentacji na mistrzowskie turnieje, pozyskanie 55 mln zł z Ministerstwa Sportu na program certyfikacji szkółek piłkarskich, organizacja za dwa lata finału Ligi Konferencji, wprowadzenie zakazu gry na punkty i o miejsce w tabeli dla drużyn poniżej 12. roku życia.*

Ale jego pozycja słabnie, nawet wśród niedawnych stronników. Uderza ich bezrefleksyjność Kuleszy, brak kompetencji menedżerskich (co – jak na człowieka, którego majątek szacowany był swego czasu przez „Forbes” na ćwierć miliarda złotych – jest dziwne), brak umiejętności przewidywania konsekwencji działań. Nie zapraszał Stasiaka? Przepraszał nie będzie. Grucha jako ochroniarz? Czemu nie, w końcu przedstawił zaświadczenie o niekaralności. Selekcjoner Michniewicz, który nigdy przekonująco nie wytłumaczył się z uwikłania w korupcję? Nic nie szkodzi, przecież prokuratura nie postawiła mu zarzutów.

Członek władz PZPN: – *Moim zdaniem to jego pierwsza i ostatnia kadencja. Ale Czarek wierzy, że wygra, bo w kampanii sypnie kasą, którą Publicon załatwił mu od Orlenu. Dalsze losy tej umowy oraz wpływów pośrednika zależą oczywiście od tego, czy PiS utrzyma się po jesiennych wyborach u władzy.*

MARCIN PIĄTEK



Soliter

Postawmy sobie cel główny, ostateczny, jakiego jeszcze nikt nie widział, mówił w minioną sobotę Kaczyński swoim miłym tenorem. Odzyskiwanie Polski – to jest właśnie ten cel. Stoi przed nami, bo dotąd leżał, deptany buciorami grupy darmozjadów i mącieli, zachwyconych ideologią tych z drugiej strony Odry. To będzie wielki wysiłek dla nobilitowanych, takich jak my. Sami przesiejemy się przez sito, żeby wzmocnić nasze szeregi. Ktoś mógłby powiedzieć, że jesteśmy nieskromni, ale przecież musimy walczyć o Polskę. Silni i czujni. A dzięki ministrowi Czarnkowi nobilitowanych będzie przybywać. Możliwe, że znajdą się wśród nich także kobiety.

Aż iza się w oku kręci, gdy przypominę sobie, że jako dziecko poznawałem cudowne życie w raju. Był Adam, była Ewa i wieczne życie. A potem? Powiedzmy sobie szczerze, Ewa podstępnie wywiódła Adama na spacer po ogrodzie. Tam została skuszona przez Szatana, który podsunął jej zakazany owoc. Zjadła jabłko, gryza dała Adamowi, i tak przez kobietę ludzkość pożegnała się z rajem.

Oczywiście świat szybko zrozumiał, kto jest winien wszelkim nieszczęściom. Dwie trzecie ofiar spalonych na stosach – od średniowiecza do końca XVIII w. – to były kobiety. Każda mogła być czarownicą, a oskarżenie o czary było zwykle wyrokiem śmierci. W ten sposób pozbywano się niechcianych żon, przejmowano ich majątki. Wystarczyło „nieskromny” strój, spór z mężem. Wszak sędziami byli wyłącznie mężczyźni. Dla pewności przejrzałem dostępne informacje i lekko osłupiałem. W czasach renesansu w Europie odmiercono na stosach wszystkie akuszerki. Pomagały kobietom, to wystarczyło.

Teraz dowiadujemy się, że musimy wrócić do raju – do piękna, prawdy, uczciwości, prawa i sprawiedliwości. Gdyby nie ta Ewka... Ach, nie myślmij już o tym, co było.

Trudno. Przyzwyczailiśmy się do kobiet i staramy się być dla nich życzliwi. Więcej – właściciel Polski śle krzepiące słowa: „Kobiety w ciąży i rodzące też mają prawo do życia i zdrowia. I my je uznajemy”. Też! Pomoże w tym episkopat, bo czuje się w obowiązku zastąpić lekarza przy kobiecie w ciąży, a nawet postawić własną diagnozę. Jest ona tylko jedna: trzeba urodzić każde dziecko – z gwałtu, kazirodztwa lub ciężko chore, które nie przeżyje nawet 24 godzin. Zdrowie psychiczne matki będzie wyłącznie jej problemem. Konstytucyjną moc takiemu chrześcijańskiemu podejściu zawsze może nadać nieusuwalny soliter Kaczyńskiego, czyli Julia Przyłębska.

Co dla mnie znaczą słowa „odzyskiwanie Polski”, od których zacząłem ten felieton, a które padły na konwencji PiS w Końskich? Jeśli już za miesiąc (tak krótko jeszcze nigdy nie było!) opozycja nie wygra wyborów, to nie będzie przegrana, tylko klęska. Na początek, zapowiada Kaczyński, zlikwiduje się niezależne sądy, bo nie może tak być, żeby każdy, kto chce, tam zasiadał. Trzymiesięczne kursy u byłego prokuratora PZPR Stanisława Piotrowicza staną się przepustką do wydawania jedynie słusznych wyroków. Uznanie Donalda Tuska za agenta Putina leży już podpisane na Nowogrodzkiej. Tylko mu wręczyć. Skończą się też niesprawiedliwe przydziały ról w teatrach – dyrektor, który powinien zajmować się awarią kanalizacji, nie zagra już Senatora w „Dziadach”. By wywołać refleksję zgodną z linią partii, obsady przedstawień w całej Polsce zatwierdzi minister Gliński. Chyba że akurat zachoruje, ale wtedy zastąpić go może szczerze dofinansowywany przez państwo Robert Bąkiewicz.

Mieszkania nie będą potrzebne. PiS owinie nas szczelnie styropianem z najnowszego programu Morawieckiego, byśmy ogłuchli na wszystko.

STANISŁAW TYM

REKLAMA

POSZERZAMY HORYZONTY
Naukowe miesięczniki **POLITYKA**

Wrześniowe numery w kioskach i na sklep.polityka.pl
Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektspulsar.pl

PULSAR

Mogłam nie dożyć



Kongres Kobiet skończył w tym roku piętnaście lat. Wystartował w 2009 r. – w proteście przeciwko wygumkowaniu kobiet z historii Solidarności i oficjalnych obchodów 20-lecia transformacji. Uchodzi za emancypacyjny ruch ponad podziałami, o którym mówi się, że jest hybrydą, bo jego matki założycielki – Magdalene Środę i Henrykę Bochniarz, a potem także Jolantę Kwasińską, Joannę Kluzik-Rostkowską, Izabelę Jarugę-Nowacką i inne panie – więcej różni, niż łączy.

Nie jestem pewna, czy rzeczywiście tak jest. Kongres Kobiet zawsze miał i nadal ma wyraźny sznyt liberalno-lewicowy (z naciskiem na pierwszy człon), wielkomiejski, trochę celebrycki. Nie jest to jego jedyna twarz, ale na tę najbardziej rozpoznawalną składają się właśnie kobiety – z licznymi kapitałami, społecznym, kulturowym i finansowym, czyli wielorako uprzywilejowane wyjątki, którym łatwiej przebić „szklany sufit”, a w rezultacie nie tylko przetrwać, ale też „zaistnieć”. Co naturalnie ma swoje dobre i złe strony.

Dobre na pewno jest to, że działające w ramach Kongresu członkinie elity zapewniają wydarzeniu oraz jego agendzie nagłośnienie w mediach. Mogą też stanowić dla gorzej usytuowanych „siostr” wzór osobowy: nawet jeśli nie za bardzo nadają się na rzeczniczki wykluczonych, są żywym dowodem na to, że kobiety sprawdzają się we wszystkich rolach społecznych. Systemowych problemów to nie rozwiąże, jasne, niemniej każda z nas potrzebuje widzieć wokół siebie takie osoby, żeby z tym większą śmiałością szukać własnej drogi.

Złe są natomiast rozmaite idiosynkrazje i ograniczenia typowe dla całego mainstreamu, które przeniosły się na Kongres – z powodu mainstreamowości jego składu założycielskiego – już u zarania. Te „wrodzone” konserwatywne parametry z trudem poddają się rewizji, niemniej rewizja postępuje. Do ideału wprawdzie jeszcze daleko, jednak rozszerzanie się kongresowych horyzontów z roku na rok widać coraz lepiej.

Obrady pierwszego Kongresu, tego z 2009 r., zakłócił i zarazem wzbogacił znamienny performans: Anna Zawadzka, działaczka LGBT znana jako Anka Zet, w czasie panelu otwarcia niespodziewanie zadała „twarzom Kongresu” pytanie o związki partnerskie, wprawiając je w konsternację. Zawadzkiej wskazano zaplanowany na następnego dzień panel o „mniejszościach” jako właściwe miejsce dla takich kwestii, a następnie – drzwi. Z sali wyprowadzili ją uzbrojeni ochroniarze, nie zdążyła nawet pozbiierać swoich rzeczy. Rok wcześniej w Sejmie ta sama działaczka z tym samym pytaniem ścigała Zbigniewa Ziobrę. „Pan nie ma prawa zawrzeć związku z mężczyzną, życzę panu, żeby pan mógł!”

– wołała do jego umykających pleców. Kongres Kobiet i Ziobro reagowali wtedy na związki partnerskie podobnie: popłochem i unikaniem.

Piętnaście lat później – niespodzianka: ja i moja ukochana jedziemy naszym czerwonym Citroënem na Kongres Kobiet do Poznania. Agnieszka Graff zaprosiła mnie do udziału w panelu „Lesbijki tu i teraz: doświadczenia, pisanie, aktywizm” w ramach rozbudowanej sekcji „Z marginesu do centrum. Osoby i rodziny »gorszego sortu«”. Było nas osiem dyskusantek, miałyśmy półtorej godziny i dużą salę wypełnioną do ostatniego miejsca. Mówiliśmy o swoim życiu: o tym, co w naszej sytuacji zmieniło się na lepsze, a co na gorsze, czego najpilniej potrzebujemy (równości małżeńskiej i macierzyńskiej oraz równościowej edukacji) i w jakich barwach rysuje nam się przyszłość. Jedne z nas określiły się jako lesbijki, inne – za pomocą

relacji z ukochaną, bez etykietek. Niektóre były matkami, inne nie. Nasze pesele zaczynały się od szóstki, siódemki, ósemki, dziewiątki i dwudziestki. Inga Iwasiów zwróciła uwagę na przestarzałość kategorii używanych w odniesieniu do nas również przez nas same. Bo rzeczywiście – co oznacza dzisiaj choćby „biseksualność”, skoro binarność płci została zakwestionowana? Z jedną ze współpanelistek odkryłyśmy, że dwadzieścia lat temu miałyśmy się na klatce schodowej, nic o sobie nie wiedząc.

Symbolem przełomu było uczestnictwo Julii Maciochy, szefowej Parady Równości, w otwierającym Kongres panelu plenarnym, czyli tym samym, z którego wyrzucano kiedyś Ankę Zet. Wystąpienie Maciochy, w poruszający sposób mówiącej o swoim lęku o bezpieczeństwo i przyszłość queerowych osób w Polsce, zapadło w pamięć wielu uczestniczkom. Sama widziałam łzy w niejednych oczach.

Przyznając: mknąc do Poznania wyboistą Autostradą Wolności, czułam się nieswojo. Śmieszył mnie XIX-wieczny sztafaż: hasło „Kobiety mają głos!” (no raczej...) albo zajeżdżony frazes „gniew i siła kobiet”. Myślałam o tym, że nie pasuję do tych istot o twardej kobiecej tożsamości, tak samo jak do lesbijek, które łatwo utożsamiają się z tym określeniem. Ale na miejscu, mimo wszystkich różnic, poczułam się nadzwyczajnie dobrze. Rój kobiet podzielał na mnie kojąco i krzepiąco jak najlepszy miód.

Tak więc stało się: margines, na który w 2009 r. odeślano Ankę Zet, w tym roku wszedł na Kongres frontowymi drzwiami i zajął miejsce w centrum. Zmiana ta zaszła skandalicznie późno, to prawda (i wielki wstyd). Niemniej – każdy się zgodzi – lepiej późno niż jeszcze później. Mogłam przecież nie dożyć.

RENATA LIS

Polityka jak paintball



Zdarza się czasem filozofom, że ocierają się o politykę. Zwykle z marnym skutkiem, zwłaszcza dla siebie. Dość wspomnieć Platona, który ledwie z życiem uszedł, gdy wniósł się w jakieś sycylijskie awantury. Zyskał jednakże tyle, że mógł napisać „Prawa”, pierwszą bodajże książkę o realpolitik. Z zachowaniem proporcji (dysproporcji) również ja mogę powiedzieć o sobie, że moje książki poświęcone polityce korzystają z osobistych doświadczeń. Doświadczeń skromnych, ale jednak. Są one dla mnie jak wycieczka objazdowa – kraju może nie poznasz, lecz nie powiesz, że nie byłeś.

Filozof w krainie polityków czuje się tak, jak gdyby wpadł pomiędzy ludzi z wielkim zaangażowaniem rozgrywających partię paintballa. Wszyscy gonią we wszystkie strony, niegroźnie strzelając do siebie kulkami wypełnionymi farbą. Dziwna to zabawa. Polityka jest podobna, tyle że bawi się profesjonalnie. To branża, w której pracuje promil społeczeństwa, trudniąc się zdobywaniem i utrzymaniem posad opłacanych ze środków publicznych. Komórek do wynajęcia jest znacznie mniej niż chętnych, aby je na kilka lat „wynająć”. Stąd wielki ruch i rwetes. Plotki, intrygi, nieustające gorączkowe kombinowanie, spiski, gierki na dwa albo i trzy fronty, zmiany sojuszy, małe i duże zdrady, antyszambrowanie u szefów, przymilanie się do dziennikarzy, walka o widoczność w mediach i zasięgi. I tak w koło Macieju, z nagłymi wzrostami aktywności w okresach poprzedzających wybory. Czy jesteś burmistrzem, radnym, prezydentem, czy jesteś posłem, wiceministrem czy może zawodowym funkcjonariuszem partyjnym, to nie ma większego znaczenia. Robisz mniej więcej to samo i w podobny sposób. Życie wewnętrzne środowisk politycznych odznacza się monotonią i powtarzalnością schematów działania.

Politycy są wobec siebie nieojojalni i wredni. Bardzo często wręcz brutalni. Ale to przecież nie jest na serio, podobnie jak paintball nie jest wojną na poważnie. Każdy, kto jest w polityce, wie, że przyjaciel może w każdej chwili stać się wrogiem, że zdrada jest tak samo oczywista i naturalna, jak nagła komitywa zrodzona przez wspólny interes. Może to i niemoralne tak latać z nożem za plecami, by zaraz wbić go w plecy kolegi, gdy tylko okazuje się, że coś dzięki temu można uzyskać. Tyle że to wszystko dzieje się tylko na niby! Gra w politykę jest zaledwie grą o posady – nie można w niej stracić niczego więcej niż pracy, i to najczęściej płatnej zaledwie dość dobrze, lecz nie jakoś spektakularnie. Jako zawodowy polityk walczy o stanowisko na kilka kolejnych lat. A że kadry w tej branży zmieniają się jak w kalejdoskopie, to nic dziwnego, że rywalizacja przybiera bardziej agresywne formy niż, dajmy na to, w zwykłych korporacjach.

Politycy to najczęściej ludzie sympatyczni i towarzyscy. Bynajmniej nie gorsi od innych. Ot, normalni, przeciętni obywatele. Tyle że działają na widoku, w warunkach zaostrzonej konkurencji, przez co wydają się szczególnie niemoralni. Ale to nieprawda. Po prostu warunki są takie, że brzydkie postęпки łatwo wychodzą na jaw, a stawka gry jest na tyle wysoka, że hamulce moralne działają słabo. Taki paintball. Uderzającą cechą tego środowiska nie jest jego amoralność, lecz nieprofesjonalność i infantyizm.

†
Każdy, kto jest w polityce, wie, że przyjaciel może w każdej chwili stać się wrogiem.

‡
Otóż zawód polityka właściwie nie istnieje. Nie ma takich studiów. Politycy mają rozmaite wykształcenie i tylko niewielu posiada zaawansowaną wiedzę na temat instytucji władz publicznych, ich misji, organizacji i zasad dobrych praktyk. Są, owszem, prawnicy czy politolodzy, są ludzie o wysokiej kulturze i świadomości konstytucyjnej, lecz to nie oni nadają ton. Zwykle polityk nie zna

się w zasadzie na niczym, przez co sprawowane przez niego funkcje mają charakter „władzy ludowej”. Realnie dokumenty (na przykład projekty ustaw, rozporządzeń czy zarządzeń) tworzą specjaliści, a politycy ingerują w nie woluntarystycznie, wedle swych interesów, upodobań czy przesądów. Kadry państwowe wprawdzie wykonują karysne polecenia polityków, lecz mają też ogromny wpływ na szczegóły. Dzięki temu nawet bardzo zła władza nie jest w stanie w krótkim czasie zniszczyć państwa.

Zbawienna, lecz na co dzień uciążliwa niekompetencja i amatorszczyzna polityków nadaje polityce bardzo charakterystyczny rys infantyizmu. Nawet dyktatorzy zwykle są dość dziecinni, co w połączeniu z ogólną niekompetencją sprawia, że ich potęga ma charakter głównie destrukcyjny. Państwo działa pomimo ich nieracjonalnych i szkodliwych interwencji. W demokracji jest podobnie. Nawet silny polityk w sumie niewiele może, bo nie wie, co takiego mógłby właściwie nakazać w ramach swej legalnej bądź nadużytej władzy. Zmuszony jest przeto opierać się na tym, co suflują mu specjaliści. A specjaliści zwykle po prostu wiedzą, jakie polityki akurat prowadzi się w bardziej rozwiniętych i lepiej prosperujących krajach.

Oczywiście to ma wielkie znaczenie, kto rządzi. Na kształt i kondycję państwa wpływa jednakże wiele czynników niezależnych od woli polityków i wyborców, którzy w dniu wyborów sami stają się na chwilę mikropolitykami. Istnieją procesy „długofalowe”, toczące się pod powierzchnią codziennego życia politycznego i względnie od niego niezależne. Wielkie przemiany kulturowe i cywilizacyjne nie zależą od polityków, a za to politycy i cały ten zgłęb, który generują, muszą się im podporządkowywać. Ktoś tę Wisłę kijem zawraca, ktoś kijem popycha, ale ona i tak płynie kędy chce, a raczej musi.

JAN HARTMAN

Święto nauki w Warszawie

27. Festiwal
nauki
WARSZAWA

Zapraszamy, jako patron medialny, na kolejną edycję Festiwalu Nauki w Warszawie – święta wszystkich spragnionych wiedzy i kontaktu z aktualnościami naukowymi w przystępnej formie.

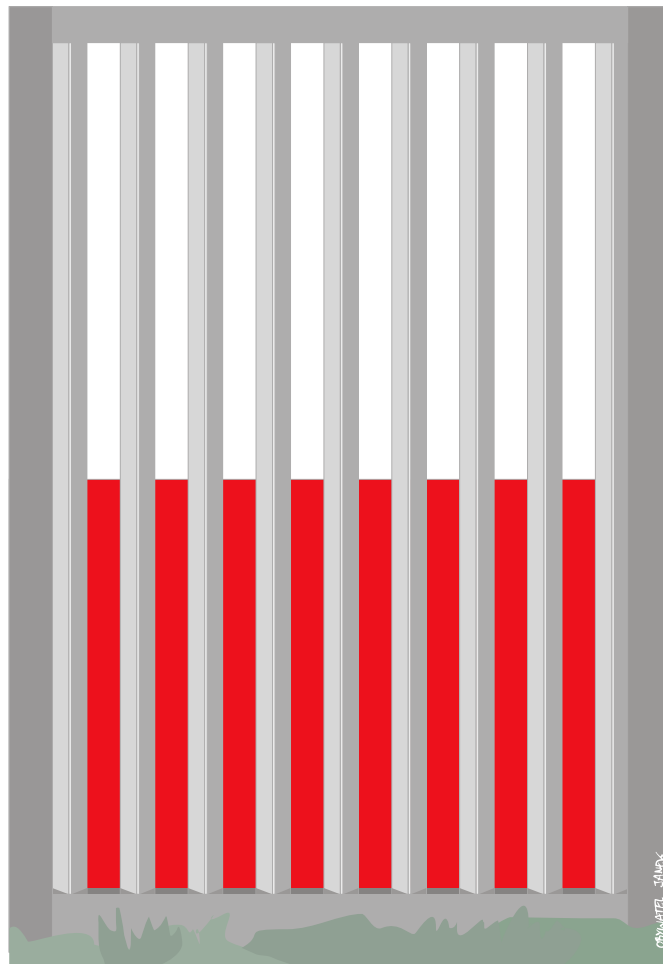
„Nauka to podróż w przyszłość” – to hasło 27. edycji Festiwalu, odwołujące się do działalności patrona tegorocznego FN Pawła Edmunda Strzeleckiego (1797–1873), podróżnika, geografę, geologa, badacza i odkrywcy. Przed nami dwa tygodnie (15–29 września) pełne wykładów, warsztatów, debat, pokazów filmowych, wystaw, wycieczek, gier oraz imprez specjalnych. Łącznie w całej Warszawie i okolicach na uczestników czeka ponad 350 wydarzeń.

Udział w Festiwalu Nauki w Warszawie jest bezpłatny. Wiele imprez ma charakter rodzinny. Zapraszamy wszystkich – młodzież, dzieci oraz dorosłych. Szczegółowy program festiwalu i spis wszystkich festiwalowych imprez: festiwalnauki.edu.pl

Patronami Festiwalu są nasze tytuły: POLITYKA, miesięczniki popularnonaukowe „Wiedza i Życie” oraz „Świat Nauki” i serwis Pulsar.

REDAKCJA

GALERIA POLITYKI / OBYWATEL JANEK



© TADEUSZ POŹNIAK

5 września 2023 r. zmarła

Hanna Hartwig,

od zawsze związana z tygodnikiem,
a potem dwutygodnikiem FORUM.

Redaktorka, tłumaczka,
kierowniczka działu niemieckiego.
Córce Joannie i bliskim składamy
wyrazy głębokiego współczucia.

Przyjaciele z POLITYKI

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzeżli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Sołska,
Mariusz Janicki,
Wiesław Władysław

Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO

Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca),
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03
Łukasz Lipiński (wydania cyfrowe)

SEKRETARZ REDAKCJI

Artur Podgórski
Agnieszka Mazurczyk (asystent),
tel. 22 451-60-39;

Malwina Dziedzic (redaktor działu Opinie)

REDAKTOR WYDANIA

Olga Jędrzejczak tel. 22 451-60-22

Wydania specjalne:

Leszek Będkowski tel. 22 451-60-15
Jolanta Zarembina tel. 22 451-61-40

DZIAŁY REDAKCYJNE

RECEPCJA tel./faks 22 451-60-37/38

DZIAŁ POLITYCZNY I KOMENTARZY

Mariusz Janicki (kier.),
Anna Dąbrowska, Rafał Kalukin,
Adam Krzemieński, Paweł Reszka,
Ewa Siedlecka, Adam Szostkiewicz,
Wiesław Władysław, Jacek Zakowski

DZIAŁ KRAJOWY

Jacek Kowalczyk (kier.),
Martyna Bunda (z-ca kier.),
Ewa Wilk (koment.),
Zbigniew Borek, Joanna Cieśla,
Juliusz Cwieliuch, Edyta Gietka,

Katarzyna Kaczorowska,
Marcin Kołodziejczyk, Violetta Krasnowska,
Marta Mazuś, Joanna Podgórska,
Piotr Pytlakowski, Ryszarda Socha,
Agnieszka Sowa

DZIAŁ EKONOMICZNY

Paweł Tarnowski (kier.),
Joanna Sołska (z-ca kier.),
Adam Grzeszak, Cezary Kowanda,
Marcin Piątek

DZIAŁ ZAGRANICZNY

Witold Pawłowski (kier.),
Łukasz Wójcik (z-ca kier.),
Marek Ostrowski (koment.),
Artur Domostowski, Jagienka Wilczak,
Jędrzej Winiecki

współpraca: Tomasz Walat (Sztokholm),
Tomasz Zalewski (Waszyngton)

DZIAŁ KULTURY

Bartek Chaciński (kier.),
Aneta Kyzioł (z-ca kier.),
Jakub Demiańczuk,
Mirosław Pęczak, Piotr Sarzyński,
Justyna Sobolewska, Dorota Szwarzman,
Janusz Wróblewski

DZIAŁ NAUKA/PROJEKT PULSAR.PL

Karol Jalochowski (kier.),
Katarzyna Czarnecka (z-ca kier.),
Marcin Rotkiewicz,
Edwin Bendyk (koment.),
Agnieszka Krzemieńska, Paweł Walewski

DZIAŁ HISTORYCZNY

Marian Turski (kier.), Tomasz Targarski

STALI FELIETONIŚCI

Jan Hartman, Sławomir Mizerski,
Daniel Passent, Stanisław Tym

DZIAŁ PROJEKTÓW SPECJALNYCH

Zofia Lesniewska, tel. 22 451-61-93

DZIAŁ DOKUMENTACJI

Iwona Kochanowska (kier.),
tel. 22 451-61-44, tel./faks 22 451-61-37

PION CYFROWY

Joanna Chmielecka (dyr.)

POLITYKA.PL Łukasz Lipiński (szef serwisu),
Zbigniew Pendel (z-ca),
Aleksandra Zelazińska (z-ca, media
społecznościowe), tel. 22 451-87-88,
Norbert Frątczak, Anna Kowalska,
Agata Szczerbiak, Agnieszka Zagner

WYDANIA CYFROWE Anna Dobrowolska (red. prow.)

GRAFIKA I TECHNIKA

DZIAŁ GRAFICZNY Joanna Mucho (kier.),
DZIAŁ FOTO Wojciech Leliński (kier.),
KOREKTA Zofia Kozik (kier.)

ADMINISTRACJA, FINANSE

RECEPCJA tel. 22 451-60-89,
Jadwiga Kucharczyk (dyr.),
Halina Cibor (gl. księgową)

PION WYDAWNICZY

Piotr Zmelonek (dyr.), tel. 22 451-61-85
Anita Brzostowska (z-ca dyr.)

DYSTRYBUCJA

Marcin Paśnicki (kier.), tel. 22 451-61-92
Promocja Dominika Nowak-Kajtowska,
tel. 22 451-62-02

DZIAŁ IT Piotr Filipowicz (kier.)**BIURO REKLAMY**

RECEPCJA tel. 22 451-61-36,
e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),
Julian Sobiech (reklama cyfrowa)

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI
ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH
W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl
Infolinia: tel. 67 210 86 30,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Grabowska,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: tel. 22 336-75-80,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA Spółka z o.o. SKA
BGZ BNP Paribas S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedż bezumowna numerów aktualnych
i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej
przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna
i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Dalsze rozpowszechnianie artykułów
opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.
Przedruki: Maciej Domagała,
tel. 22 451-61-25,
e-mail: m.domagala@polityka.pl

DRUK Quad88

www.izbaprasyl

www.sklep.polityka.pl

Infolinia: tel. 67 210 86 30,

e-mail: infolinia@polityka.pl

Monika Grabowska,

tel. 22 451-61-00, 451-61-15

e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRINTED IN POLAND





Kariery (i fakty) alternatywne

Chętnie upiększamy swoje dokonania. Budzi to czasem niechęć i śmiech, gorzej, że ma całkiem realne i niebłahe konsekwencje. Po co to robimy?

Znam pokusę dołączenia do uprzywilejowanej większości, bo sama raz tego próbowałam” – powiedziała amerykańska psychoterapeutka Lillian B. Rubin pacjentowi, kiedy ujawnił, że przed wszystkimi, łącznie z najbliższą rodziną, udawał dotąd kogoś zupełnie innego. Zawdzięczał temu o wiele lepszą pozycję społeczną, niż pozwalały na to realne warunki.

Nie jest wskazane, aby terapeuta odsłaniał szczegóły z prywatnego życia, ale Rubin znała ciężar takiego losu. Na przełomie lat 30. i 40. XX w. szukała w USA zatrudnienia i spotykała się z odmową zawsze, kiedy w wymaganym formularzu zaznaczała, że jest Żydówką. Wreszcie raz podała się za protestantkę i... nazajutrz już miała pracę. Długo przeżywała wstyd związany z tą konfabulacją. A zarazem doświadczenie dało jej poczucie przekroczenia niewidzialnych barier, wolności, jaką przyniosło chwilowe bycie gojką. Po roku, nie mogąc znieść ciężaru swojego kłamstwa, odeszła z pracy, by zachować – jak twierdziła – resztki integralności.

Nie minęło stulecie, a sytuacja radykalnie się odwróciła. Sukces niektórych ludzi, zyskujących rozpoznawalność i przywileje, robiących karierę bazującą



Cveta Dimitrova

– ukończyła filozofię na UW i Studium Psychoterapii w Laboratorium Psychoedukacji. Założycielka ośrodka „Znaczenia. Psychoterapia”, współautorka podcastu „Nasze wewnętrzne konflikty” w TOK FM.

na zmyślonych opowieściach i afiliacjach i już nawet nie naginaniu, ale wprost zakłamywaniu rzeczywistości, nikogo aż tak nie dziwi. W świecie zdominowanym przez media społecznościowe mniej liczy się bowiem to, kim się jest, niż to, jak się jest odbieranym. Niektórzy opanowali zdolność manipulowania wizerunkiem na tyle, że, paradoksalnie, stało się to osią ich tożsamości. Skoro nawet doradczyni prezydenta USA (Donalda Trumpa) Kellyanne Conway nazwała kłamstwo „alternatywnymi faktami”, to upiększanie i koloryzowanie swoich osiągnięć wydaje się dość niewinne.

Zmyślone kariery to norma w świecie, w którym liczą się sukces, przywilej, rozpoznawalność i bogactwo. Może to budzić niechęć i śmiech, gorzej, że ma całkiem niebłahe konsekwencje. O karierze Anny Delvey – czyli Anny Sorokin, która podając się za dziedziczkę fortuny, wyludziła potężne kwoty od nowojorskiej elity – i Simona Levieva, słynnego oszusta z Tindera prowadzącego podobnie ekstrawagancki styl życia na cudzy koszt, powstały superpopularne filmy. Losy tych postaci najwyraźniej nas fascynują, choć bazują na manipulacji i wykorzystywaniu innych. Oszuści istnieli od zawsze, więc może nie dość mocny to dowód na to, że żyjemy w skrajnie narcystycznej kulturze. Niemniej naruszanie czyichś dóbr, zaspokajanie własnych potrzeb poprzez nadużywanie zaufania nie zawstydzą wspomnianych bohaterów – wydaje się po prostu efektem ubocznym dążenia do sławy. A zarazem wskazuje na jakiś rodzaj egzystencjalnej pustki. To nie jest świat, w którym łamanie normy społecznej powoduje dyskomfort, jak w historii przytoczonej na początku. To raczej świat postwstydu, „alternatywnych faktów”.

Skąd jego uwodzicielska moc? Podobnie jak w przypadku teorii spiskowych liczy się tu nie tyle prawda, ile spójność. Ale to chyba nie wszystko. Psychoanalityk Wilfred Bion twierdził, że „umysł ludzki potrzebuje prawdy emocjonalnej, tak jak organizm potrzebuje pożywienia”. Jeśli miał rację, to dzisiaj chyba przymieramy głodem w krainie obfitości. Jak nigdy widzimy dookoła przepych, pochłaniamy nowe bodźce, ale nasze poczucie braku się pogłębia. Niwelujemy je z pomocą spójnych iluzji, zawieszamy krytyczny osąd. Do innych osób i instytucji podchodzimy zwykle z dużą nieufnością, ale kiedy bombardują nas spójne, choć niewiarygodne opowieści o wielkich karierach, nie doświadczamy dysonansu poznawczego. Nie budzi naszej wątpliwości to, że statystyczne prawdopodobieństwo znalezienia się w gronie najbogatszych i najsławniejszych jest raczej niewielkie. Pragnienie bywa silniejsze od prawdy.

Lillian B. Rubin skłamała, ale wiedziała, kim jest i kim się czuje. Zrobiła to, aby przetrwać w świecie pełnym uprzedzeń i ograniczeń. Dzisiejsze próby stwarzania siebie od zera nie są już zakładaniem maski, żeby przeżyć. Wynikają raczej z fantazji o byciu kimś innym, niż się jest. Kimś znanym, wyjątkowym, szczególnym. Niezwykłym. Problem w tym, że jeśli wstydzimy się tego, kim jesteśmy, i wierzymy, że da się siebie stworzyć samą mocą wyobraźni, grozi nam jedno z dwojga: albo stajemy się łatwymi ofiarami tych, którzy nie wstydzą się tego wykorzystać, albo sami – oczywiście do czasu – znajdujemy łatwe ofiary.

Zmory fauny i flory

VIRAL

Polacy pokochali działkowanie, ale już niekoniecznie swoich nowych sąsiadów. Choćby taki pomrów. Nie ma muszli, nie grzeszy urodą i pustoszy ogródki. Nie budzi sympatii, nie jest wybredny: zjada i warzywa, i psie odchody. Nim dla odmiany nie pogardzą kaczkę i jeże, choć pomrowy namnażają się szybko i czasem nie sposób ich wyprosić. Ani doprać ubrań w razie zetknięcia ze śluzem.

Za to można się doksztalić – profile, blogi i kanały popularnonaukowe wypączkowały w sieci i budzą ogromne zainteresowanie. A gdy zwierzęta migrują – po kraju, świecie albo z lasów do miast – to aktualna wiedza bardzo się przydaje. Z pomocą wszechstronnych internautów bardzo szybko i zwykle poprawnie zidentyfikujemy nieproszonych gości w naszych domach. Są od tego oczywiście aplikacje, o podręcznikach nie wspominając, ale w social mediach cała zabawa ma jeszcze wymiar społecznościowy. I wpisany w cały proceder niewymuszony komizm.

O pomrowie dowiaduję się z fanpage'a „Zwierzęta są głupie i rośliny też” na Facebooku. Wbrew nazwie dużo tu solidnej botanicznej wiedzy, choć serwowanej z przymrużeniem oka. Stąd pewnie rosnąca popularność profilu. – *Mam na imię Marek i na razie więcej wolę nie ujawniać, bo jeszcze jakiś bażant się dowie i będę miał problemy* – mówi POLITYCE twórca konta. – *Uważam, że osoba odpowiedzialna za wycofanie prawie wszystkich programów przyrodniczych z cyfrowego Polsatu powinna trafić przed Trybunał Stanu. Zawodowo jestem związany z inną branżą, a obrażanie fauny i flory to moja pasja* – śmieje się. I uspokaja, że przepada za wszystkimi żyjątkami. Dowiemy się

Podślimak
(pomrów wielki)

Wyglądam jak kupa, a smakuje jeszcze lepiej.



Facebook: zwierzęta są głupie i rośliny też

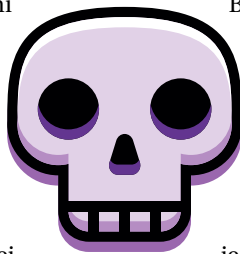
tutaj zatem, że chomik europejski – inaczej niż syryjski czy dzungarski – mierzy aż 34 cm, głowa mu rośnie w miarę jedzenia i nade wszystko grozi mu wyginiecie. Barszcz Sosnowskiego wywołuje z kolei „nudności, wymioty, bóle głowy, a także obrażenia układu oddechowego, oczu, a nawet wstrząs anafilaktyczny. No i może powodować raka. Pewnie dlatego Rosjanie nazwali go barszczem i zaczęli uprawiać jako roślinę pastewną”. W meandrach fauny i flory można przepaść na długie godziny, oczywiście z pewną dozą naukowego sceptycyzmu. Z pożytkiem dla zdrowia i w ramach dobrowolnej edukacji domowej.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Śmiać się na umór

SŁOWO

Kto w sferze języka obrazkowego zatrzymał się na etapie wiedzy o tym, że tu i ówdzie wypada w wypowiedziach umieszczać 😊 i ❤️, a 😏 wyewoluowało w młodzieżowe słowo roku 2017, czyli xD (a później ikse), ma dużo do nadrobienia. Dziś przyjdzie nam się raczej zmagać w mediach społecznościowych z całymi frazami emoji, wśród których często wraca 🤪🤪🤪. Zaczyna się to znajomo, od 🤔, które tłumaczy się jako LMAO (ang. *laughing my ass off*, czyli śmiać się do rozpuku), dalej mamy 🤣, czyli całkiem znajome ROTFL (ang. *rolling on the floor laughing*, czyli tarzać się po podłodze ze śmiechu). Ostatni element, czyli 🤡 – kojarzące się zgonem – oznacza po prostu „umrzeć ze śmiechu”. Używane jest coraz częściej, choćby na serwerach popularnego serwisu Discord,



MÓWIĄ RYMY

Dzwoni do mnie tata i mówi, że płyta nie siada
Dzwoni do mnie Solar i mówi, że płyta nie siada

Mata, Płyta nie siada, 2023 r.

Siadać = podobać się („siadło mi” – przypadło mi do gustu)

ale też na Twitterze, który Elon Musk przemianował na X. „Płaczę, co to za opis 🤪🤪🤪🤪🤪🤪” – wyśmiewa ktoś streszczenie serialu anime. A symbol 🤪 zastępuje czasem słowo „umieram”. Takie roześmiane „umieram” znalazłem np. przy memie o Dobromirze Sośnierzu z Konfederacji, narzekającym w restauracji, że ma muchę w zupie, na co kelnerka tłumaczy: „Świnia, pies, mucha... co to za różnica? Mięso to mięso”.

Sama trupia czaszka może być jednak zwodnicza.

Bo gdy jest reakcją na stary i suchy dowcip („Jaka jest ulubiona przekąska szkieletu? Żeberka”), może oznaczać raczej krindż, czyli zażenowanie. W mediach społecznościowych często w tym znaczeniu pada w dyskusjach „książkar”, czyli fanek literatury: „Został jeden chapter, a nadal nie wiadomo jak to się skończy 🤪 ale żenada”. I na to podwójne znaczenie szczególnie mocno wszystkich uczulam – potwierdzają je dwie sprzeczne definicje 🤪 (śmiech lub żenada) w serwisach Miejski.pl i Urban Dictionary. Umiejętność rozróżnienia między nimi może nie uchroni nas od śmierci, ale od społecznego ostracyzmu – już tak. Tradycyjnie różnica między byciem duszą towarzystwa a natrętnym wujkiem opowiadającym suchary na weselu jest czysto umowna. Od śmiechu do żenady tylko jeden krok.

BARTEK CHACIŃSKI



M O D A

AI dane zbierze, ale nie ubierze

Sztuczna inteligencja w modzie ma znieść sztuczne podziały i hierarchie. Ale czy to na pewno pomysł w dobrym guście?

Pamiętają może państwo futurystyczną kreśkówkę „Jetsonowie” wyprodukowaną przez duet Hanna-Barbera w latach 60., a u nas pokazywaną dwie dekady później? Przyszłość wyglądała tam bardzo wygodnie: do pracy i szkoły dolatywało się zadaszonym spodkiem, a ludzi ubierały i czesały maszyny, zaoszczędzając im czas i energię. Podobną fantazję powtórzył film „Clueless” z 1995 r. z Alicją Silverstone w roli modnisi, której zestawy ubrań podpowiadał komputer. Takie wynalazki to zbawienie nie tylko dla tych, którzy mimo pełnej szafy „nie mają co na siebie włożyć”, ale i dla tych, co nie mają ochoty zastanawiać się, co powinni na daną okazję – biznesową lub prywatną – przyodziać.

Dziś sztuczna inteligencja w modzie i stylizacji to codzienność, chociaż oczywiście nie tak efektowna jak ta



Ola Salwa
– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Píše o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

na ekranach. Cały czas trzeba wkładać trochę wysiłku we współpracę z technologią, choćby poprzez dostarczenie zdjęć strojów z szafy albo zadanie odpowiednich pytań wirtualnym stylistom, takim jak apka Stylebook. Czy modę w przyszłości zagarnie sztuczna inteligencja i w jakim stopniu to zrobi, jest jednym z ciekawszych tematów dotyczących tej technologii. Gdy trwają strajki amerykańskich scenarzystów i aktorów, których postulaty także dotyczą niezgody na zastąpienie ich przez AI, na rynek wchodzi magazyn modowy stworzony w całości przez sztuczna inteligencję.

Wszystkie umieszczone w nim materiały wygenerowało narzędzie AI, nieprawdziwe modelki nie mają pół zmarszczki, mają za to idealny kolor skóry, symetryczne rysy twarzy i błyszczące włosy. Jedyny element upodabniający je do prawdziwych ludzi to cienie pod oczami – najwyraźniej AI uznało, że tego potrzebują czytelnicy i czytelniczki takich periodyków; żaden element nie jest tu bowiem przypadkowy. Pomysłodawca i wydawca pisma o jakże adekwatnym tytule „Copy” („Kopia”) Carl-Axel Wahlström dorobił do niego następującą ideologię: „Marzę o tym, żeby w niedalekiej przyszłości AI tak przemodelowało strukturę i hierarchię [w świecie mody – red.], aby było jasne, kto jest najbardziej twórczą osobą w pokoju. Sztuczna inteligencja daje możliwość stworzenia pisma w całości, co nie było możliwe jeszcze pół wieku temu. Hierarchia w modzie i marketingu jest zabetonowana, nie da się przez nią przebić”. O czym Wahlström opowiada na łamach wciąż tworzonego przez ludzi „Runway Magazine”.

Tak zakładana demokratyzacja mody może spychać na margines twórczość, w której wysiłek jest po prostu potrzebny. Godziny myślenia, szukania pomysłów, robienia i niszczenia szkiców to nie jest zbędny w XXI w. naddatek, chociaż poproszony o wypowiedź ChatGPT pewnie właśnie tak by go ocenił.

Sztuczna inteligencja od kilku lat już „pracuje” w modzie, jednak przede wszystkim przy zbieraniu danych dotyczących preferencji zakupowych, ulepszeniu komunikacji z klientami i przewidywaniu trendów na bazie ich zachowań i wyborów. AI ma pomagać wielkim korporacjom modowym przewidywać trendy i lepiej docierać do klientów, czyli więcej zarabiać (czy raczej: jeszcze sprytniej nakłaniać ludzi do wydawania pieniędzy). Tym samym algorytmy sprawiają, że moda i wybory jej ludzkiego użytkownika będą coraz bardziej zachowawcze i konserwatywne. Jak kolekcja firmy Acne stworzona w 2021 r. przez AI na bazie archiwalnych projektów – niby nowa, a jednak stara.

Tylko czy o to właśnie chodzi w prawdziwej modzie, która przecież nie żywi się tylko sama sobą, ale też zmieniającą się wokół rzeczywistością, komentując ją na swój materialny sposób? Trudno sobie wszak wyobrazić, aby ChatGPT podpowiadał aspirującemu projektantowi bez pomysłów, aby ścisnął kobiety w tali, dał im szerokie spodnice i kapelusze, by mogły odreagować wojenną szarżę (jak Christian Dior), smoking, by mogły na polu mody walczyć o równouprawnienie (Yves Saint Laurent), czy srebrno-białe stroje o linii A, bo ludzkość właśnie marzy o podróżach w kosmos (André Courrèges). Nie bez powodu George i Judy Jetsonowie są codziennie ubrani i uczesani tak samo jak wczoraj. ■

Jak księżyc w pełni

Chrupiące z zewnątrz i miękkie w środku, bo wypełnione nadzieniem. Okrągłe croissants zwane *croonami* podbijają media społecznościowe i serca smakoszy.

Zeby zjeść te ze słynnej kawiarni Lafayette, zlokalizowanej w Nowym Jorku, trzeba odstawić swoje, nawet godzinę, i niemal zapłacić, bo blisko 10 dol. Jak twierdzą klienci – trudno trafić na moment bez kolejki rozciągającej się wokół budynku przy 380 Lafayette Street, a każdy może kupić tylko jedną sztukę. Okrągłe wypieki z ciasta francuskiego to kawiarniany hit. Rogalik króluje na TikToku i całkiem niedawno dotarł do Polski.

Zaczął się właśnie w Wielkim Jabłku w Lafayette Grand Café & Bakery, gdzie wiosną 2022 r. szef cukierni Scott Cioe i piekarz James Belisle zaprezentowali wypiek o nazwie *Suprême*. Rok eksperymentowali z przepisami. Chcieli stworzyć po prostu smaczne ciastko, ale udało się o wiele więcej, bo trend obiegł świat, a kawiarnie od Francji, Włoch, Niemiec przez Singapur aż po Japonię piekły własne wersje smakołyku. Jak do tego doszło? Po około miesiącu od premiery jeden z użytkowników TikToka opublikował nagranie ze specjałem z Lafayette, a ono rozniosło się dalej – dziś ma ponad 2 mln wyświetleń.

Dla jednych to *circular croissant* (pol. okrągły rogalik), dla innych *crox wheel* (nawiązanie do wyglądu koła w skuterze) albo *croon* (połączenie słów „croissant” i „moon”, pol. księżyc). Ta ostatnia nazwa chyba najlepiej oddaje charakter słodkości, która jest alternatywą dla francuskiego rogalika i ma wynieść nasze smakowe doznania na kosmiczny poziom.

Co je wyróżnia? Więcej nadzienia i warstw ciasta niż w zwykłym croissancie, chrupkość i puszystość. Croony wypełnia się jagodami, mango, musem pistacjowym czy waniliowym, malinami, kremem czekoladowym. Można spotkać też wersje wytrawne, np. z serem i szynką. To ciastka, można rzec, instagramowe, bo poza kubkami smakowymi cieszą też oko. Idealnie okrągłe i rumiane, zwykle ozdobione z jednej strony nadzieniem lub czekoladą i subtelnie posypane np. orzechami, służą za model fotografii kulinarnej. W sieci znajdziemy już tysiące nagrań: miłośnicy glutenu i masła rwą ciastka, z których wypływa nadzienie, a w tle słychać odgłos pęknięcia ich wypieczonej powierzchni. Pojawiają się też przepisy, jak upiec croona w warunkach domowych, korzystając z gotowego ciasta francuskiego, bo niełatwo je przyrządzić.



T R E N D

Jak wygląda cały proces? – *Przygotowanie Suprêmes jest niełatwe, zajmuje trzy dni* – opowiada Laura Franklin, odpowiedzialna za komunikację w nowojorskiej kawiarni Lafayette. – *Zaczyna się od wyrobienia ciasta, które później musi długo rosnąć, następnie piecze się ciastka w okrągłych foremkach. Po ostygnięciu są napełniane nadzieniem, glazurowane i dekorowane. Zainteresowanie wypiekiem sprawiło, że stworzyliśmy specjalny zespół zajmujący się tylko nim.*

Cena też budzi niemałe emocje. W Polsce ciastka kupimy w co najmniej kilku kawiarniach od południa kraju po północ (w Katowicach, Warszawie czy Gdańsku) i zapłacimy od 20 do prawie 40 zł. Jak zwraca uwagę Dominika Zagrodzka, dziennikarka i autorka podcastu „Pożywka”, płacimy za wysokiej jakości składniki, ale też czas i pracę potrzebne na przygotowanie każdego ciastka. Jak dodaje, zainteresowanie *crox wheelem* ma związek z efektem nowości i pewną ekskluzywnością – przysmak nie jest dostępny stale, najlepiej też zamówić go z wyprzedzeniem, żeby nie odbić się od pustej witryny.



Joanna Tracewicz

– od ponad dekadę działa w mediach, śledzi trendy społeczne i popkulturowe, interesuje ją interdyscyplinarne podejście do zjawisk. Na co dzień redaktor naczelna RocketSpace.pl.

Moda na wypieki premium, luksusowe kawiarnie i piekarnie trwa w najlepsze. Co prawda słychać tu i ówdzie oburzenie, że za drogo i kto to kupi, ale poszukujących dobrych smaków i potraw przygotowanych od podstaw z wartościowych składników przybywa. *Slow food* rozgościł się wygodnie, jak przystało na ruch, który woli spokój od gonitwy między słodkimi bułkami z gotowego ciasta z dyskontów. Które są tańsze, ale zwykle puste i sztucznie napompowane. Zamiast więc zjeść ich kilka, może lepiej sięgnąć czasem po droższe, ekstrawaganckie ciastko. Można zjeść je na pół – jak radzi Zagrodzka w swoim podkaszce – poziom słodyczy nadal będzie zadowalający. ■



PODRÓŻE

Arko, gdzie jesteś?

Turecki Ararat przyciąga poszukiwaczy zaginionej arki Noego. Niektórych kusi sława, potencjalne zyski, a innych prozaiczna żądza przygód. Albo Biblia.

Przyjeżdżają, kopią w lodowcu, chodzą ze zdjęciami satelitarnymi, szukają, a my mamy przez to problemy – skarży się Kurd prowadzący lokalną agencję turystyczną. Chodzi o „arkologów”. Tak nazywa się tych, którzy przyjeżdżają na **Ararat**, najwyższą w Turcji ośnieżoną górę z dwoma wulkanicznymi szczytami, by szukać zaginionej arki Noego. Nie wiadomo, gdzie dokładnie po potopie osiadła łódź, na której według biblijnych przekazów Noe uratował swoją rodzinę i przedstawicieli różnych gatunków zwierząt. Najczęściej wskazuje się właśnie na Ararat. Góra jest wielka, ma 40 km długości, jej wysokość to robiące wrażenie 5137 m, a szczyt pokrywa czapa całorocznego śniegu.

Na poszukiwania arki przyjeżdżają zarówno amatorzy, jak i posługujący się arsenałem sprzętu profesjonalści. Jednych nakręca szansa na sławę, no i zyski, innych prozaiczna pasja przygód czy też zainteresowanie Biblią. Ze znanych arkologów widziano tu niezującego już amerykańskiego astronautę Jamesa Irwina (ósmy człowiek, który zaliczył spacer po Księżycu) oraz gwiazdkę „Słonecznego patrolu”, a zarazem króliczka



Monika Witkowska – podróżniczka, żeglarka, himalaistka. Autorka książek (m.in. „Everest. Góra Gór”) i przewodniczka grup trekkingowych, m.in. w Himalajach. Prowadzi stronę monikawitkowska.pl.

Playboya, czyli Donnę D’Errico. – *Poszukiwacze z Polski też się zdarzali, nawet ostatnio* – mówią miejscowi, ale szczegółów ujawnić nie chcą.

Eksplorację Araratu utrudnia jego położenie tuż obok granicy z Iranem i Armenią. To sprawia, że trzeba mieć zezwolenie i lokalnego przewodnika. Swoją rolę odgrywa też polityka. Iran problemem nie jest, Irańczyków na Araracie widać dość często, ale z Armenią sprawa jest skomplikowana. Świadectwem napiętych stosunków między krajami jest to, że mimo 268 km wspólnej granicy nie funkcjonuje ani jedno przejście graniczne!

Zresztą nazwa Ararat jest w pewnym stopniu eku-nemiczna, bo przyjęta jako międzynarodowa. Jednak lokalnie woli się własne nazwy. Na tureckich mapach Ararat to Ağrı Dağı (Góra Bólu), Kurdowie wolą miano Grîdax (Płacząca Góra) albo Çiyayê Agirî (Góra Ognia), dla Ormian jest to Masis (Matka Świata, Góra-Matka). Co do nazwy „Ararat” nie ma jednoznacznej wersji tłumaczącej jej genezę, bo i tu są turecko-ormiańskie spory. I tak Ormianie zwracają uwagę, że to zbitka słów ze starożytnego języka ormiańskiego: Ar, Ar, At, gdzie „Ar” znaczyło kiedyś słońce i życie, a „At” odnosiło się do boskości szczytu. Turcy dla odmiany podkreślają podobieństwo nazwy do Urartu, czyli państwa, które do VI w. p.n.e. istniało na tych terenach. Pozostałości jego stolicy można oglądać w tureckim mieście Van.

Ararat nie jest trudny do zdobycia. W lodowcu, który pokrywa najwyższe partie, nie ma szczelin, nie występują lawiny, szansę stanięcia na wierzchołku ma przeciętnie sprawna osoba. Na wykorzystywanej podczas trekkingów trasie nie trzeba specjalistycznego sprzętu. Wystarczą raki. Poza obozami namiotowymi (obóz 1. na wysokości 3200 m i obóz 2. na 4100 m) żadnej infrastruktury turystycznej na stokach nie ma, chociaż niewykluczone, że w niedalekiej przyszłości to akurat się zmieni, bo mówi się o pomysły budowy schroniska.

Ale wracając do arki... Niedaleko Araratu, 30 km w linii prostej od szczytu, jest miejsce nazwane „Nuh’un Gemisi”, co po turecku znaczy „statek Noego”. Z tarasu wprawdzie niedużego, ale całkiem eleganckiego centrum informacyjnego, na zboczu znajdującej się tuż obok Musy (Góry Mojżesza), widać wyraźnie dziwny kształt, interpretowany jako zarys łodzi. Zwrócono na niego uwagę w 1959 r., kiedy w ramach tworzenia map lotniczych okolicznych terenów turecki pilot sfotografował ów dziwny wytwór. Tyle że ani naukowcy, ani też bibliści nie potwierdzili, że to arka. Tymczasem tureckie władze niczego nie komentują, wychodząc z założenia, że zawsze to jedna atrakcja turystyczna więcej.

Z zarządcą tej placówki o prawdziwości „arki” dyskutować mi nie wypada, ale kupuję u niego herbatę. I przynajmniej w jej przypadku nie mam wątpliwości. To na 100 proc. autentyczna turecka herbata z upraw nad Morzem Czarnym. Pijąc



świeżo parzony mocny napar, podany w tradycyjnych szklaneczkach w kształcie tulipana (Turcy utrzymują, że to z ich kraju wywodzą się te kwiaty), rozmyślam – a jakże – o arce. Czy ta prawdziwa kiedyś się znajdzie? ■

Wino do czyszczenia



Francuzi psują wino! Katastroficzne nagłówki łowią czytelników, choć media interesują się winem zwykle raz w roku, z okazji Beaujolais Nouveau. Chodzi o „niszczenie wina”, czyli tzw. destylację ratunkową.

To nic nowego: Unia Europejska ratowała się tym – prawda, że niepotrzebnie kosztownym i psychicznie nieprzyjemnym – zabiegiem już wielokrotnie. Nadwyżki wina na rynku wysyła się do zakładów produkujących etanol na potrzeby przemysłu kosmetycznego czy farmaceutycznego. Zamiast wina – płyn do dezynfekcji.

Oczywiście jeśli mamy romantyczną wizję wina jako boskiego napoju tłoczonego z malarsko pięknych winogron stopami aniołów, wizja przymusowej jego utylizacji dotknie nas najgłębiej. Wino to jednak po prostu produkt rolno-spożywczy, jeśli się zepsuje, trzeba czasem wyrzucić. Jednak w tym przypadku zepsute jest nie tyle wino, co system. Produkcja tego trunku jest bowiem w Unii Europejskiej zbyt duża, w dodatku wspierana przez dotacje do uprawy i wytwórstwa, a potem ze zdziwieniem konstatujemy, że na nasz produkt nie ma klientów. W 2022 r. produkcja winiarska w krajach Unii Europejskiej wzrosła o 4 proc., natomiast popyt spadł we Francji o 6 proc., a np. w Portugalii – aż o 34 proc.

To oczywiście spadek na papierze – cały kraj nie zaczął nagle pić o tyle mniej. Część przerzuciła się na nieopodatkowane wino od szwagra. Spadek konsumpcji w tradycyjnych krajach winiarskich jest jednak niezbitym faktem i nie zrównoważą go wzrosty na nowych rynkach, takich jak Polska. Od końca drugiej wojny światowej sprzedaż wina we Francji spadła o dwie trzecie. Częściowo dlatego, że była bardzo duża – wino piło się (dosłownie) od rana do wieczora, normą było pół butelki na głowę do każdego posiłku albo cała. W dzisiejszych czasach kontroli trzeźwości i zdrowotnych ostrzeżeń to nie do utrzymania. Pokolenie boomersów, które napędzało te słupki, schodzi stopniowo ze sceny, a na ich miejsce wchodzi mileniarsi i pokolenie Z, które zamiast wina chętnie sięgnie po kraftowe piwo, autorski koktajl albo pójdzie na trening i alkohol zastąpi izotonikiem. Kwestia przyciągnięcia młodych konsumentów do wina

W I N O

– napoju zawsze zmagającego się z etykietą dziadostwa – spędza sen z powiek producentom na całym świecie, włącznie z najpotężniejszym rynkiem, USA.

Dochodzą jeszcze paradoksy ekonomiczne. Drogie wina premium sprzedają się coraz lepiej, a ich ceny rosną – średnia butelka burgunda albo szampana jest dwa razy droższa niż dekadę temu; czolowe barolo kosztowało wówczas 50 euro, dziś – 200. Natomiast tanie wina kosztują wciąż tyle samo, czyli – uwzględniając inflację – są coraz tańsze, a i tak nikt nie chce ich kupować. Parę lat temu w Niemczech odtrąbiono wielki sukces: wino przebiło magiczną granicę 2 euro za litr. Była to średnia cena na rynku.

Hiszpania jest jednym z największych producentów wina na świecie (w zeszłym roku 3,6 mld litrów) i sprzedaje je średnio po euro za litr. Statystykę obciąża region La Mancha, upłynniający głównie wino luzem (w cysternach) po 0,40–0,50 euro. Największym kupującym jest... Francja, która miesza to „wino” z własnym i pakuje w najtańsze kartony. To właśnie ten nektar nie znalazł nabywców w tym roku, a przed kolejnym winobranem trzeba było zwolnić miejsce w kadziach i dlatego winiarze z Francji wykonali telefon do przyjaciela, czyli Brukseli. 200 mln euro na przymusową utylizację to niski wymiar kary. W 1911 r. na tle nadwyżek winiarze wznieśli zamieszki i niemal obalili rząd.

Prezydent Macron i ludzie z jego rządu nie chcą powtórki takiego scenariusza. Dlatego płacą za zamieszenie sprawy pod dywan, a co do przyszłego roku – liczymy, że pomogą Chiny, młodzi Polacy albo... grad, który zmniejszy plony. ■



Wojciech Bońkowski

– pierwszy polski Master of Wine. Współtwórca portalu Winiątywa i pisma o winie „Ferment”.

Ravasqueira Exclusive Selection Touriga Nacional Rosé 2022, 24,99 zł (Biedronka)
Yellow Yail Shiraz 2021, 29,99 zł (Biedronka)
L'Euzière Pic-Saint-Loup Éclat Lunaire 2020, 59,99 zł (LaCave.com.pl)
Vicente Gandía Bobal Blanco 2021, 64,99 zł (Winnicalidla.pl)

W „Sieciach” Jacek Karnowski zamartwia się losami Platformy: „PO przecenia siłę swoich mediów, zwłaszcza TVN. Nie dostrzegła, że ta wciąż silna stacja przestała już być stacją (wszech) potężną. Owszem, to procesy szersze, cywilizacyjne, ale skutki są dużo boleśniejse dla liberałów i lewicy; prawica nigdy nie poległa w takim stopniu na sile konkretnej stacji, źródła jej siły leżą gdzie indziej”. W zasobach finansowych spółek Skarbu Państwa?

Z kolei Robert Walenciak z „Przeglądu” szuka porciechy: „Na razie wiemy jedno – pisowskie jedynki szał nie wywołują. Lokomotyw tam niewiele. Dominują różnego rodzaju układowcy i spadochroniarze. Rzucani raz tu, raz tam. I pokażne grono emerytów, zasłużonych w poprzednich bojach. Tak jakby prezes uznał, że kampania sterowana z Warszawy, poprzez usługowe media, załatwi wszystko”. Nie wszystko, ale sporo.

W odniesieniu do Giertycha Katarzyna nie hamletyzuje („Plus Minus”): „Nie wiem, co mnie bardziej zasmuca w (...) komentarzach na temat startu Romana Giertycha z list Platformy Obywatelskiej. To, że tylu wyborcom opozycji hejtowanie PiS w zupełności wystarcza za program wyborczy, czy ich przekonanie, że do realizacji tego programu Roman Giertych jest Platformie absolutnie niezbędny. (...) to chyba nie Kaczyński ma największy problem z idącym po imunitet skompromitowanym politykiem, którego jedynym realnym wkładem w politykę przez ostatnie kilkanaście lat jest nienawiść wobec człowieka, który go wyrzucił z polityki. (...) Osobiście nie mogę się doczekać rozliczenia Giertycha z jego poglądów i politycznych osiągnięć. Niech ten balonik wreszcie pęknie”. Jak wiadomo, Kaczyński ze swoimi kandydatami nie ma żadnych problemów.

Teraz mamy katastrofalnych ministrów albo takich, którzy są po wyrokach. I nie możemy ich zmienić, bo Jarosław Kaczyński uważa, że nie trzeba – dr Bogusław Grabowski, były członek RPP, dla „GW”.

O emocjach w kampanii pisze dla se.pl Tomasz Walczak: „Jako ludzie mamy olbrzymi problem ze zmianą poglądów, a co za tym idzie, sympatii politycznych. Politycy wiedzą, że walka o nowych wyborców to próżny trud i lepiej się sprawdza próba mobilizacji własnego elektoratu i demobilizacji elektoratu przeciwnika. A nic nie działa tu lepiej niż rozkręcanie kolejnych hysterii. Problem polega na tym, że służy to jednak głównie jednej partii. PiS. Przede wszystkim dlatego, że trudno przelicytować na emocje prawicowy populizm, którego pisowcy są od lat pilnymi uczniami. Platformie w tej kampanii czasami puszczają racjonalne hamulce, ale spora część elektoratu oczekuje jednak od partii Tuska elementarnej rozsądku, więc się go nadal trzymają”. I niech wytrzymają.

Dlaczego powinna się odbyć publiczna debata liderów, wyjaśnia Rafał Woś w salonie24.pl: „Po pierwsze z szacunku dla polskiego wyborcy. (...) Po drugie, (...) także z szacunku dla naszej demokratycznej tradycji. (...) Po trzecie, debata liderów to sytuacja z gatunku »noblesse oblige«. Zwłaszcza dotyczy to rządzących. W każdym systemie, w każdym czasie i w każdej sytuacji obowiązkiem aktualnie piastujących urzędy publiczne jest stawić czoła pretendentom. Choćby się ich najszczerzej nie lubiło albo uważało za najgorszych łajdaków. To jak z pojedynkiem w dawnych czasach. To jest także sprawa honorowa”. A nie prościej napisać, kto takiej debaty nie chce?

Z nudzony brakiem jakichkolwiek zajęć wiceminister spraw zagranicznych Paweł Jabłoński postanowił zbliżyć się do ludu i zorganizował w wiejskim domu kultury w Niebończowach (gmina Lubomia) spotkanie dla członkiń kół gospodyń wiejskich zatytułowane „Zioła dla zdrowia Polek i Polaków”. Jak relacjonuje Michał Rusinek w magazynie „Wolna Sobota”, Jabłoński zapewniał tam: „w pędzącym świecie często zapominamy, że niejednokrotnie rozwiązanie naszych problemów, również tych zdrowotnych, mamy na wyciągnięcie ręki. Matka Natura oferuje nam nieskończone bogactwo składników”. Przekonywał też, że szczególnie cenne są metody naturalne wykorzystujące „polskie rośliny”. Zapewne gospodynie w lot złapały, że mają unikać niemieckich ziółek.

W rubryczce „Od rzeczy” redaktor „Do Rzeczy” tym razem zacytował Lecha Wałęsę, który w wypowiedzi dla dziennika „Financial Times” uznał, że „Jarosław Kaczyński powinien trafić do więzienia”. Czy to rzeczywiście uwaga aż tak od rzeczy?

O prezesie PiS mówi też cytowany przez „Przegląd” prof. Adam Strzembosz: „Jest największym szkodnikiem w życiu społecznym. Czy ma świadomość tego zła, czy tak siebie zakłamał?”. I jedno, i drugie.

KOZA



© JANI KOZA

CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital

operacje ortopedyczne ✦

Poradnia Medycyny Sportowej

dla dzieci, młodzieży i dorosłych:

Badania wstępne, okresowe i kontrolne ✦

Orzeczenia sportowo-lekarskie ✦

Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych ✦

Poradnia Leczenia Bólu

Zabiegi interwencyjne:

blokady / neurolizy współczulne ✦

blokady / neurolizy nerwów obwodowych ✦

termolezja ✦

Poradnia Podologiczna

Konsultacje i zabiegi podologiczne ✦

Dietetyka

Dietetyka kliniczna ✦

Dietetyka sportowa ✦

Porady dla dzieci i dorosłych ✦

Rehabilitacja

✦ Rehabilitacja ortopedyczna:

✦ stawów rzepkowo-udowych

✦ stawów barkowych

✦ kręgosłupa

✦ stawów kolanowych

✦ kontuzji sportowych

✦ po zwichnięciach stawów

✦ urazów mięśni

✦ więzadeł

✦ po złamaniach

✦ Fizykoterapia

✦ Masaż leczniczy

✦ Diagnostyka funkcjonalna

✦ Rehabilitacja w uroginekologii

✦ Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T

✦ Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców
w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa

✦ Pełny zakres badań

Diagnostyka

✦ RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

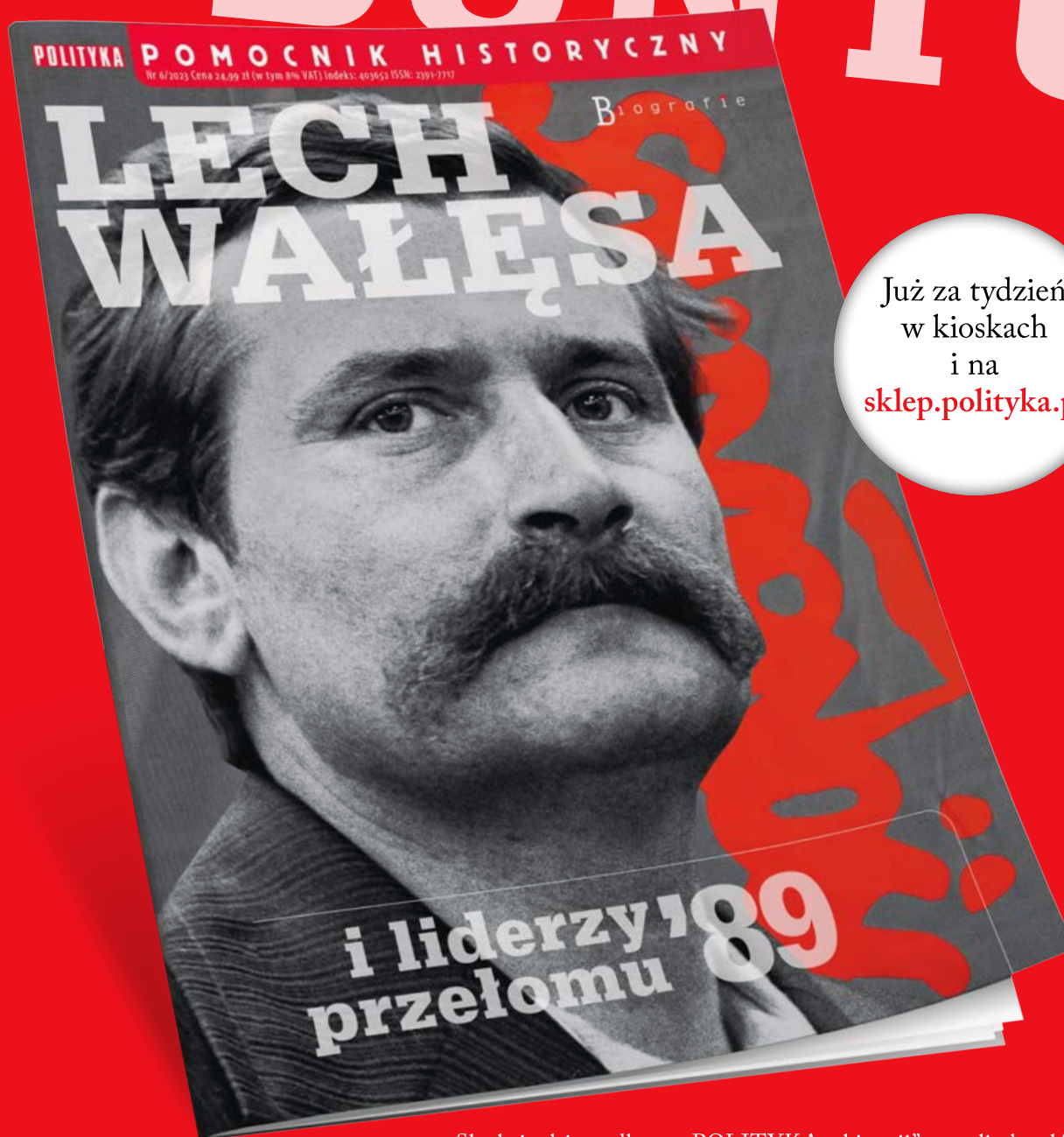
Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych.
CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnostyce, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

IKONY BUNTU



Już za tydzień
w kioskach
i na
sklep.polityka.pl

Słuchaj także podcastu „POLITYKA o historii” na polityka.pl/podkasty
Zapraszamy na profil pełen historii: <https://www.facebook.com/projektimpulsar>

Partner główny wydania



Partner wydania

